

ZBIORY OŚRODKA KARTA

zima '78/80

Puls nr 7

nieregularny kwartalnik literacki

redagują:

JACEK BIEREZIN

ANTONI PAWLAK

BARTOSZ PIETRZAK

WITOLD SUŁKOWSKI

LESZEK SZARUGA

TADEUSZ WALENDOWSKI

Zespół redakcyjny: Jacek Bierezin, Antoni Pawlak, Bartosz Pietrzak, Witold Sułkowski, Leszek Szaruga, Tadeusz Walendowski

Stale współpracują: Stanisław Barańczak, Lech Dymarski, Aldona Jawłowska, Bolesław Sulik

S P I S T R E Ś C I

Czesław MIŁOSZ: Wiersze mówione	str. 3
Wojciech PAZDUR: Nowi filozofowie	str. 5
Nie prawa marksizmu, lecz prawa człowieka /Wywiad "Pulsu" z André Glucksmanem/	str. 13
Janusz SZPOTAŃSKI: Profesor Lew Levy-Stoss	str. 29
Włodzimierz ODOJEWSKI: Ciek nad wielką równiną	str. 34
Ivan VYSKOCIL: Droga do Ubic	str. 42
Leszek SZARUGA: onolog	str. 57
Tadeusz NYCZEK: Trzy różne teksty o teatrze	str. 62
Marianna BOCIAN: Wiersze	str. 68

POJEDYŃKI

Witold WIRPSZA: A jednak: zwada pokoleniowa	str. 72
Antoni PAWLAK: Ojczyzna w szufladzie	str. 77

PRZEGLĄD KULTURALNY I NIKULTURALNY

Edward Dusza: "Pomost" xxx U "Krytyce" i "Polityce" xxx Kościół i kultura xxx J. Wiszniewska: Technika powielania w ZSRR xxx .Norowska: Jak poznawać dobre mięso? xxx Spin: POLPCT czyli Polak potrafi	str. 81
--	---------

KRONIKA

str. 93

SKARGI, WNIOSKI, ŻYCIE URZĘDOWE

str. 98

Leszek SZARUGA: Do Komisji Interwencyjnej przy ZG ZLP
Antoni PAWLAK: List otwarty do Andrzeja Wasilewskiego
Anka KOWALSKA: Do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
Anka KOWALSKA: Do Komisji Interwencyjnej ZLP

FELIETONY

TAN. TAL: Cenzura zdobyłnie Zachód	str. 103
Maciej CISŁO: Nazwisko nazywające	str. 104
ŻYLA: Niezależny Organ Jacka Bierezina	str. 104

ERRATA

Piotr WIERZBICKI: Gnidzi Parnas

Redakcja "Pulsu" przeprosza Czytelników za opóźnienia związane z publikacją dwóch kolejnych numerów, a wynikiem ze skonfiskowania części nr 7 w czasie jednej z rewizji.

Krajowe adresy redakcji:

Jacek Bierezin, Łódź, ul. Astronautów 11 m. 17
Witold Sułkowski, Łódź, ul. Uniwersytecka 42/44 m. 55
Leszek Szaruga, Warszawa, ul. Batumi 4 m. 59, tel. 42-59-01

Zagraniczne adresy redakcji:

Tadeusz Walendowski, 523 Seventen Street N.E., Washington DC, 20002 oraz
PULS PUBLICATIONS, 18 Wilmore Street, London W 1H 9DE

C Z Y T E L N I K U E Z A C H O D U

ZAPRENUMERUJ "PULS"

POWIĘKSZ FUNDUSZ WYDAWNICZY PISMA

UMÓŻLIWI TO DOCIERANIE "PULSU"

DO NIE POSIADAJĄCYCH

ZŁOTÓWEK

CZYTELNIKÓW W KRAJU

WIERSZE MÓWIONE

/Opracowanie zapisu magnetofonowego z wieczoru autorskiego
w Paryżu w czerwcu 1979 r. Opracowanie, weryfikacja i in-
terpunkcja - Stefan B./

Miłosz: - Byłem na filmie "Panny z Wilka" i bardzo mi się dziwnie zrobi-
ło, bo napisałem pewną ilość /wahanie/... wierszy na taki temat, że mogłyby
to być monologi niektórych z postaci w tym filmie, "Panny z Wilka". Jeden ta-
ki wiersz właśnie przeczytałem. Większość z państwa pewnie widziała ten film...

Mówiłeś - ale po waszych mówieniach
zostaje cała reszta.
Po waszych mówieniach -
poeci, filozofowie, układacze romansów.

Cała reszta
wywiedziona z głębi ciała,
które żyje i wie
nie to, co wiedzieć wolno.

Zatrzymaną teraz jestem
w wielkiej ciszy
ale słowa nie każdemu
są potrzebne.

Ptaki, które zabiłeś,
ryby na dnie twojej łódki,
w jakich słowach odpoczną
i w jakim niebie.

Dary ode mnie dostałeś
i były przyjęte
ale nie umiesz myśleć
bo dawno umarkam.

Zapach zimowych jabłek
i szronu, i płótna,
i nie prócz podarowań
na tej biednej ziemi.

I wiersz taki - nie wiersz, tylko mała proza, którą można interpretować
jako prozę, no - a może też o "Pannach z Wilka" - bo ja wiem?

Ciemna akademia -
zasiadają tłumaczkami gorsetów,
gramatyczkami halebek,
poetkami ineksprymablami z korenką.
Nauka ich o dotyku jedwabiu do skóry,
o słuchaniu szelestu sukni,
o podnoszeniu podbródka,
kiedy chwije się rąbek na kapeluszu.

Wykładają pożytek
z tego, co przyjęte,
z sługich rękawiczek nad łokcie
i wachlarza,
z opuszczonych rzes i ukłonów
jak też z ludzkiej mowy,
żeby fajansowy urynek
choćby znał figlarnie spoglądało
malowane tam oko
nazywał się "naczynie",

4

stanik podtrzymujący piersi
i suknię - "gors" i aby wzorem prababek
pamiętających czerwone kabaty angielskich żołnierzy
móc powiedzieć o nadejściu miesiączki
"Anglicy przyjechali".

Nadrzędny cel i metoda
w ledwo zaznaczonym uśmiechu,
bo wszystko jest na niby:
dźwięki orkiestr i promenady,
malowidła w złożonych ramach,
hymny, pienia, rzeźby w marmurze,
przemówienia mężów stanu
i słowo kronik.

Naprawdę jest tylko czucie
w swoim wnętrzu ciepłej lepkości,
trzeźwa czujność
na spotkanie tej rozkosznej niebezpiecznej rzeczy,
która nie ma nazwy
a na którą mówi się "życie".

NOWI FILOZOFOWIE

Kiedy Nietzsche ogłaszał śmierć Boga to, choć był jej rad, przecież jednak rozumiał całą groźbę, jaką niesie ona dla świadomości europejskiej. Oczekiwał wieku zniszczeń, wstrząsów i grabieży, który, gdy nastąpił, w nadmiarze uczynił zadość jego procektwu. Miejsce umierającego Boga zajmowała abstrakcja Człowieka - będąca w istocie ukrytą apoteozą Siły - bądź pod postacią Nadczołwieka, bądź też człowieka zbiorowego - Klasy, Rasy czy Narodu. A przecież nie tak, jak to pozorne wywyższenie nie przyczyniło się do jego poniżenia i śmierci. W imię człowieka abstrakcyjnego umierał zwykły człowiek na polach bitew, w więzieniach, za łańcuchowymi drutami.

Nauki humanistyczne pozostały nieco w tyle za historią, lecz w końcu i one zadały na swoim terenie śmierć człowiekowi, przygniatając go strukturami i miażdżąc w żarnach dyskursu. "To nie jednostka nadaje sens strukturze, w której żyje, lecz struktura określa sens jej życia" /Lévi-Strauss/. "Jesteśmy nie istotami mówiącymi lecz mówionymi... nie istotami myślącymi lecz myślonymi" /Lacan/. "Człowiek jest odkryciem niedawnym, jak wykazuje bez trudności archeologia naszego myślenia. Wykazuje też ona możliwość jego rychłego kresu" /Foucault/.

Obiegowe te cytaty wciąż jeszcze lub do niedawna modnych myślicieli pokazują pewną zbliżność zę znaną skądinąd tezą, wedle której "sposób produkcji życia materialnego warunkuje proces społeczny, polityczny i duchowy w ogóle; nie świadomość ludzi stanowi o ich bycie, lecz odwrotnie, ich byt społeczny stanowi o ich świadomości" /Marks/. Fakt, iż wyżej przytoczone poglądy francuskich autorów nie były bez związku z powojennym renesansem marksizmu pod różnymi postaciami, wydaje się niewątpliwy.

Mogłoby się więc zdawać, że swoisty dialog ideologii i filozofii współczesnej kwitnąć będzie długo jeszcze bez przeszkód; strukturalno-psychoanalityczno-marksistowski dyskurs zdawał się mocno utwierdzony, zaś rosnący dystans, dzielący go od rzeczywistości świata i ludzi zabezpieczał go na pozór przed wszelką krytyką. Równocześnie zaś konformizm intelektualny paryskiej kawiarni, której bywalcy ciążem jeno znajdowali się na miejscu; duchem zaś uczestniczyli w "ideologicznej pielgrzymce" to do Moskwy, to do Pekinu, Phnom-Penh, Hany, Hanoi czy Luandy dostarczał wciąż nowych adeptów i nowego materiału obowiązkowemu progresywnizmowi rozpiętemu pomiędzy Marksem a Mao i uzupełnionemu przez te czy inne burżuazyjne wynalazki.

Lecz cóż to? Oto po śmierci Boga i śmierci człowieka, gdy wszystko zdawało się gotowe do przynajmniej intelektualnego triumfu rewolucji, staliśmy się świadkami dziwnego i niespodziewanego zjawiska. Otóż zaczęto z początkiem lat siedemdziesiątych przebąkiwać coś o śmierci Marksa - najpierw nieśmiało i pokątnie, wkrótce jednak pełnym głosem, a nawet z pomocą donośnej tuby środków przekazu, z dziennikami i TV włącznie. Czyżby to pewien nurt zachodniego myślenia zachował się jak ów wąż mityczny, co pożera sam siebie od ogona, lub jak równie mityczny skorpion, grążący żądło we własnym ciele? Bowiem śmierci Marksa nie ogłosili konserwatyści ani liberałowie, trwający jeszcze wciąż na jakichś nie zrównanych dotąd z ziemią szanach, którzy przecież nigdy nie wierzyli w jego żywotność. Co poniektórzy spośród nich dokońcują co prawda ze swych okopów zuchwałych wycieczek /np. ostatnio A. Besançon/, lecz nie zmienia to faktu, że od dawna już ich wpływy intelektualne i polityczne mają tendencję zniżkową. Nadto szerokie, zlewicowane czy zgoszyczowane, zwłaszcza młodzieżowe i uniwersyteckie kręgi na głosy dobiegające "z przeciwnej strony barykady" były, przynajmniej do niedawna, całkowicie uodpornione.

Gdzież więc zaczęto mówić o śmierci Marksa? Otóż ni mniej ni więcej, tylko w kręgach francuskiej "majowej" /byłej/ młodzieży. Rewolta studencka z maja 1968, animowana przez najrozmaitsze lewicowe grupy i grupki, z maoistami na pierwszym planie, była głębokim wstrząsem dla Francji; twierdzą niektórzy, że stanowiła ona punkt zwrotny w powojennej historii francuskiej lewicy - jej kryzys i utrata zaufania rozpoczęły się już wówczas. Nie można zapominać, że rok 1968 jest również datą bratniej pomocy udzielonej przez ZSRR Czechosłowacji.

cji, zaś trzy lata później ukazał się we francuskim wydaniu pierwszy tom Sołżenicynowskiego Archipelagu. Jako istotny czynnik do tej koniunkcji wydarzeń dodają niektórzy jeszcze planową akcję prasowo-wydawniczą, która pozwoliła uczynić sprawę tzw. dysydentów modnym tematem, a książkom Sołżenicyna, Marzenki, Szalamowa i innych pisarzy obozowych ukazać się w obfitych nakładach z towarzyszącą reklamą i komentarzem, dzięki czemu mogły się one przedrzeć przez zwarty mur niechętniej ignorancji. ³⁷ Bywa z węża dryjakiew - jak mawiali starzy Polacy. Nawet kapitalistyczną żądzą zysku można zaprząć w służbę prawdy.

A więc maj 68, Czechosłowacja, Sołżenicyn. Oto fakty leżące u genezy "nowych filozofów".

O nowych filozofach jako o grupie sui generis grupie zaczęto mówić gdzieś w czerwcu 76 roku - termin ten ukuł jeden spośród nich, Bernard-Henri Lévy na łamach "Nouvelles Littéraires". Lecz na pierwsze strony gazet zawędrowali oni w rok później, w okresie przed wyborami parlamentarnymi, kiedy zaczęto upatrywać w nich z jednej strony przejaw pewnych nowych tendencji rysujących się we francuskim społeczeństwie, przynajmniej w środowiskach intelektualnych, z drugiej zaś możliwy czynny lub bierny element gry politycznej.

Problem, kto właściwie wchodzi w skład owej grupy należy do nierozstrzygalnych, bowiem w poszczególnych komentarzach wymienia się zmienną ilość jej członków. Nadto niektórzy protestują gwałtownie przeciw klasyfikowaniu ich w obręb grupy. Oczywiście nie to nie pomaga; na tym m.in. polega los człowieka piszącego, że pada on pastwą głośatorów i klasyfikatorów, którzy robią z nim, co zechcą i wsadzą do szuflady, jaką sami wybiorą, nie licząc się z protestami ubezważasnowolnionego autora.

Gdy mówi się o nowych filozofach, pewne nazwiska powtarzają się jednak częściej niż inne. A oto one, wraz z towarzyszącymi im najwaźniejszymi tytułami dzieł⁴⁷: Jean-Paul Dollé: *Haine de la pensée*, 1976 /Nienawiść myślenia/, Philippe Nêmo: *L'Homme structural*, 1975 /Człowiek strukturalny/, Michel Guérin: *Nietzsche Socrate héroïque*, 1975 /Nietzsche - heroiczny Sokrates/, Christian Jambet i Guy Lardreau: *L'Ange*, 1976 /Anioł/, Bernard-Henri Lévy: *La barbarie à visage humain*, 1977 /Barbarzyństwo o ludzkim obliczu/, André Glucksmann: *La cuisinière et le mangeur d'hommes*, 1975 /Kucharka i ludojad/ i *Les Maitres penseurs*, 1977 /Mistrzowie myślący/. Grupa ta - czy raczej konstelacja - liczy nadto jednego przynajmniej prekursora w osobie Jean-Marie Benoista, autora m.in. wydanej w 1971 r. książki pod prowokującym tytułem *Marx est mort* /Marks jest martwy/, oraz wpływowego patrona, chrześcijańskiego myśliciela i pisarza, Maurice Clavela.

Prasowi komentatorzy podkreślają zwykle różnice, występujące pomiędzy nowymi filozofami, dziwiąc się nieraz, że traktuje się ich jako grupę. Istotnie, różnice są niemałe: rozumaitych mają oni mistrzów myślenia - dla J.-M. Benoista będą to Heraklit i Leibniz, dla Glucksmanna Sokrates, Platon dla Jambeta, Guérin to Nietzscheanista, Lévy przywołuje w sukurs Rousseau, a Dollému najbliższy jest Heidegger. Odmienne są ich wybory filozoficzne i postawy emocjonalne: jedni są materialistami, drudzy spirytualistami, jedni skrajnymi pesymistami, inni, nieliczni, ostrożnymi optymistami itp. Różne kierunki myślenia: jedni mają się nade wszystko za metafizyków /Jambet, Dollé, Nêmo/, inni są gwałtownie antymetafizyczni /Benoist/, jeszcze inni zgodnie z własnym wyznaniem nie poświęciliby ani godziny filozofii, gdyby nie posiadała ona swej politycznej postaci /Lévy/. Nawet w stosunku do Władzy /Pouvoir/, będącej chyba najbliższym wspólnym mierzownikiem ich myślenia, różne zajmują postawy: jedni traktują ją jako swego rodzaju negatywny absolut /Lévy/, inni podkreślają jej sens polityczny /Glucksmann/, jeszcze inni sens wewnętrzny raczej, indywidualny, i wtedy Władca /Maitre/ może znaczyć duchowego przewodnika i wyzbywając się swych cech opresyjnych przyjąć postać prowadzącego ku prawdzie /Nêmo/.

Aby oddać pełną sprawiedliwość nowym filozofom, należałoby przeto omówić ich systematycznie i po kolei, bacząc na podobieństwa, różnice i wszelkie niuanse. My jednak nie mając po temu możliwości ani szczególnej potrzeby, pominiemy *distingua* ważne z paryskiej, lecz nieistotne z naszej perspektywy, i zwrócimy uwagę jedynie na to, co ich łączy, nie obejdzie się bez uproszczeń i redukcji, lecz może uda się w ten sposób dostrzec ciekawsze kierunki ich myślenia.

Łączą nowych filozofów pewne fakty akcesoryjne i merytoryczne. Do tych pierwszych należy np. ukazanie się większości ich książek w wydawnictwie Grasset w seriach redagowanych przez B.-H. Lévy'ego. Podobnie pewne pisma - np. "Le Nouvel Observateur" - szczególnie chętnie użyczały swoich łamów dyskusjom wokół nowych filozofów. Jednocześnie, choć nie bez znaczenia, są to sprawy uboczne. Istotne jest meritum, do którego należy biografia i doktryna w trudnym do rozwikłania splocie. W obu na pierwszy plan wybija się polityka, i na tę, polityczną stronę w szerokim rozumieniu zwrócimy przede wszystkim uwagę.

O biografii wspominałem już nieco. Nowi filozofowie są ludźmi, którzy mniej więcej w tym samym czasie przeżyli dramatyczne rozczarowanie i utratę znacznej części dotychczasowych ideałów. Rewolta majowa, Czechosłowacja, Sołżenicyn... Na skutek tych doświadczeń przestrzeń intelektualna, w jakiej przebywali, a której zasadniczy wymiar stanowił marksizm w wydaniu Leninowskim, Maoistowskim czy Althusserowskim, pękła, a przez powstałą szczelinę wdarła się pewna ilość prawdy o rzeczywistości. A przecież marksizm był dla tej młodzieży ontologią /tym, co na pewno istnieje jest proletariat i walka klas/, narzędziem analizy naukowej /tyczącej się kapitalizmu/, która sama sobie dostarcza kryterium prawdy /prawdziwe jest to, co zgodne z interesem rewolucji na danym etapie/, etyką /pierwsze przykazanie: buntuj się/, historiozofią, futurologią a nawet teologią lub religią. Tymczasem jednak nadszedł niespodziewany moment, kiedy /dla niektórych/ napór faktów stał się przemożny, przebijając się nawet do wyćwiczonego w unikaniu takich konfrontacji dialektycznych umysłów, i powodując w nich srogi zamęt. Dla tych, którzy padli ofiarą owego zdarzenia, było ono, rzecz jasna, prawdziwą katastrofą: stracić tak nagle wszystko, na czym budowało się przez lata, znaleźć się w próżni bez punktu oparcia, to próba nie lada. Stąd gwałtowność antymarksistowskiej reakcji: oto wierzyliśmy i okazało się, że zostaliśmy oszukani; to nie myśmy się mylili, tylko nas wprowadzono w błąd. Marksizm jest więc fałszywy, więcej: jest zły, zdeprawowany od podstaw. Równaniem "Marks to Gułag" A. Glucksmann przypieczętował śmierć Marksa zapowiedzianą przez Benoista w 1970 r. A zatem pierwszy istotny punkt wspólny: antymarksizm i antykomunizm. Marksizm to nihilizm, kłamstwo, pułapka, pozór. Niesłusznie jego krytyka jest bardziej emocjonalna niż intelektualna, bardziej metaforyczna niż logiczna, a pewne próby dyskursywnego przeciwstawienia się mu zdają się zmierzać w opaczny kierunek. J.-M. Benoist np. krytycznie /choć z podziwem/ ocenia Althusserowską lekturę Marksa, słusznie dostrzegając klęskę sławnego "cięcia epistemologicznego" mającego oddzielić naukę od ideologii. Przyczyn owej klęski zdaje się jednak upatrywać przede wszystkim w fałsie, jak powiada, niezbywalnego uwikłania dyskursu Marksa i marksistów w nieprzewyciężoną bynajmniej metafizykę typu platońskiego, esencji alistyczną i dogmatyczną, co sprawia, że podstawowe pojęcia, takie jak świadomość zbiorowa czy klasa społeczna są niepoprawnymi hipostazami. Zapewne jednak znacznie bliżej leżą źródła kłopotów Althussera. Wszak pono nie chodzi o to by świat poznać, a o to, by go zmienić: przy takim zamiarze nauka jest nieoddzielna od ideologii, instrumentalnie podporządkowana jej i w nią wtopiona służy wraz z nią celom rewolucji.

Frogiemu nastawieniu towarzyszy jednakże przeświadczenie o naukowości i racjonalności marksizmu oraz jego politycznych realizacji, które bardzo głęboko zdaje się być zakorzenione w świadomości nowych filozofów. Totalizm jest triumfem rozumu. Stalinizm to oświecenie bez tolerancji - powiada Lévy. Marksizm jest fałszem o tyle, że obiecywał wyzwolenie, przyniósł zaś gorszą jeszcze niż uprzednio opresję, lecz sprawdziła się jego obietnica ładu, tyle, że objawił się on jako ład nagiej siły. Totalizm jest dziełem uczonych. "Państwo totalitarne, to nie policjanci lecz uczeni u władzy; to nie rozpętana siła, lecz spętana prawda, to nie brutalna represja, lecz ścisłość i nauka. Kto mówi władza totalna w istocie mówi wiedza totalna, kto mówi nieustanna kontrola, w istocie mówi powszechne badanie; nie istnieje autentyczna jawność bez jawności dla Rozumu".

Podobnie Glucksmann, dla którego ważnym źródłem marksizmu jest racjonalizm francuski, powiada, że historia Rosji jest plagiatem, powtarzającym w przyspieszonym tempie historię Europy. Rosyjski Gułag jest po pierwsze racjonalnym wnioskiem wyciągniętym z marksizmu, a po wtóre racjonalny jest w ogóle

- jako nowa siła wytwórcza, co prawda nierentowna w kategoriach wydajności pracy, ale procentująca istnieniem systemu /umożliwia akumulację pierwotną poprzez ekspropriację, przyspiesza tempo pożądanych zmian społecznych: proletaryzacji chłopów, edukacji dyscyplinarnej robotnika, tworzenia nowej stratyfikacji społecznej/. To wszystko nie jest jednak odkryciem Marksa czy Lenina, lecz oświeceniowych myślicieli, takich jak Bentham i Brissot, twórców racjonalnej koncepcji pracy przymusowej i więzień idealnych, będących zwierciadłem systemu politycznego a zarazem lekarstwem na liczne społeczne niedomogi. Mówiąc krótko: Marks jest totalitarny, marksizm jest naukowy, nauka jest racjonalna, a więc "rozum to totalitaryzm" - jak powiada B.-H. Lévy. Antyracjonalizm /oraz irracjonalizm/ będzie więc kolejną wspólną cechą nowych filozofów, eksponowaną z różną mocą. Czytelnika nowych filozofów ogarnia zdumienie, gdy widzi, z jaką łatwością pomijają oni krytykę totalizmów prowadzoną z inspiracji liberalnej i ufundowaną na racjonalnym rozpoznaniu rzeczywistości, oraz liberalne projekty społeczne, realistycznie świadome ograniczeń rozumu, lecz zarazem widzące w nim ratunek przed utopią, przemocą, despotyzmem i barbarią.

Jednakże fakt, iż teza o racjonalności totalizmu powraca tak uporczywie, nie jest bez przyczyny.

Tak się historią koło kręci,
 że najpierw są inteligenci,
 co mają szczytne ideały
 i przeobrazić świat chcą cały.
 Miłością płonąć do abstraktów,
 najbardziej nienawidzą faktów,
 fakty teoriiom bowiem przeczą,
 a to jest karygodną rzeczą.

Tak powiada Satyryk. Istnieje szczególnego rodzaju pycha rozumu, łatwo dostrzegalna w dziejach ludzkiej myśli, rozumu przekonanego o możliwości bezkonfliktowego urzędowania świata, o możliwości zaprojektowania takiego świata dziś, po to, by określiwszy go jako ostateczny cel dziejów, zmierzać ku niemu wszelkimi siłami i środkami. Wiadomo, ku czemu doprowadziła taka postawa. Jednakże dawno już wskazano na opozycję pomiędzy tą swoistą perwersją rozumu, samounicestwiającym się racjonalizmem utopii, jak mówił Popper, a prawdziwym rozumnym nastawieniem, mającym na celu nie projektowanie i ustanawianie ideału, nieuchronnie prowadzące do użycia przemocy, lecz usuwanie konkretnego zła, którego wszak pod dostatkiem jest w każdym miejscu naszego globu. Na tyle dawno, że stawiający znak równości pomiędzy racjonalizmem i totalizmem stawiają zarazem krok wstecz w dziedzinie myśli.

Z antyracjonalizmem spleta się ściśle w nowej filozofii antynaukowość. Dla autorów "Anioła", Lardreau i Jambeta, najbardziej typowym rodzajem dyskursu o rzeczywistości /która w istocie nie istnieje; istnieją tylko różne rodzaje dyskursu/ jest dyskurs naukowy, prawdziwy intelektualny stalinizm, usiłujący zabsolutyzować widzenie rzeczy danych przez naukę w pewnym szczególnym aspekcie. Podobnie Dollé powiada, że jedną z fałszywych dróg, na które cywilizacja europejska wkroczyła po śmierci Boga było przeświadczenie o wszechmocy nauki. Faktycznie nie prowadzi ona bowiem do rzeczy; narzuca sztuczne, fałszywe widzenie i dlatego jest sojuszniczką nihilizmu, który przewyciężyć może tylko myślenie nad tym, co nie pomyślane, co nauka "zakryła", a co domaga się ujawnienia; chodzi o dotarcie do bytu. Marksizm, który "straszy" w historii Europy zniknie - jako plód myślenia naukowego - gdy odnajdzie się w tej historii to, co "niepomyślane".

A więc nowi filozofowie są przede wszystkim "anty" - antymarksistowscy, antynaukowi, antyracjonalni, a także anarchicznie wrodzili wszelkiej władzy - w szczególności antystatystyczni. Polityczny nurt ich myślenia ogniskuje się na problemie władzy - którą najczęściej traktują jako tożsamą ze Złem. "Istotą władzy jest perwersja, bowiem istotą władzy jest władza absolutna" - twierdzi Dollé. Tego samego zdania są Lardreau i Jambet, Glucksmann oraz Lévy - przy czym jedni mają na myśli władzę polityczną, dla innych natomiast polityka jest tylko pewnym wcieleniem władzy, ta zaś stanowi główną zasadę, rodzaj arché rzeczywistości ludzkiej czy też jej formę a priori - podobnie jak przestrzeń i czas u Kanta. Władca - powiada Lévy - jest innym imieniem świata, jest pro-

jakoją wewnętrznego ideału, tworem umysłu, a zarazem jedyną, niesprowadzalną do żadnej innej formą rzeczywistości. Lévy neguje istnienie jakiegokolwiek poziomej, autonomicznej wobec władzy więzi społecznej, zatem, jak twierdzi, wykracza zarówno poza pesymizm prawicy, dla której władza pochodzi z natury, więc jest wieczna, jak i optymizm lewicy, przeświadczony o jej istnieniu kulturowym, a więc śmiertelności. Władza będzie trwała tak długo, jak długo będzie się tworzyć jakakolwiek więź społeczna - a możliwa jest tylko więź "pionowa" - jest więc zarazem wieczna i śmiertelna. Rewolucja, jako nadzieja na zrzućcenie jej jarzma stanowi pojęcie wewnętrznie sprzeczne, bowiem władza porządkując zbiorowość ludzką jest jej faktycznym demiurgiem. Stąd rozpaczliwy pesymizm, bo władza równa się złu a także redukcja rzeczywistości do różnych postaci władzy. A więc język jest pojęciową klatką, spoza której prętów nie sposób wydrzeć się w myśleniu. Glucksmann mówi rzecz podobną, mając na uwadze konkretną postać totalizmu, i konkluduje: poprzez język partia i policja podporządkowuje sobie prawdę; policja awansuje do roli "funkcjonariusza egzystencji". Partia układa kwestionariusz zawierający to, co istnieje i co ma prawo do istnienia, policja zaś przepytuje z jego pomocą społeczeństwo.

Dziełem i własnością Władcy jest czas i historia. Nie istnieje żaden czysty, nieskażony władzą stan natury, do którego możnaby się odwołać. Na początku była władza. Indywiduum też jest tylko pozorem - wszak istnieje tylko w dialektycznym związku z władzą. Nie ma więc w gruncie rzeczy sensu pojęcie ucisku ani wyzwolenia. Jednakże jest coś takiego, jak wola indywidualnego istnienia i pragnienie wyzwolenia - więc pewne imperatywy sprawiające, że nie cały świat jest otoczony drutami kolczastymi i usiany więźciami strażników.

Konkretnym wcieleniem reprezentowanego przez Władzę zła jest Państwo. Państwo - powiada Lévy - rozwija się przez redukcję, przez amputację samocenzurujących urzędów, aż "doskonałość" osiąga w systemie totalitarnym. Państwo także ^{powstaje} na skutek kryzysu sacrum; na miejsce obumarłej religii wdziera się anaroha albo totalizm, czyli państwo niczym nie ograniczone, pozbawione swej symbolicznej roli. Desakralizacja władzy prowadzi do kultu państwa. W totalizmie po raz pierwszy Władca jest całkowicie suwerenny - nie ma ponad sobą nikogo, Boga ani ludu, ani prawa fundamentalnego. Do takiego oto wniosku możnaby sprowadzić rozwichrzoną logikę Lévy'ego and Co.: rozum pragnie wprowadzić ład w rzeczywistość, więc w tym celu zmierza do władzy. Każda władza zmierza do władzy absolutnej, której odwrotną stroną jest absolutne zniewolenie. A więc każda władza jest złem - i rozum również.

Trzeba powiedzieć, że takie widzenie Władcy i Państwa, aczkolwiek wygląda efektownie i działa na wyobraźnię, poznawczo jest niemal całkowicie niesfunkcjonalne. Pewne spostrzeżenia dotyczące państwa totalitarnego wydają się trafne - lecz odnosząc wszelką formę władzy do tego jednego modelu przestaje się cokolwiek rozumieć z kwestii politycznej. Totalna krytyka Państwa znaczy w istocie odrzucenie Prawa; zaś ^{nie}dostrzeganie istotnych różnic pomiędzy władzą typu despoticznego a różnymi jej rodzajami wykształconymi w celach samorządowych paraliżuje wszelką możliwość rzeczywistej analizy jej problemów. Co prawda szczególnie niekorzystne obciążenie stanowi tu dla nowych filozofów ich formacja intelektualna: wykształceni w psychoanalitycznej szkole Lacana mają skłonności do wysuwania uniwersalnych podejrzeń o niegodną miłość do Władcy; trudno im rozróżnić pomiędzy świadomym i krytycznym podporządkowaniem się władzy uznanej za legalną, a owym "L'amour du censeur" - jak brzmi tytuł dzieła jednego z uczniów Lacana, Pierre Legendre'a.

Skutkiem takiego niezróżnicowanego obrazu władzy jest charakterystyczny manicheizm, głoszony przez kilku spośród nowych filozofów. Lardreau i Jambet nawołują do niego wprost: są dwie historie, powiadają, ta, którą wszyscy mamy przed oczyma, historia Pana, oraz historia Buntownika, którą należy zgłębić i pójść jej drogą. Prawdziwy Buntownik to nie ten, który przyjmuje walkę na terenie Pana po to najwyżej, aby zwyciężywszy, jednego zastąpić innym, lecz taki, który wychodzi w inną przestrzeń, gdzie nie ma Prawa ani Pana. Dlatego prawdziwą rewolucją nie będzie rewolucja ideologiczna typu 1789 czy 1917, lecz rewolucja kulturalna, porównywalna do dziejów wczesnego chrześcijaństwa, która rozszczepli historię na dwoje - na brudną historię walki, władzy i prawa i

na czystą, anielską historię moralistów, metafizyków i artystów, duchów niepodległych, wiecznych Buntowników.

Inną, konkretniejszą postać manichejski ów dualizm przyjmuje u Glucksmanna. Tutaj historia rozpada się na historię Państwa i historię Plebsu. Rozpatruje je autor "Kucharki i Ludojada" na przykładzie Rosji sowieckiej, wszakże jego zdaniem charakteryzują one całą naszą kulturę, tyle, że w Rosji widać je ze szczególną wyrazistością, w krańcowym kształcie. "Plebejusz" nie jest określeniem klasowym, nie określa go stosunek do środków produkcji, lecz zdrowy, naturalny stosunek do rzeczywistości, nie uwikłany w kategorie ideologiczne. Ideologia, zwłaszcza marksizm-leninizm wraz z teorią partii rewolucyjnej, to filozofia władzy, "głos pana", jemu zawsze i tylko przyznający rację. Kto się nią posługuje, niezdolny jest do oporu, bowiem zacierą się dla niego granica pomiędzy "my" i "oni", między wrogami a sojusznikami wśród tych, co się tej ideologii przyznają. Prowadzi ona wprost do współpracy ofiar z aparatem ucisku, do fenomenów takich, jak procesy moskiewskie. Plebejusza natomiast nie da się uwikłać w nadrzędne racje stanu, partii czy idei. Jest on zdolny do wolności poprzez swą zdolność do oporu. Glucksmann nie bez słuszności stwierdza, że Solżenicyn w swoich tekstach wciąż tropi i testuje to, co w nas stawiało opór, a co poddawało się totalizmowi, oraz że plebejusz właśnie jest głównym bohaterem autora "Oddziału chorych na raka" - Kostogłotow, Denisowicz, Spiridon z "Pierwszego kręgu".

Dualizm ten jest widoczny i u innych nowych filozofów. Lévy, Dollé, Guérin - wszyscy oni potępiają rzeczywistość polityczną Wschodu i Zachodu, świat, w którym widzą jedynie grę wyobcowanych sił, z fatalną koniecznością działających na rzecz nadciągającego barbarzyństwa, doskonałego totalizmu. Źródłem nadziei jest wobec takiego świata "antybarbarzyński intelektualista" - kontestator, metafizyk w poszukiwaniu ^{możliwego} - jak sądzi większość - czyli miejsca, do którego można by umknąć spod panowania Władcy, artysta, moralista.

Charakterystycznym zjawiskiem jest ewolucja owego dualistycznego widzenia, nie jest bowiem ono niczym nowym. Przesuwa się jedynie granica pomiędzy regionami opatrzonymi odmiennymi znakami, dodatnim i ujemnym. Jako rycerze ideologii ci, którzy mieli stać się nowymi filozofami potępiali w swoim czasie Zachód, kapitalizm, raj upatrując na Wschodzie - w Moskwie czy Pekinie. Doświadczenia, które skłoniły ich do zmiany stanowiska nie doprowadziły ich wszelako do odkrycia jakichkolwiek wartości od zawsze wzgardzonego Zachodu. Fałszywe przekonanie, że "państwo faszystowskie to państwo liberalne zredukowane do samej swej istoty" /Fr. Chatelet/ nadal pozostało w mocy; demokracja zaś i jej wolność to pozory, skrywające ucisk i zniewolenie. Dla Lévy'ego np. socjalizm jest tylko "ostatnim stadium kapitalizmu", systemem, w którym kapitał traci co prawda na dynamice, lecz staje się doskonałym, ostatecznym, zrównoważonym homeostatem. W tym sensie socjalizm jest "niekończącym się końcem historii".

A więc cały świat zasługuje na potępienie - zbawionymi są ci, którzy wyrwają się w przestrzeń, gdzie nie sięga dłoń Władcy - artyści, myśliciele, "plebejusze". Dualizm przestrzenny zastąpiony zostaje czasowym - granica pomiędzy "dobrem" a "złem" przebiega teraz nie poprzez lądy, lecz poprzez dzieje świata.

Tak radykalna jednakże aksjologiczna negacja świata, przy równoczesnej kompromitacji utopii, a więc niemożności znalezienia w niej przystani, jest pozycją ogromnie niewygodną, zaułkiem bez wyjścia. Polega ona bowiem na przyjęciu z góry przegranej zakład, wyraża się w głębokim najczęściej pesymizmie w którym, niemal jak u Leopardiego, życie utożsamia się z rozpaczą, i wymaga heroicznego trwania na stanowisku z całkowitą niemal pewnością uznaniem za stracone. Stąd też u niektórych nowych filozofów rodzi się podejrzenie: może jest jakaś szansa, by spoza dyskursu wyłoniła się rzeczywistość? Dość mają przemiany wszelkiego ciąża w słowo /właściwej, zdaniem Bierdiajewa, dla dekadentyzmu/, nie tylko w literaturze, ale i w samym życiu. "Znaki ich męczą i tęsknią do rzeczy" - by sparafrazować Ważyka. Znać tę tęsknotę u Dollégo, u Lévy'ego, nawet u Benoista, widzącego pośród przyczyn majowej rebelii takie

właśnie potępienie rzeczywistości wywodzące się ze zradkalizowanego zwątpienia w nią. Zwątpienie to porównywalne jest do Kartezjuszowskiej hipotezy Złotliwego Demiurga, wprowadzającego nieustannie w błąd poznający podmiot; dziś temu demiurgowi - powiada Benoist - na imię alienacja.

Pesymizm nowych filozofów spotęgowany jest zapewne przez fakt, że w ich koncepcji dziejów tylko działania negatywne, bunt lub opór są świadectwem ludzkiej wolności. "Kosmiczne siły" działające w historii popychają ją fatalnie i niechybnie ku totalizmowi - pogląd ten zdaje się być nieco zbyt prostą inwersją progresywnych marzeń. Brak im zrównoważonego przeświadczenia, jakie było udziałem np. Ortegi, zgodnie z którym żadna ludzka zdobycz nie jest trwała i wszystko, co wydaje się osiągnięte, zniknąć może w ciągu niewielu pokoleń, w każdej chwili możliwe jest nowe barbarzyństwo. Lecz przecie jeśli utrzymywaliśmy w sobie świadomość tej kruchości, niestabilności cywilizacji i kultury, jeśli uda się nam zachować należyta ostrożność, to mamy szansę przetrwania, a może nawet zwiększamy swój stan posiadania.

Czy nowi filozofowie są rzeczywiście nowi? Zapewne wśród zaskakujących meandrow ich stylu można ułować te czy inne świeże myśli, choć gdy wydobyc je z głębokich i krętych nurtów francuskiej składni, zwykle płowieją ich barwy, jak na kolorowym kamyku wyjętym z górskiego potoku. Lecz żadna przecież spośród wspólnych idei przenikających ich dzieła nie może pretendować do miana nowości: zarówno sprzeciw wobec marksizmu jak i antytotalizm, antyracjonalizm, antyetatyzm, anarchizm, pesymizm i manichejski dualizm zostały pomyślane już dawno temu. Szczególnie w naszym kręgu doświadczeń odkrycia ich, dekonywane z żarliwością neofitów, razić nieraz mogą swą banalnością. Jednakże nie całkiem bez przyczyny przyszło do nich to nazwanie. Bowiem nowy jest ów syndrom treści, a zwłaszcza język, w jakim jest wypowiedzany. Krytyka marksizmu czy systemu sowieckiego nie jest rzeczą nową, lecz nie była do tej pory wygłaszana w języku ludzi wychowanych na lekturach Marksa, Lazo, Lenina i Trockiego oraz Lacana, Foucaulta, Althussera, Deleuze'a czy Derridy. Są tani więc nowością z punktu widzenia socjologii zachodniej inteligencji. W tym leży sens naszego zainteresowania nimi i nadzieja, jaką w nich pokładamy: nowy filozof jest pomimo wszystko rozumniejszy od tłumy jakże inteligentnych zachodnich idiotów, obśmiewanych u nas tu i ówdzie z gorzką niemocą, np. w felietonach Kisielea. Nadto - jest on szeroko słyszany, znajduje się bowiem w obrębie horyzontu poznawczego tych wszystkich, którzy posiadają podobną mu formację. A takich jest wszak legion.

Usytuowanie nowych filozofów na tradycyjnej politycznej mapie, gdzie strony świata wyznaczone są słowami "lewica" i "prawica" nie jest łatwe i może być mylące. Z jednej strony dlatego, że pojęcia te, które u nas już dawno straciły jednoznaczność, również i na Zachodzie stają się coraz bardziej niejasne, migotliwe i wymagają uzupełniających określeń. Z drugiej - ponieważ poszczególne cechy myślenia nowych filozofów umieszczają ich w rozmaitych punktach tradycyjnej mapy. Marksizm jest od wieku podstawowym składnikiem ideologii lewicy. Antymarksizm kieruje ich więc na prawo. Antyracjonalizm i pesymizm tradycyjnie łączą się z postawami konserwatywnymi. Anarchizmem nacechowana była zarówno konserwatywna jak i goszystowska utopia. Manichejskie dychotomie na "zbawionych" i "potępionych" przez historię wyraźnie dostrzegalne są u lewicy. Nowi filozofowie - wyjąwszy J.-M. Benoista, jeśli go zaliczać do tej grupy - nie brali dotąd czynnego udziału w grze politycznej, jednakże, jak wynika z ich wypowiedzi, sami siebie zdecydowanie umieszczają na lewicy. Równocześnie przez większość obserwatorów zewnętrznych - zarówno z prawa jak i z lewa - traktowani są jako sojusznicy prawicy, i tak odbiera ich przeważająca część opinii publicznej. Ponieważ jednak pojęcia "lewicy" i "prawicy" domagają się, jak mało które, nowego określenia, sytuacja ta obarczona jest znacznym stopniem względności.

Nowi filozofowie są na tyle młodzi, że wiele można po nich oczekiwać, ufam, że nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Niejmy nadzieję, że dla dalszej fazy ich rozwoju naszkicowana powyżej krytyka stanie się bezprzedmiotowa.

Jak się okazuje, na dwadzieścia lat przed pojawieniem się nowych filozofów scharakteryzował ich znakomicie Witold Gombrowicz. Pisał wtedy rzecz jasna zupełnie o kim innym, lecz przecież charakterystyka przez niego sformułowana pasuje jak ulał do naszego tematu. "Ci ludzie są jak dzieci, które by chciały wybudować nową budowlę dysponując jedynie kupą starych i pomieszanych klocków z wielu poprzednich imienin - buduje się im nie to co chcą, i coś nieskładnego, arkady zamkowe, fasada domku szwajcarskiego, komin fabryczny i okno kościelne... "słuchując się w te uczone dyskusje wyczuwamy fatalne wykształcenie, fatalne wychowanie nawet i, nade wszystko, nieobecność stylu, który by pozwolił nieraz świetnym zdolnościom zdobyć się na osiągnięcie - wszystko jest rupieciarnią, chaosem, nieumiejętnością i brudem. Tyle, tyle brudu! Tyle śmiecia! Mimo to parcie podziemne ich niespokojnej, tragicznej, brutalnej, rozczarowanej inteligencji wydaje mi się nieskończenie silniejsze... i chyba powinno wydobyć się w końcu na powierzchnię."

Wojciech Pazdur

P r z y p i s y

- 1/ Nie chciałbym się deklarować jako wróg strukturalizmu w ogóle. Metoda strukturalistyczna okazała się niezmiernie płodna w wielu dziedzinach nauki. Gdy jednak przekształca się w filozoficzną antropologię i ontologię, konkluzje strukturalizmu zdają się zagrażać fundamentalnym religijnym i filozoficznym intuicjom tyżącym autonomii człowieka i jego wolności.
- 2/ Wydarzenia umysłowe, o których w tym tekście wspominał, dotyczą nade wszystko Francji, głównie Paryża i tam mają swe źródło. Pozwalam sobie jednakże na nieco uogólniający sposób mówienia o nich, ponieważ Paryż - choć przeszedł już dawno być naukową stolicą świata, i mimo swoistego prowincjonalizmu tego miasta, zapatrzonemu w siebie - jako miejsce narodzin współczesnych idei, tendencji, mitów i mód wciąż jednak odgrywa czołową rolę i to, co się tam dzieje, o czym się dyskutuje, odbija się szerokim echem nawet w Nowym Świecie. /Nb. amerykańska prasa sporo uwagi poświęciła nowym filozofom/.
- 3/ W przeciwieństwie do publikowanych dotychczas rewelacji na temat stosunków w Rosji, które przechodziły jak dotąd bez większego echa. Bądź co bądź prawda o obozach znana była na Zachodzie już od dziesiątków lat; warto pamiętać, że w jej ujawnieniu mieli wydatną rolę Polacy /np. J. Czapski: Na nie-ludzkiej ziemi, czy G. Herling-Grudański: Inny świat/.
- 4/ Najważniejszymi, bo nowi filozofowie, choć raczej młodzi - liczą na ogół około trzydziestki - mają już nieraz na koncie po dwie lub trzy książki, co prawda pisane nieraz ze skrajnie przeciwstawnych pozycji.
- 5/ Nie będziemy się pod tym względem różnić od większości komentatorów. Oto przykładowe tytuły artykułów o nowej filozofii: "Którędy do Gułagu? - pierwszą na lewo!" lub "Nowa filozofia czy stary antykomunizm?" albo: "Nowa prawica czy ostatnia moda?" itp.

NIE PRAWA MARKSIZMU, LECZ PRAWA CZŁOWIEKA
Rozmowa "Pulsu" z André Glucksmannem

"Puls": Wydał Pan 4 książki filozoficzno-polityczne. W jednej z nich, "Kucharka i Zjadacz Ludzi" mówi Pan, że rewolucja odbywała się na Wschodzie, a Zachód obserwując to, co działo się w dalekiej Rosji teoretyzował i wyciągał wnioski. Jak to się mogło stać, że wydarzenia te zostały tak dobrze pojęte i tak trafnie zanalizowane właśnie tu, na Zachodzie przez ludzi, których noga nigdy nie stanęła w tamtym kraju.

André Glucksmann: Przede wszystkim nikt z nas nie analizował tego, co nastąpiło w krajach socjalistycznych dlatego po prostu, że analiza tego typu może być dokonana wyłącznie na miejscu, przez tych, którzy skazani są na socjalizm. Punktem wyjścia mojego rozumowania były analizy dokonane przez nich, głównie - ale nie wyłącznie - przez Sołżenicyna. Chciałem ocenić nasz stosunek, stosunek intelektualistów zachodnich do tego, co tam nastąpiło. Nie wydaje mi się, żeby nasz stosunek różnił się zasadniczo od stosunku intelektualistów stamtąd do tego, co działo się wokół nich. Chcę przez to powiedzieć, że w gruncie rzeczy rewolucja przez duże R odbywała się pod naszymi oknami, tak samo jak pod oknami wszystkich ludzi na Wschodzie. Sądzę, że od czasu rewolucji francuskiej intelektualiści byli ściśle związani z rewolucją, która nie odbywała się w ich własnym kraju: intelektualiści niemieccy - z rewolucją francuską, tak samo jak intelektualiści zachodnioeuropejscy z rewolucją rosyjską, chińską czy kubańską. Jest to powiązanie, konfrontacja teorii z wydarzeniem; teorii, która czuje się powołana do naukowego kierowania wydarzeniem.

Zaślepienie i krótkowzroczność intelektualisty zachodniego w stosunku do Gułagu nie różni się zasadniczo od zaślepienia i krótkowzroczności intelektualisty socjalistycznego w stosunku do tego, co działo się tuż wokół niego. Mam na myśli ślepotę nie tylko intelektualisty, ale także robotnika w stosunku do tego, co dzieje się na wsi czy chłopa w stosunku do tego, co się dzieje w mieście w najtragiczniejszych okresach Gułagu.

"Puls": Czy nie myśli Pan, że intelektualiści, najbardziej świadoma część społeczeństwa, stanowili primum movens ruchów rewolucyjnych, podczas gdy rewolty robotników miały tło ekonomiczne, w każdym bądź razie na początku? Np. w Czechosłowacji mała grupa intelektualistów rozpoczęła ten ruch; w Polsce w 1956, 1970, 1976 - również. Później oczywiście uległo to zmianie.

A.G.: Nie wydaje mi się, żeby to było prawdziwe we wszystkich krajach Europy Wschodniej i żeby ruch ten zaczynał się w ten sam sposób we wszystkich tych krajach. Prawdę mówiąc, opieram się na analizach dokonanych na miejscu, włącznie z najważniejszym dokumentem, jakim jest "Archipelag Gułag". "Archipelag" uważam zresztą nie za dzieło jednego, nawet najgenialniejszego pisarza, ale za świadectwo tysięcy ocalałych z Gułagu ludzi; świadectwa, które Sołżenicyn zebrał tworząc prawdziwe dzieło naukowe, jakiego nigdy nie próbowali opracować marksiści starannie omijając ten temat.

"Puls": Sołżenicyn był więc swego rodzaju rewelacją.

A.G.: Tak, jest to świadectwo walki przeciw gułagowi. I to jest rewelacją dla Zachodu, a nie ujawnienie masy dokonanych tam zbrodni. Te były znane na Zachodzie od samego początku. Można powiedzieć, że pierwszym, który je ujawnił był Isaac Steinberg, minister sprawiedliwości Lenina do stycznia 1918 roku, który zademonstrował przed światem czerwony terror. Jego opis sytuacji stanowił już wtedy mały "Archipelag Gułag". To, co jest nowe u Sołżenicyna, to czego nie zrobił nikt przed nim, to nie ujawnienie zbrodni, ale ujawnienie świadectw oporu. Sołżenicyn przedstawił rodzaj bilansu 40-tu lat opozycji w gułagach. I tu właśnie nie zgadzam się z Panem. Według Sołżenicyna wielkie procesy moskiewskie z lat 1936-1940 nie mogły objąć małych prowincjonalnych powiatów i wsi rosyjskich po prostu dlatego, że masy, tzn. mali urzędnicy wiejscy, przewodniczący kołchozów, mali aparatczycy lokalni itd. nie byli wystarczająco wykształceni, aby pójść w ślady Bucharina. Bucharin przeprowadza samokrytykę w imię dobra socjalizmu, sam obcina własną głowę, przyznając się przed sądem do

niedokonanej zdrady. Wali, niedouczeni ideologicznie przewodniczący kolchozów z małych prowincji rosyjskich nazywają faszystami nie samych siebie, ale swych sędziów. Myślę więc, że już na samym początku istniał opór jednostek, niekoniecznie intelektualistów, chociaż mogło się to zdarzyć, że byli wśród nich i intelektualiści, ale najczęściej byli to robotnicy i chłopci. To właśnie opisuje Krawczenko w "Wybrałem wolność" mówiąc o swych rodzicach, którzy byli kolejarzami-socjalistami i nigdy nie pogodzili się z istnieniem Gułagu.

"Puls": Wydawało mi się, że odwrotnie - wielkim problemem jest brak uświadomienia tych zwykłych ludzi, którzy nie protestują, ponieważ są nauczani doktryny, mają zasłonę na oczach i nie widzą zła.

A.G.: Ależ właśnie Sołżenicyn pokazuje nam, że do roku 1940 największy opór stawią chłopci i robotnicy. Nie nazywa tego zresztą opozycją mas chłopskich i robotniczych. Opór w Gułagu był zawsze indywidualny - przeciwstawiają się pojedynczy chłopci, pojedynczy robotnicy i pojedynczy intelektualiści.

Nie znaczy to, że tak samo było w Polsce lub w Czechosłowacji. Są to inne społeczeństwa, z innymi tradycjami, a na dodatek obca okupacja była tam praktycznie permanentna.

Nie chcę wyciągać wniosków, ale wydaje mi się, że dla intelektualisty zachodniego jest ważne dojrzenie własnej krótkowzroczności w sprawach dotyczących Wschodu i zrozumienie, że identyczna była krótkowzroczność dużej masy intelektualistów rosyjskich. Można to znaleźć u Sołżenicyna, ale również w pamiętnikach Mendelstemma.

"Puls": Na czym polega Pana negacja marksizmu? Czy jest Pan antymarksistą czy też - jak to nazywano do niedawna - rewizjonistą?

A.G.: Jeżeli przez rewizjonizm rozumie się socjalizm o ludzkim obliczu, tak jak to było w zwyczaju, to nie jestem rewizjonistą. Wydaje mi się, że socjalizm jest doświadczeniem, którego czas minął i że bilans w szczególności doświadczenia czeskiego jak i doświadczenie oporu w gułagach dowodzą, że opozycja w łonie partii komunistycznej lub wewnątrz ideologii marksistowskiej spaliła na panewce. Kryzys marksizmu nie jest dziś spowodowany wewnętrznymi problemami doktryny ale faktem, że dzisiejsze ruchy wolnościowe wewnątrz wielkiego imperium socjalistycznego nie powołują się już na prawa marksizmu, ale na prawa człowieka. Jakikolwiek by nie były uzasadnienia tych ruchów - narodowe, lokalne, religijne, kulturalne - to kształt ich może wyrazić się w programie walki o prawa człowieka, ale nie wyraża się w programie socjalistycznym, nawet w wersji socjalizmu humanistycznego. Fakt, że ludzie, którzy przeciwstawiają się totalizmowi w swej ogromnej większości nie powołują się już na "socjalizm o ludzkim obliczu" wydaje mi się wystarczająco wymowny i godny zastanowienia. Tak więc punktem moich rozważań nad marksizmem jest doświadczenie tych, którzy go doznają i którzy mu się przeciwstawiają tak, jak punktem wyjścia rozważań Marksa nad kapitalizmem /i tu Marks jest mi sympatyczny/ było doświadczenie robotników angielskich, tzn. doświadczenie robotników w społeczeństwie najbardziej kapitalistycznym owego czasu. W tym wypadku idę za poradą Marksa i w rozważaniach nad marksizmem opieram się na doświadczeniach mas żyjących w socjalizmie.

"Puls": A zatem?

A.G.: Wnioskuje, że 1/ jest to metoda ucisku; 2/ aby się jej przeciwstawić, nie musi się być marksistą. Wydaje mi się, że to jest właśnie ta wielka prawda, którą przyniósł nam ruch dysydencki na Wschodzie w swych wieloletnich formach i że właśnie to powoduje kryzys marksizmu na Zachodzie. W ten sposób kryzys socjaldemokracji w latach 1914-1940 spowodowany był faktem, że nie była ona w stanie nie tylko stanąć na czele, ale nawet poprzeć lub choćby tylko sympatyzować z ruchami wolnościowymi w krajach trzeciego świata, do których zaliczała się wówczas również Rosja.

"Puls": Jednym słowem liczy się Pan z radami Marksa, a jednocześnie jest Pan antymarksistą?

A.G.: Uważam, że w tym wypadku Marks wykazał dużo zdrowego rozsądku konfrontując zasady Anglii wiktoriańskiej z rzeczywistością Anglii robotniczej. Nie jestem antymarksistą. Uważam, że już samo sformułowanie "antymarksizm" stanowi

zbyt duży honor dla marksizmu, gdyż zakłada, że stanowi on doktrynę, w której jest jakaś logika. Myślę, że na marksizm składają się różne elementy. Po pierwsze marksizm jest ideologią, ale ideologią taką, jak rozumie ją Sołżenicyn. Według Sołżenicyna ideologie są mnożnikami zbrodni. Np. Makbet był kryminalistą bez ideologii i popełnił 7 zbrodni indywidualnych. Przy pomocy ideologii, jakakolwiek by ona nie była, może to być pomnożone przez milion lub przez 10 milionów, co daje 7 milionów lub 70 milionów zbrodni w zależności od tego, czy znajdujemy się np. w Rosji /gdzie będzie to raczej 70 milionów/, czy też w mniejszym kraju, a wtedy dochodzimy tylko do 7 milionów. W Kambodży na 7 milionów mieszkańców jest już przypuszczalnie 2 miliony uśmierconych. Nie jest to mało.

Chcę przez to powiedzieć, że marksizm działa dwójako: jako d a n a ideologia i zarazem tak, jak w s z y s t k i e ideologie - np. podobnie jak jakobinizm czy chrystianizm. Jakobinizm wiąże się Sołżenicynowi z podbojem Europy lub z wojną wandejską, tzn. z rzezią chłopów lub z terrorem paryskim, który był masakrą zwykłych, małych ludzi, a nie wyłącznie wielkiej arystokracji. Chrystianizm kojarzy mu się z Inkwizycją. Istnieją ideologie nacjonalistyczne jako teorie i istnieją ideologie imperialistyczne konkretne, jak np. ta, która uzasadniała wojnę w Wietnamie z punktu widzenia amerykańskiego czy francuskiego. A więc kolonializm /= imperializm/ jest ideologią i zarazem jej mnożnikiem. Marksizm jest jedną z takich ideologii, ale nie jest jedyną. Dlatego właśnie jest antymarksista. Uważam marksizm za jedną z odmian morderczych ideologii XX wieku. Uważam, że jako jedna z odmian nie różni się pod względem logiki i sensu od żadnego kolonializmu czy ogólnie biorąc imperializmu.

"Puls": Czy rozumieć przez to, że marksizm jest przyczyną całego zła naszej epoki?

A.G.: Odpowiem na to w oparciu o to, czego nauczycieli nas dysydenci, tzn. że przyczyną Gułagu i przyczyną zbrodniczego funkcjonowania ideologii nie jest Gułag jako taki i nie jest sama ideologia, ale jest brak oporu przeciw temu Gułagowi, przeciw tym ideologiom. Po pierwsze - brak oporu danej populacji, w tym wypadku ludności rosyjskiej czy ludności polskiej; po drugie - brak reakcji ludzi z zewnątrz, czyli nas wszystkich.

"Puls": Ale skąd bierze się ten brak oporu?

A.G.: Właśnie. Uderzył mnie fakt, że w gruncie rzeczy Sołżenicyn analizuje Gułag i jego przyczyny w taki sam sposób, w jaki najuczciwsi historycy faszyzmu niemieckiego analizują przyczyny faszyzmu niemieckiego. W obu przypadkach, według Sołżenicyna, brakowało od początku zdolności protestu indywidualnego. Sołżenicyn mówi: kiedy aresztują nas o świcie, nie krzyczymy. Nie krzyczymy, nie alarmujemy ludności, nie reagujemy, liczymy na władzę, wierzymy, że w naszym wypadku jest to tylko pomyłka, która się wyjaśni itd. Przez respekt dla ustalonego porządku nie krzyczymy, że jesteśmy niewinni.

"Puls": Nie wiem, czy to przez respekt, czy też przez strach...

A.G.: Sołżenicyn podaje swój własny przykład. Kiedy aresztowano go na froncie niemieckim, zerwano mu szlify oficerskie i ordery. Było to dla niego strasznie nie ważne, aby sekretarki, koło których przechodził nie zauważyły, że został zdegradowany. Píše: "Tak samo było z moimi przewodnikami, tzn. kgb-owcami, którzy mnie zabierali. Nie wiedzieli jak iść, błądzili, parę razy gubili drogę. Nie byli nigdy na froncie, a między frontem i tyłami droga była zawiła. I ja pokazałem im drogę. Potem zgubili się znów w metrze moskiewskim w drodze do Łubianki. I tym razem znów ja pokazałem im drogę zamiast alarmować ludzi, zamiast krzyknąć: aresztują mnie niesprawiedliwie!"

Sołżenicyn mówi: To mój respekt dla moich odznaczeń, dla moich szlif oficerskich sprawił, że nie protestowałem, nie alarmowałem. Ten respekt czasem dotyczy szlif oficerskich, innym razem godności intelektualisty; może być wielorakim respektem paraliżującym działanie i opór. Uderzyło mnie, że gdy Sołżenicyn mówi, że przyczyną powstania Gułagów w Rosji był brak protestu cywilnego, to mówi on dokładnie to samo, co mówili historycy niemieccy o początkach nazizmu w Niemczech.

"Puls": Znaczyło by to, że porównuje Pan te dwa systemy? Czy nie jest to przesada?

A.G.: Oczywiście. To, co porównuję jest proste. Porównuję system z punktu widzenia tych, którzy mu podlegają. W sytuacji, w której i tu i tam istnieją obozy koncentracyjne uważam systemy te za porównywalne. Tzn.: system obozów koncentracyjnych zakłada pewną organizację społeczną i nawet Amerykanie, kiedy stworzyli obozy koncentracyjne w Wietnamie, zmuszeni byli przyjąć identyczny system.

"Puls": Czy nie uważa Pan za przesadę porównywanie nazizmu niemieckiego z totalitaryzmem wschodnim?

A.G.: Wydaje mi się, że należy być bardzo ostrożnym w rozróżnianiu okresów i krajów. Np. socjalizm polski jest importowany z zewnątrz w odróżnieniu od Rosji, która od 60-ciu lat żyje w raju socjalistycznym. Nie można powiedzieć, że w danym społeczeństwie ludzie są tacy lub inni nie biorąc pod uwagę jego historii. Spójrzmy na Rosję. 60 milionów zabitych - rzadko który naród tego doświadczył - jeden Rosjanin na trzech. Był to taki upust krwi, że nie można porównać żadnego społeczeństwa, w którym Gułag dopiero powstał ze społeczeństwem, w którym władza już od 60 lat. Wystarczy spojrzeć na historię Francji. Ponad milion zabitych w wojnach napoleońskich i w wojnie 1914-1918 spowodował upadek inicjatywy i zdolność do życia bez rewolt przeciw niesprawiedliwościom. To co dopiero może spowodować 60-letnia wojna domowa! A bunt samobójczy - np. pijaństwo rosyjskie? Jest to oczywiście - poza tradycją zarazem rządową jak ludową - również forma buntu. Np. robotnik rosyjski nie może protestować przeciw majstrowi czy dyrektorowi fabryki, jeśli nie jest pijany. Gdy jest pijany, może sobie pozwolić na wiele więcej i pozwala sobie. Dlaczego? Dlatego, że dyrektor mówi sobie: o, ten jest taki sam jak my, jest jednym z nas. I kładzie te protesty na karb pijaństwa.

Ale wróćmy do ideologii. Powiedziałem, że primo - ideologia pomnaża zbrodnie w tym sensie, że potrzebna jest do stworzenia, zorganizowania społeczeństwa totalitarnego. Jakakolwiek ideologia: kolonialna, rasistowska czy też marksistowska. Ale - secundo - powiedziałbym również, że ideologia marksistowska jest tylko jedną z odmian wielkich ideologii podbojów i przekształcenia społeczeństw ludzkich, które narodziły się w XIX wieku. W gruncie rzeczy pomysł Amerykanów polegający na opustoszeniu wsi wietnamskich dla odnowy i przestruk-turowania społeczeństwa nie różni się zasadniczo od leninowskiej idei takiego przerobienia ludu rosyjskiego, aby stał się zdolny do ekspansji ekonomicznej, do budowy socjalizmu itd. W obydwu przypadkach mordercze środki przemocy - czy są to bombowce D-25, czy też karabiny radzieckich policjantów - służą do wymazania przeszłości, tradycji i religii, ducha narodowego. I zaczynając od tej białej karty, od wypranych mózgów i wykorzenia przeszłości mają stworzyć nowego człowieka nowoczesnej ekonomii. Marksizm jest tylko jedną z tych technokratycznych i totalitarnych ideologii świata. Prawdą jest, że wariant polski jest inny.

"Puls": Czy widzi Pan jakieś wyjście z tej sytuacji?

A.G.: Lekarstwem na to jest opozycja. Dzisiaj nazywa się to walką o prawa człowieka.

"Puls": Jak w takim razie wyobraża Pan sobie nową strukturę społeczną?

A.G.: Nie wyobrażam sobie przyszłego społeczeństwa. Nie chcę wyobrażać sobie nowego społeczeństwa, nie chcę przyznać sobie prawa do tej białej karty, czy też - jeśli Pan woli - czarnej tablicy, na której zaprojektuję plan czy program nowego społeczeństwa. Znaczy to, że nie wychodzę od zera aby racjonalnie odbudować świat. Nie chcę powtarzać tego, co było punktem wyjścia marksizmu, heglizmu i strategii amerykańskiej w Wietnamie: oczyszczamy kompletnie teren i zaczynamy od początku - naukowo, racjonalnie itd. Otóż mnie się wydaje, że to co robi polski KOR, czy to co robi rosyjski Samizdat jest o wiele bardziej skuteczne niż ta ideologia całkowitego rozpoczęcia od zera, tak zwana ideologia rewolucyjna.

"Puls": Ale ani KOR ani dysydenci rosyjscy nie mają programu politycznego ani ideologii czy doktryny, na której ma opierać się system polityczny. Na jakiej więc bazie, zasadzie, ma funkcjonować to społeczeństwo?

A.G.: Mają za to taktykę opozycji.

"Puls": Wyobraża więc Pan sobie, że zawsze będzie istniał system totalitarny i opozycja?

A.G.: Nie, niekoniecznie zawsze system totalitarny. Wyobrażam sobie natomiast, że będzie on istniał do końca XX wieku, ponieważ opieram się na realiach. Nie można rozumować tak, jak gdyby nie istniały wielkie mocarstwa ekonomiczne czy też państwowe i jak gdyby nie trzeba było im się przeciwstawiać. Z mocarstwa zmonopolizowanego przez duże organizmy jak partie polityczne czy wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne lub państwowe łatwo powstać może w naszym wieku system totalitarny. Istnieje więc jednocześnie stała gotowość do totalitaryzmu i zarazem opozycja wobec niego. Polacy nazywają ten stan obroną społeczną. Moim zdaniem nazwa ta jest dwuznaczna. Odwołując się do filozofii czy socjologii klasycznej stwierdziło by się, że dotyczy ona społeczeństwa posiadaczy jak u Hegla, albo wyłącznie poszczególnych jednostek. Według mnie chodzi o pojęcie o wiele szersze. Chodzi mianowicie o to, że wszyscy członkowie społeczeństwa przeciwstawiają się tym, którzy nimi rządzą: politycznie, ekonomicznie i wojskowo; że opozycja ludzi, którzy są rządzeni istnieje od tak dawna, od jak dawna istnieją rządy.

Istniała ona już w społeczności, która nie umiała jeszcze czytać ani pisać - mam na myśli Indian. Indianie organizowali samoobronę przeciw państwu, które jeszcze nie istniało, ale mogło w każdej chwili zaistnieć i przyjąć formę tyranii.

U Grotów problem ten postawiony został otwarcie. Znaczy to, że idea samoobrony społeczeństwa jest tak stara jak ono samo, i że właśnie dzięki tej samoobronie społecznej przed rządzącymi istnieją społeczeństwa i istnieje historia ludzkości.

"Puls": Wyobraźmy sobie teraz, że opozycja przyjmie znacznie większe rozmiary i przekroczy granice zakreślone przez rządzących.

A.G.: Mówi się: zniszczymy wszystkie złe władze, wprowadzimy dobrą władzę, która zbuduje nam dobre społeczeństwo. To właśnie było marzeniem rewolucjonistów i filozofów racjonalnych XIX wieku. To było marzeniem zarówno Hegla jak Fichtego. Jakie było ich założenie? Założeniem była możliwość istnienia dobrej władzy, której nie trzeba się obawiać. Oznacza to, że w imię tej władzy można robić wszystko. Postulat ten pojawił się w pewnym momencie historii świata - w XIX wieku. Przedtem zawsze istniały religie, kultury, moralności. Był Shakespeare, był Chrystus, był Budda, aby nam powiedzieć, że państwo i władza z zasady mają coś wewnątrznie złego, że najlepszy książę musi kłamać i musi zabijać. Jest to straszne. Do XIX wieku mówili nam to wszyscy: nie jedna religia, ale wszystkie religie; nie jedna kultura, ale wszystkie kultury; nie jeden pisarz, ale wszyscy pisarze. W XIX wieku pojawiają się filozofowie, myśliciele i działacze, którzy mówią odwrotnie: władze i instytucje są złe, z istoty swojej złe, ale my stworzymy nową i dobrą władzę i mamy za sobą naukę. Otóż tą nauką niekoniecznie jest marksizm. Różne ideologie władają dziś światem. Rezultaty? - Znamy. Ale co od zawsze było lekarstwem na ekspansję władzy? Było to coś, co miało korzenie zarazem w kulturze, w religii i w prawie i czemu można nadać wspólną nazwę praw człowieka. Polegało to na wyznaczeniu obszarów, gdzie władza nie ma władzy, tzn. obszarów życia społecznego nie kontrolowanych przez państwo, czy też przez wielkie potęgi zmonopolizowane przez władzę. Głoszą to wszystkie religie: oddać Cezarowi co cesarskie, ale... I to "ale" jest właśnie ważne. Nie jest przypadkiem, że Shakespeare, który mówi dokładnie to samo przedstawiając króla, został zabroniony w Chinach w momencie dyktatury maoistycznej. Jednym słowem, prawa człowieka można zdefiniować nie jako formalny system prawny, ale jako całokształt działania opozycji, rodzaj fortec obronnych, które społeczeństwo buduje przeciwko władzy. Widzę jedyne wyjście z totalitaryzmu: upowszechnienie praw człowieka, pojętych jako wolność krążenia ludzi i idei. Wolny ruch, niezależny od państwa, nie kontrolowa-

ny przez państwo, nie kontrolowany przez wielkie potęgi ekonomiczne, narodowe, międzynarodowe czy też po prostu prywatne. Podam parę przykładów. Samizdat jest oczywiście pierwszym przykładem ruchu idei, która wymyka się, za dużą zresztą cenę, spod kontroli państwa. Wolne radiostacje we Włoszech /a istnieją takie radiostacje "prywatne"/ również nie zależą od władzy i są bronią przeciw totalitaryzmowi. Np. kiedy doszło do rozrachunków między skrajną lewicą i skrajną prawicą we Włoszech, młodzi faszyci dzwonili do tych wolnych radiostacji, ponieważ wszyscy, którzy tam telefonują, mają prawo głosu na antenie. Przekazali oni, że nie rozumieją, dlaczego zabijać się wzajemnie, że są młodymi bezrobotnymi, że nie mają co prawda tej samej ideologii, ale że zabijanie się jest szaleństwem. I skrajna lewica odpowiedziała. Zaczęły się dyskusje czy należy rozmawiać z faszystami zanim się ich zabije, czy też od razu ich zabić. I powolutku strzelanina przycichła, a dialog wzrósł.

Wydaje mi się, że zarówno samizdaty jak wolne radiostacje stanowią element taktyki, a nawet strategii z totalitaryzmem. Prawa człowieka nie są formalnym zbiorem praw pisanych, ale zbiorem środków ideologicznych i materialnych opozycji przeciw totalitaryzmowi XX wieku.

Totalitaryzm, moim zdaniem, nie jest systemem, w którym władza zmonopolizowana jest przez jedną partię, gdzie rządy sprawuje mała klika. Jest to - moim zdaniem - mit. Analiza dotycząca Związku Radzieckiego jak i tzw. krajów socjalistycznych pokazuje nam, że panuje tam jedna wielka anarchia, a mała klika nie dominuje bynajmniej nad całością. Na poziomie systemu totalitaryzm okazuje się mało systematyczny. Znaczy to, że nie koncentracja władzy definiuje totalitaryzm, ale konsekwencje, jakie ponoszą ludzie poddani tej władzy. Totalitaryzm jest formą generalnej wojny prowadzonej przez państwo przeciwko społeczeństwu. Generalnej, bo polegającej na zrywaniu wszelkich więzi łączących społeczeństwo poza wpływami władzy. Polega to na uniemożliwieniu swobodnego ruchu idei, ruchu ludzi, wyboru pracy, miejsca zamieszkania itd. Polega to na łamaniu porozumienia społecznego. Chcę przez to powiedzieć, że system można ocenić tylko na podstawie jego skutków. Totalitaryzm istnieje dlatego, że istnieją ludzie, którzy są mu poddani. Istnieją różne formy rządów totalitarnych: może to być rząd narodowy, może to być władza okupacyjna, może to być ideologia ludowa lub ideologia elitarna, może to być jedna partia, może ich być dwie lub trzy, może to być wiele partii w systemie rzekomo pluralistycznym z kryjącą się za tym w gruncie rzeczy silną władzą rządową. To, co się liczy, to wpływ totalitaryzmu na naród. Totalitaryzm zaczyna się wtedy, kiedy społeczeństwo nie znajduje porozumienia na żadnej płaszczyźnie, kiedy jakikolwiek organ rządzący uniemożliwia swobodne porozumienie ludzi. Nie znaczy to, że organ ten ma całkowitą władzę; znaczy to, że inni nie mają już nic do powiedzenia. I to właśnie jest ważne. Nie znaczy to, że Stalin wiedział, co robi, nie znaczy to, że nie ma anarchii w Związku Radzieckim; znaczy to, że cała władza jest poza społeczeństwem. Anarchia jest celem tych wszystkich, którzy są u władzy. Co to znaczy? Znaczy to, że w rzeczy samej jest to również forma wojny, takiej samej wojny, jaką prowadzi się z wrogim narodem, tylko tym razem we własnym społeczeństwie. Totalitaryzm jest też zdefiniowany przez bombardowania ludności cywilnej. Co chce się uzyskać, kiedy bombarduje się ludność cywilną? Chce się oszabić ducha, uniemożliwić wszelką możliwość opozycji. Co chcieli zrobić Niemcy zakładając getto w Warszawie? Chcieli zabić wśród Żydów ducha oporu. Co chcieli zrobić bombardując cywilną Warszawę? - To samo.

"Puls": Czy widzi Pan jakiś związek między ruchami 1956 i 1968 w krajach wschodnich, a ruchem 1968 w krajach zachodnich?

A.G.: Wypadki Marcowe 68 roku w Polsce nie wpłynęły na wypadki majowe 68 roku we Francji. Potrzeba przecież jakiegoś minimum czasu na dotarcie wiadomości, a ponieważ Maj 68 rozpoczął się już w kwietniu, a dokładnie 22 marca, nie było wielkiej możliwości, aby wypadki polskie mogły odegrać tu rolę. Panowała w tym okresie ogólna atmosfera sprzyjająca buntowi młodzieży, głównie studenckiej - zarówno w Europie zachodniej jak wschodniej, w Stanach Zjednoczonych, szczególnie w Berkeley. Zjawisko to istniało na Wschodzie, na Zachodzie, w Europie i w Ameryce, istniało nawet w Brazylii. Ruch 68 roku trwał tam ponad 6 miesięcy i był niezmiernie ważny dla historii tego kraju. Po raz pierwszy masy wyszły na

ulice Rio de Janeiro łącząc się z ruchem początkowo wyłącznie studenckim, który objął z kolei również fabryki Sao Paulo. Po raz pierwszy wtedy ruch ten rozwinął się i działał poza ramami partii komunistycznej.

W gruncie rzeczy tej wiosny 68 wszędzie objawił się głód wolności, który objął początkowo młodzież studencką, ale nie tylko ją samą. Odnosi się wrażenie, że pragnienie wolności było wówczas powszechne. Jeżeli jednak przyjrzeć się temu głębiej, to można powiedzieć, że prawdziwe oddziaływanie ruchu polskiego na ruch 68 roku we Francji rozpoczęło się wcześniej, zaczęło się od polskiego Października. To właśnie wypadki 1956 roku w Polsce i na Węgrzech spowodowały rozłam między młodzieżą a partią komunistyczną we Francji. Kiedy w okresie Budapesztu my, młodzi studenci i uczniowie, domagaliśmy się wyjaśnień od dyżurnych informatorów partii komunistycznej, nazwano nas faszystami. A był to przecież szlachetny bunt przeciw rosyjskiej agresji. W łonie zorganizowanych ruchów studenckich, tzn. związków studenckich, także komunistycznych, był to początek ruchu dysydenckiego. Do tego dochodzi jeszcze jeden czynnik, chyba typowo francuski. Młodzi studenci, młodzi katolicy, księża, robotnicy byli niesłychanie wyczuleni na sprawy kolonializmu, wojny w Algierii, torturowania robotników algerskich przez policjantów francuskich. Tymczasem partia komunistyczna prowadząc swą politykę popierała socjalistyczny rząd Guy Molleta i głosowała za stanem wyjątkowym, tzn. za wysłaniem wojsk francuskich do Algierii. I tu nastąpił zasadniczy rozłam. Młodzi ludzie we Francji nie mieli kompleksu Edypa w stosunku do partii komunistycznej z tej prostej przyczyny, że popierała ona represje antyrobotnicze na Węgrzech i kolonializm w Algierii. Od tego czasu niezależność ruchów studenckich była, nie powiem bezproblemowa, ponieważ problemy były ogromne, ale w każdym bądź razie bezkompleksowa. A to dlatego, że KPF przyłożyła rękę do umocnienia kolonializmu i jednocześnie popierała tłumienie rewolucji węgierskiej przy pomocy czołgów radzieckich miażdżących kości proletariatu węgierskiego. Dlatego też ruch majowy 68 był antypolicyjny, antygaulistowski, antykapitalistyczny i zarazem antykomunistyczny.

Jednym ze słynnych momentów pierwszych dni Maja była scena, kiedy Aragon przyszedł do studentów zebranych na Sorbonie i otoczonych policją, by warząc im poparcie w imieniu własnym, ale jednak jako członek Komitetu Centralnego Partii. Leader studencki D. Cohn-Bendit odpowiedział mu wówczas: nie chcemy twojego poparcia, chyba, że wytłumaczysz nam swoją postawę w stosunku do tego, co dzieje się w ZSRR; chyba, że wytłumaczysz nam dlaczego krzychałeś "hurra, hurra!" podczas, gdy tam są obozy koncentracyjne. Aragon odmówił i został wywizdany. Daniel Cohn-Bendit, który był zawsze wrogiem gwałtu, nie dopuścił do rękoczynów i pozwalając mu odejść powiedział: "Na twoich siwych włosach jest krew".

Po raz pierwszy młodzi ludzie i intelektualiści tak ostro dali wyraz swej niezależności rezygnując z ochrony, jaką mogła zapewnić im partia komunistyczna w tej groźnej dla nich sytuacji. Samotnie stawiali więc czoło policji. I tę samotną konfrontacją z policją ruch studencki we Francji spowodował największy strajk robotniczy świata. Właśnie dlatego, że ruch studencki był akomunistyczny i zarazem antykomunistyczny i dlatego, że przywódca studentów, Daniel, nie miał żadnych zahamowań w denuncjowaniu stalinowskich łajdaków, tzn. sekretarza generalnego partii komunistycznej i komunistycznych związków zawodowych.

Dlaczego? Jeżeli spojrzeć trochę na wydarzenia społeczne we Francji, zauważa się, że największy strajk przed 68 miał miejsce w 53 r. i sparaliżował cały kraj. Kto go zorganizował? Listonosze. Dlaczego listonosze? I dlaczego strajk listonoszy spowodował tak wielki ruch społeczny, największy w okresie 1945-1968? Po prostu dlatego, że związki zawodowe listonoszy były proamerykańskie i w oczach mas czy klasy robotniczej, jak mówią marksiści, nie wyglądało to na manipulację komunistyczną. Wyglądało to na niezależny ruch społeczny.

To samo dotyczyło studentów w 68. Ponieważ nie byli komunistami, ponieważ wysuwali tezy antykomunistyczne, przyczynili się do wybuchu największego strajku w historii Francji. Nie sprawiali wrażenia partii ani organizacji, która miała by wszystkim dyrygować, a w szczególności nie wydawali się być młodymi, posłusznymi komunistami.

"Puls": Nie było to więc zjawisko podobne do Marca 68 w Polsce, gdzie studenci znaleźli się zupełnie odizolowani od reszty społeczeństwa.

A.G.: Nie. We Francji ruch studencki izolowany był jedynie przez służby porządkowe, czy to przez policję czy też przez służbę porządkową związków zawodowych podporządkowanych partii. Miał on natomiast poparcie moralne mas ludowych. Na tym polega wielka różnica między sytuacją studentów we Francji i w Niemczech Zachodnich, którzy są kompletnie odizolowani od społeczeństwa, które ich nie rozumie. We Francji było zupełnie inaczej i wydaje mi się to bardzo ważne, ponieważ tłumaczy to, dlaczego we Francji nie ma terroryzmu. Nie dlatego, żebyśmy mieli inne idee, ale dlatego, że kontestatorzy nasi nie żyli w getcie, że zawsze mieli poparcie części społeczeństwa w swej walce o sprawiedliwość społeczną.

"Puls": Studenci odżegnali się od komunizmu i w tym czasie narodził się ruch skrajnej lewicy...

A.G.: Tak. Odżegnać się od partii komunistycznej, to znaczy zdać sobie sprawę, że walcząc o wolność na ulicach ma się przeciw sobie nie tylko policję, ale i partię komunistyczną. Jeżeli chce się pomóc strajkującym robotnikom, ma się przeciw sobie nie tylko zwykłą policję ale i policję związkową. Brzmi to dziwnie. Ale gdy zdać sobie z tego sprawę, doświadczyć tego, to odchodzi się od partii komunistycznej. Nie było to zresztą dla nas nowe. Mieliśmy już przecież za sobą doświadczenie węgierskie i poparcie Rosji przez FPK. Przeżyliśmy doświadczenie wojny w Algierii i częste wyrazy poparcia represji kolonialnych przez FPK. Przeżyliśmy wreszcie doświadczenie jednego z największych strajków światowych i zapobiegliwe starania FPK, aby zakończył się on jak najszybciej i żeby, broń Boże, studenci nie pomogli strajkującym robotnikom! Dlatego powstał we Francji ruch skrajnej lewicy, niezależny od FPK i opozycyjny wobec partii komunistycznej.

Przejęcie od antykomunizmu do antymarksizmu to jeszcze inna sprawa. Wszyscy uważaliśmy się, w taki czy inny sposób, za lepszych marksistów niż partia komunistyczna, która była w naszych oczach zdrąjca, rewizjonista, a my byliśmy bardziej ortodoksyjni i bardziej rewolucyjni niż ona. Potem zdaliśmy sobie sami sprawę, że tworzyliśmy w ten sposób nową partię komunistyczną równoległą do poprzedniej. Tworzyliśmy nowe potencjalne więzienie dla ludzi, tworzyliśmy nowy system terroru, dyscypliny i autorytaryzmu zarówno wewnątrz jak i zewnątrzorganizacyjnego. Zdać sobie z tego sprawę w oparciu o własne doświadczenie, będąc całkowicie świadomym tego, co się robi /nie podlegaliśmy wszak żadnej centrali zewnętrznej/, zdać sobie z tego sprawę znaczyło zdobyć własne doświadczenie niezależne od marksizmu. Własne, niezależne i coraz bardziej indywidualne. Każdy z oddzielną bowiem wyrażał krytykę, odżegnywał się i odchodził. W ten sposób organizacje goszystowskie traciły działaczy i jedna po drugiej pustoszały. Każdy z nas tworzył sobie własny pogląd na to, co nastąpiło. Ten, kto był bardziej intelektualistą krytykował w sposób bardziej "intelektualny"; ten, kto był bardziej poetą, krytykował poetyzując.

"Puls": Co się stało dzisiaj, 10 lat później, z owymi ruchami goszystowskimi?

A.G.: Organizacje skrajnej lewicy jako takie już nie istnieją we Francji, poza małymi grupkami trockistowskimi, które, choć małe, jednak trwają. Istnieje natomiast mentalność goszystowska. Co to jest? Jest to w pierwszym rzędzie rewolta przeciw niesprawiedliwości. Jest to np. dopuszczanie do głosu ludzi, którzy nie mają prawa głosu. Jest to duży ruch pomocy emigrantom, ruch antyrasistowski, ruch popierania strajków, popierania robotników na najniższym szczeblu, całej kategorii robotników lekceważonych przez związki zawodowe, w których panuje taka sama hierarchia, jak w całym przemyśle. Dla związków zawodowych liczą się tylko robotnicy, którzy mają największe znaczenie, największą moc decydowania, tzn. robotnicy wysoce wykwalifikowani. Inni, niewykwalifikowani, dawni chłopcy czy emigranci, uważani są za analfabetów życia związkowego. Po roku 68 narodziło się dużo tzw. dzikich ruchów. Dzikich po prostu dlatego, że nie odpowiadały tradycjom związkowym, a walczących właśnie o prawa tych najniższych kategorii. To była pierwsza sprawa, którą popierali goszyści. Ale było również coś innego: zwrócenie uwagi na to, co dzieje się na wsi. We francu-

skiej tradycji zarówno robotniczej jak i intelektualnej leżała zawsze wielka pogarda dla chłopów. Dopiero od r. 68, może nieco wcześniej, intelektualisci, studenci i robotnicy zwrócili się w stronę wsi. Ruch chłopów z Larzac, którzy bronili swej ziemi przed wywłaszczeniem przez wojsko w celu zbudowania tam bazy wojskowej, został poparty przez setki tysięcy młodzieży, która zebrała się w dolinie Larzaku z gitarami i piosenkami. Było to wielkie i nowe. Pokazało, że liczy się nie tylko klasa robotnicza, że idea industrializacji za wszelką cenę nie jest najlepszym wyjściem, że istnieje problem ekologii, natury, no i oczywiście baz wojskowych, wojska. Działacze lewicowi zwani goszystami zdali sobie wówczas sprawę z reakcyjności partii komunistycznej. Podam jeden przykład.

Pewna fabryka w Vogezech miała zostać zamknięta. Okoliczni chłopci przyszli z pomocą strajkującym robotnikom, którzy przeciw temu protestowali. Przynieśli im masło, ziemniaki, mięso. Przywódcy komunistycznych związków zawodowych spojrzeli na chłopów z ukosa: pociście tu przyszli? Szukać lokajów do pracy na fermach? Jest to bardzo stara praktyka, że komunistyczne związki zawodowe starają się oddzielić murem nie tylko studentów od robotników, ale również chłopów od robotników. W ten sposób związki zawodowe dzielą społeczeństwo jak w XIX wieku. Budzą nienawiść robotnika do chłopca, nienawiść chłopca do robotnika, nienawiść obydwu do studenta. Wszystko to pociąga za sobą najbardziej reakcyjne struktury społeczne.

Ten stan rzeczy może nie został przełamany, ale zaczął zmieniać się po 68 roku. A więc główną cechą charakterystyczną Maja 68 było to, że był to ruch akomunistyczny i antykomunistyczny ludzi najbardziej postępowych. Nie było tak we Włoszech ani w Niemczech. Moim zdaniem to jest przyczyną, że we Włoszech ideologiczne zerwanie opozycjonistów z partią komunistyczną nastąpiło znacznie później, a w Niemczech dopiero w tym roku. Jakie są tego skutki? Zamiast próbować myśleć inaczej - tak, jak to nastąpiło we Francji - inaczej niż partia komunistyczna, próbuje się tam zająć postawy bardziej lewicowe niż partia. Włosi stwierdzili, że partia komunistyczna była za bardzo pacyfistyczna, za bardzo rewizjonistyczna, za mało gwałtowna w walce klas, że zdradzała klasę robotniczą przez swój oportunizm i elektoralizm; jednym słowem, że trzeba być bardziej brutalnym, a mniej ugodowym i że zamiast kartek wyborczych należało wziąć w rękę rewolwery. Oznaczają to, że ideologia pozostała ta sama, tylko jeszcze bardziej rygorystyczna.

Wydaje się, że mieliśmy dużo szczęścia we Francji, że zorientowaliśmy się już w 68 roku, że FPK obstawia fabryki policją, że FPK przesładuje studentów i gdy się da, wydaje ich policji. Dlatego nie uważaliśmy nigdy, że partia komunistyczna jest za mało brutalna. Widzieliśmy, że wywiera ona presję zarówno na klasę robotniczą jak na wszystkich tych, którzy mogli by zagrozić jej niezależnemu królestwu, tzn. terenowi fabryk, gdzie PK opanowała związki zawodowe. Nigdy nie mieliśmy więc wrażenia, że PK jest za bardzo pokojowa. Nie chodziło nam więc o to, ażeby prześcignąć partię w jej brutalności i bojowości. Jeżeli nawet przez pewien czas myśleliśmy tak, to szybko zmieniliśmy zdanie. Chodziło o to, żeby zmienić sposób myślenia. Stąd problemy nasze zarysowały się wcześniej niż gdzie indziej w Europie Zachodniej. Te same problemy, które są na Wschodzie, ale które dla ruchu dysydenckiego na Wschodzie są o wiele ważniejsze, bo tam partia komunistyczna na władzę nie tylko w fabrykach, zarządach miejskich i w związkach zawodowych, ale sprawuje ją całkowicie i wszędzie. Trudno porównywać nasze małe doświadczenia merostw komunistycznych z wielkim doświadczeniem partii komunistycznej u steru władzy państwowej w krajach wschodnich. Różnica przyszła do nas dzięki takim ludziom jak Sołżenicyn. Trzeba było, żeby doświadczenia te zostały przekazane w formie czytelnej dla wszystkich i pod tym względem literatura odgrywa szczególną rolę. Byłem zdumiony, że prości robotnicy strajkujący w zakładach Lipa znają książki Sołżenicyna, którego odrzucali intelektualisci jako antykomunistę. Tymczasem literatura Sołżenicyna przekazała robotnikowi w sposób ludzki, wrażliwy doświadczenie tysiąc razy większe, ważniejsze niż jego własne doświadczenie w fabryce z syndykatem komunistycznym. Doświadczenie to pokrywało się z naszym. Chodzi mi o zerwanie z partią komunistyczną, które datuje się co najmniej od 1956 roku, w każdym bądź razie, jeżeli chodzi o mnie. Nie należy bowiem myśleć,

że partie komunistyczne, komunistyczne związki zawodowe nie mają w ogóle władzy w Europie Zachodniej, a mają całą władzę w Europie Wschodniej. Mają one oczywiście o wiele większą władzę w Europie Wschodniej, ale mają ją również we Francji. Fabryka Renault nie pracuje, gdy CGT tego chce. Jest to władza wymagająca dyscypliny, nie uznająca dzikich strajków, według starej zasady Engelsa "bądźcie zdyscyplinowani". Dyscyplina związków zawodowych staje się siłą partii.

Istnieje wyobrażenie, że partia komunistyczna w krajach zachodnich ma władzę subwersyjną, rewolucyjną itd. Pewnym jest, że rewolucja jest w ich programie, ale nie w każdych warunkach. Chcą wziąć władzę, jeżeli nadarzy im się okazja, jeżeli... nie będzie to za duże ryzyko i jeżeli nie zapłacą za to zbyt wysokiej ceny. W każdym bądź razie chcą zachować władzę, którą mają i - jeżeli się da - umocnić ją jeszcze. A więc różnica między krajami Wschodu i Zachodu nie polega na braku władzy partii komunistycznej z jednej strony i pełnej władzy partii komunistycznej z drugiej, ale na względnej władzy PK na Zachodzie i całkowitej władzy PK na Wschodzie. Stanowi to oczywiście różnicę, ale również i tu, na Zachodzie, można poznać, doświadczyć i zrozumieć, co to jest autorytatywność, brak demokracji, ciasna propaganda partii komunistycznej. Nie musi się po to jechać na Wschód. Wystarczy przejść się po okręgach komunistycznych czy po fabrykach pozostających we władzy komunistycznych związków zawodowych. Nie jest to zupełnie to samo, ale zrozumieć pozwala. Rozmawiając z robotnikami, którzy byli w krajach Europy Wschodniej na wycieczkach propagandowych zorganizowanych przez komunistyczne związki zawodowe spotrzega się, że pomimo całej propagandy zdają oni sobie sprawę z wielu rzeczy. Zwycięża zdrowy rozsądek robotniczy.

"Puls": Nigdy nie spotkałem jeszcze komunisty, który zrozumiałby cokolwiek po podróży do Związku Radzieckiego.

A.G.: Ach nie, nie komuniści, ale jeżdżą tam i inni ludzie ze zorganizowaną wycieczką.

"Puls": Ale cóż oni mogą tam zobaczyć, kiedy jedą z wycieczką zorganizowaną!

A.G.: Różne szczegóły, które dają do myślenia.

"Puls": Trzeba chcieć je zobaczyć.

A.G.: Widzą je od czasu do czasu. Jedną rzecz myli ludzi we Francji. Jest tu wielu komunistów, widzą się ich często, słyszy się ich często itd. Wystarczy jednak spojrzeć na statystykę partii komunistycznej, aby zobaczyć, że przeciętnie członek partii pozostaje w niej 4 lata, tzn. że partia zmienia 75% członków co 4 lata. Jest więc więcej ludzi, którzy wystąpili z partii niż ludzi, którzy są aktualnie w partii. Ludzie wstępują do partii z powodu rewolty przeciw biedzie, trudnemu życiu itd, ale zostają w niej tylko ci, którzy lubią władzę, hierarchię, którzy lubią mieć władzę nad innymi, a zarazem mieć nad sobą przełożonych, czuć nad sobą władzę.

"Puls": Czy zdają sobie sprawę na swoim poziomie z tej hierarchii?

A.G.: Tak, zdają sobie sprawę. Na ogół nie budują żadnej teorii, uciekają z partii i nabierają przy tym pewnego doświadczenia. Wstąpienie do partii komunistycznej nie jest przecież dowodem tego, że jest się stukniętym. Jest to wyraz buntu, poszukiwanie prostych rozwiązań. Problem stanowią ci, którzy zostają. Partia komunistyczna wzmaga jeszcze bardziej różnice klasowe. Ludzie występują z partii z różnych przyczyn osobistych, najczęściej nie wytrzymują hierarchii partyjnej, buntują się. Klasa robotnicza staje się przez to bardziej rozbita.

"Puls": Przeważnie ludzie występują z partii falami. Np. w 1956, w 1968...

A.G.: W 56 była to głównie fala intelektualistów, w 68 - robotnicza. Najważniejszy jest jednak stały ruch, który prowadzi do bardzo szybkiego odnowienia się partii, co powoduje powstanie bardzo silnej biurokracji. Zwykli członkowie zmieniają się bezustannie i zostają na dole, a ci, którzy zostają, tworzą hierarchię i zostają już na stałe... W związku z tym istnieje bardzo mocna struk-

turą biurokratyczna na bardzo płynnej bazie. Podstawa partii jest w pewnym sensie heraklityczna, tzn. jest to ogień, zaś szczyt partii jest platoński - tzn. wieczny. Ten sam problem istnieje w krajach socjalistycznych. Ci, którzy są najwyżej, zostają aż do momentu zupełnego rozkładu.

"Puls": I nawet wtedy zostają.

A.G.: Tak, nawet wtedy...

"Puls": Od mniej więcej dwóch lat słyszy się o nowej filozofii i nowych filozofach. Czy mógłby Pan wytłumaczyć polskiemu czytelnikowi o co tu chodzi?

A.G.: Chcę powiedzieć, że jest to mit. Zawsze twierdziłem, że jest to mit. Mit sfabrykowany w oparciu o rzeczywistość. A rzeczywistość nie jest prywatną własnością małej garstki intelektualistów. Rzeczywistość była rzeczywistością Maja 68 i przetrwała ona po dziś dzień. Chodziło o sceptycyzm ludzi w stosunku do wspólnego programu sprzed rozkładu między partią komunistyczną i partią socjalistyczną. Sondaż opinii publicznej wykazał, że z jednej strony twierdzono, że lewica wygra wybory, a z drugiej nie wierzono w możliwość porozumienia między socjalistami i komunistami po dojściu do władzy. Istniał więc głęboki sceptycyzm. Powiedziałem to w jednej z audycji telewizyjnych. Zwróciłem uwagę na fakt, że wspólny program był kłamstwem, że nie istniał żaden program i że nie był on wspólny. Zwróciłem uwagę na fakt, że po raz pierwszy w historii Francji od czasu rewolucji intelektualiści nie popierali programu lewicy. Ani Sartre, ani Clavel, ani Deleuse, ani psychoanalizyści jak Lecant, ani pisarze nie popierali tego programu lewicy. Natomiast popierali go "aparaczkowie" inteligencji, np. syndykaty studenckie. Po raz pierwszy wprowadzono wtedy określenie "nowi filozofowie". Zadałem więc pytanie: Kto to jest właściwie filozof? Od czasów Sokratesa jest to ktoś, kto usiłuje wydostać się z impasu, z zastraszania. Pamiętam, że podałem przykład robotników z Gdańska, którzy podpalając KC partii robotniczej wyzwolili się od strachu. Zastraszanie polega na tym, że nie możesz powstać przeciw własnej władzy! Wyjściem z niego jest stwierdzenie, że skoro przeciwstawiam się tej władzy, to znaczy, że nie jest to moja władza. Jeżeli chce się więc szukać filozofii naszego wieku, to należy jej szukać u ludzi, którzy stanęli wobec najtrudniejszych problemów naszej epoki i którzy znaleźli rozwiązanie. Sołżenicyn podaje nam inny przykład. Na czym polega siła sowieckiej partii komunistycznej? Siłą jej było mówienie do oskarżonych M Y. M Y socjaliści, M Y budowniczości życia, M Y musimy, T Y i J A, T Y i Bucharin lub T Y i Wyszyński itd. itd. Przeciwstawieniem się tej sile było oderwanie się od tego M Y i powiedzenie: "ty tam naprzeciwko zachowujesz się jak faszysta, więc jesteś faszystą, a JA jestem ci poddany, sprawujesz nade mną władzę, więc JA jestem ofiarą i mam święte prawo być antykomunistą. Właśnie ta umiejętność oderwania się od M Y stanowi cechę filozoficzną, jest filozoficzna, ponieważ przewycięża strach i wyprowadza nas z impasu.

Podam przykład bardzo konkretny. Wiadomo, że w pierwszym okresie Gułagu różne ugrupowania polityczne zwalczały się wzajemnie nie tworząc wspólnego frontu przeciw dozorcóm obozu. Byli tam eserzy, trockiści, dawni stalinowcy wsadzeni do obozów przez nowych stalinowców. Wszyscy oni byli skłóceni i zamiast stawiać wspólny opór denuncjowali się wzajemnie mówiąc: ja jestem uczciwym komunistą, jestem tu przez pomyłkę, to inni są szubrawcami.

Otóż zdolność wspólnego działania nie ze zwierzchnikami, nie z dozorcami, ale tworzenie wspólnoty tych, którzy dzielą ten sam los, ta zdolność jest cechą filozofii, którą stworzyli dysydenci. Oto co powiedziałem i to nazwano Nową Filozofią, która stała się ekranem tego typu problemów. Inny przykład. Na dysydenckim Biennale w Wenecji obecni byli ludzie tak różni jak Jean Daniel /redaktor naczelny "Nouvel Observateur"/ i Castorialis /trockistowski dysydent/. Wszyscy ci ludzie łącznie z dysydentami rosyjskimi, polskimi /Kołakowski/ rozpoczęli dyskusję na temat ruchu dysydenckiego w tych krajach. "Unita", naczelny organ KP Włoch, nadała temu Biennale tytuł nie "Biennale dysydentów" ale "Biennale nowych filozofów". Tymczasem z tzw. nowych filozofów byłem absolut-

nie jedynym egzemplarzem wśród 50-ciu uczestników. W ten sposób właśnie wykorzystana nas lewica. Etykieta "nowej filozofii" posłużyła za ekran, aby odwrócić uwagę od właściwego problemu ruchu dysydenckiego, by mówić o nowej sekcji, nowej kapliczce, nowej niejasnej teorii, tym bardziej niejasnej, że nieistniejącej; zamiast mówić o ruchu dysydenckim, o fałszowaniu wyborów do PK i PS itd. Druga strona medalu. W momencie, gdy lewica zamiast zajmować się konkretnymi problemami bawiła się w wymyślanie nazwy Nowych Filozofów, prawica szybko przejęła pałeczkę. Był to prawdziwy prezent, jaki ofiarowała jej lewica mówiąca, że powstał nowy sztab intelektualistów. Prawica rzekła natychmiast: m a m y więc sztab nowych intelektualistów.

Trzeci punkt. Tak zwani nowi filozofowie poczuli się nagle ważni. Może nie wszyscy zresztą, no, w każdym bądź razie nie ja.

"Puls": A więc byli oni odrzuceni przez lewicę i przywłaszczeni przez prawicę /jeżeli można dzisiaj mówić jeszcze o lewicy i prawicy i jeżeli to coś jeszcze znaczy/?

A.G.: Tak, mniej więcej. Nagle poczuli się naprawdę nowymi filozofami, tzn. ani na prawo, ani na lewo, ale z nową myślą. Myślę, że nie należy się łudzić. Nie ma już w naszym wieku podstaw, aby wierzyć, że jakkolwiek sztab intelektualistów rozwiąże problemy całej ludzkości. Była to teza naukowa podtrzymywana przez intelektualistów, ale jeśli spojrzeć na problemy wieku i rzadkie miejsca, gdzie zaczęto znajdować możliwość rozwiązań, to widzi się, że znajdowali je ludzie bardzo różni, wśród których byli i intelektualiści, ale również ochłopi, wyznawcy wiary, robotnicy i inni. Moim zdaniem to od tej strony przyjdzie rozwiązanie. Największym problemem aktualnym jest absolutna władza czy to państwa, czy to organizmów i potęg ekonomicznych i znalezienie form i metod oporu przeciw tej władzy - nie tylko fizycznych, ale i intelektualnych.

"Puls": Chodzi Panu o opozycję intelektualistów, ale nie tylko, o coś w rodzaju "próbki" z wszystkich klas społecznych?

A.G.: Wydaje mi się, że intelektualiści rzeczywiście mają misję ściśle sprecyzowaną. Nazywam intelektualistami tych wszystkich, którzy nie pracują rękami, którzy, ogólnie mówiąc, zajmują się stosunkami międzyludzkimi. Policjant jest intelektualistą, psychiatra jest intelektualistą, nauczyciel jest intelektualistą, projektant jest intelektualistą. Przyglądając się pracy tych ludzi uważa się, że wszyscy oni związani są z ruchem ludzi i idei. Przy tym działają dwójako: albo przyczyniają się do rozwoju tego ruchu, albo hamują go. Zmonopolizować idee i unieruchomić ludzi - to metoda totalitarna i faszystowskopodobna. Walczyć o swobodny ruch idei i ludzi, to metoda opozycyjna i demokratyczna.

"Puls": Ktoś powinien tę myśl tak sformułowaną przekazać innym.

A.G.: Nie ktoś. Grupa ludzi. To właśnie Solżenicyn przekazał nam idee tysięcy ludzi i ich doświadczenia. Doświadczenia z Gułagu.

"Puls": Tak. Właśnie Solżenicyn jest bardzo dobrym przykładem: zebrał świadectwa i przekazał je światu.

A.G.: Samizdat jest przykładem pracy jednostki, pracy wielu jednostek. Nie używam celowo terminu "kolektyw", ponieważ sugeruje to od razu wyższość jego nad jednostką. I dlatego też odrzucam pojęcie naczelnego sztabu intelektualistów, który miałby kierować wolnym ruchem jednostek i idei.

"Puls": Żeby sprowadzić rozmowę na teren intelektualistów polskich: czy może Pan porównać grupę "nowych filozofów" z polskim filozofem Leszkiem Kołakowskim?

A.G.: Nie. Po pierwsze dlatego, że nie czytałem wszystkich jego dzieł, a przede wszystkim jego trzech tomów o marksizmie. Ubóstwiam Kołakowskiego jako człowieka, lecz to nie wystarcza, aby móc wydać jakąś opinię. Ale poza tym chciałbym powiedzieć, że nie uznaję jakiegokolwiek porównywania intelektualistów. Robi się to oczywiście we wszystkich podręcznikach filozofii, ale ja myślę, że intelektualiści określają się poprzez doświadczenia, które nie tylko są ich

doświadczeniami, lecz które są doświadczeniami wieku. I tak filozofia niemiecka XIX wieku i historia Francji określają się poprzez doświadczenia rewolucyjne. I to jest zasadnicze w doświadczeniu intelektualistów tej epoki. I nad tym doświadczeniem pracują w różnych zresztą kierunkach. Jeżeli chodzi o wiek XX, nie jest trudno dostrzec poprzez jakie doświadczenie określają się intelektualiści. Były dwie wojny światowe, były wojny kolonialne, były obozy koncentracyjne.

Wracając do tematu, wydaje mi się, że w tej chwili sama krytyka marksizmu nie jest już taka ważna. Została ona już zrobiona w najróżniejszych formach.

"Puls": Ale to właśnie Kożakowski był jednym z pierwszych, którzy tego dokonali.

A.G.: Ależ oczywiście. Nie jest to wcale sprzeczne z tym, co powiedziałem; tzn., że ja teraz nie będę bawił się w krytykowanie Marksa ponieważ zostało to już dokonane w różnych krajach w różnej formie. Np. szkoła frankfurcka, która wydawała się być renesansem marksizmu w Niemczech, przy bliższej analizie okazała się ośrodkiem uśmiercania Marksa. I moim zdaniem to, co stałe teraz na porządku dziennym, to przemysłenie - od teraz do końca wieku - przemysłenie i znalezienie techniki, strategii i taktyki oporu przeciw totalitarnym tendencjom państw w walce o prawa człowieka. Używam specjalnie terminu tendencje totalitaryzmu, aby a priori nie izolować pewnych państw, podczas gdy tendencje totalitarne znajduje się we wszystkich krajach.

"Puls": Znowu wracamy do tego samego problemu: nie proponuje Pan żadnego nowego systemu. Oznacza to, że ciągle trzeba przeciwstawiać się czemuś zamiast zmieniać to i coś tworzyć.

A.G.: Opór jest może jedyną formą zmiany. Systemy naprawy społeczeństw proponowane w XIX wieku opierały się na założeniu, że świat jest dziewiczy. Ja natomiast, człowiek XX wieku, uważam, że nie można rozumować tak, jakby państwo nie istniało i jakby chodziło o zbudowanie nowego społeczeństwa na bazie istniejącego państwa.

"Puls": Dobrze. Ale nikt nie może sprowadzać wszystkiego do zera, zaczynać od zera. Przeciwnie - należałoby wyciągnąć wnioski z historii i przedstawić jakąś propozycję.

A.G.: A może historia ludzkości jest historią oporu wobec zła?

"Puls": Jest to stwierdzenie dość pesymistyczne.

A.G.: To wcale nie jest pesymistyczne. Uważam, że ludzie o wiele lepiej porozumiewają się na temat zła niż dobra.

"Puls": Nie jest to zbyt optymistyczne.

A.G.: Nie, każdy ma swój własny pogląd i osobiste, prywatne pojęcie dobra. Jest ono...

"Puls": Znaczyłoby to, że zło króluje i zawsze będzie królować.

A.G.: Wcale nie. Znaczy to tylko, że pojęcie zła jest uniwersalne, że ludzie mogą znaleźć wspólny język, żeby określić czym jest piekło...

"Puls": A nie mogą porozumieć się co do tego, czym jest...

A.G.: ...niebo? Ach, historia pokazuje, że sprawia im to największe trudności i że wykazują tendencję, aby mówić, że najwyższe dobro jest względne.

"Puls": Owszem, ale zło też jest względne.

A.G.: ...

"Puls": Zło argentyńskie czy zło chilijskie nie jest złem polskim czy też radzieckim.

A.G.: Tak, ale mają przecież wspólne cechy. Używanie tortur przez policję, nie mówię o Polsce, ale w...

"Puls": Dlatego mówię, że jest to pojęcie względne. Ludzie żyjący w kraju, w którym terror jest mniej brutalny, odczuwają go jednak jako zło, ale ich pojęcie zła różni się od pojęcia zła np. w Urugwaju czy Etiopii.

A.G.: Co nie przeszkadza, że Polacy mogą dokładnie wyobrazić sobie zło, powiedzmy - argentyńskie.

"Puls": Tak, ale Argentyńczycy nie uważają zła polskiego za zło prawdziwe.

A.G.: To należałoby sprawdzić.

"Puls": Zamykanie kogoś na 48 godzin co jakiś czas nie jest straszliwe w porównaniu z tym, co się dzieje u nich.

A.G.: Mnie się wydaje, że istnieje ogólna idea zła i względności zła. Tzn. być torturowanym przez cały dzień jest oczywiście gorsze niż być zamkniętym na 48 godzin itd. Ale właśnie wtedy, kiedy wskazuje się na tę względność zła, staje się to zrozumiałe dla Polaka, Argentyńczyka, Rosjanina, Francuza, Algierczyka itd. I moim zdaniem doświadczenie zła i szpetoty jest o wiele bardziej uniwersalne niż doświadczenie dobra i piękności.

"Puls": Brzydota jest równie względna.

A.G.: Tak, ale mniej względna niż piękność. Brzydota jest oczywiście o wiele bardziej względna niż zło, ponieważ brzydota jest tylko pewnego rodzaju atakiem na część ludzkości, podczas gdy zło jest prawdziwym mordem. Jestem szczególnie wyczulony na problem poruszany przez niektórych etnologów badających narody amazońskie, które nie znają alfabetu, ekonomii, wymiany itd. Claste np. mówi, że społeczeństwo to charakteryzuje się nie brakiem instytucji państwa, lecz całym systemem wypracowanym tak, aby państwo nie powstało - poprzez stosunki międzyludzkie, których celem jest właśnie uniknięcie niebezpieczeństwa powstania państwa. Mają oni oczywiście szefów, bo konieczna jest pewna centralizacja pracy, lecz są oni mniejszością, mają pozycję niższą w stosunku do mas. Np. muszą cały czas tłumaczyć ludziom, co z nimi robią, a ci nie muszą ich słuchać. A więc jeszcze przed powstaniem państwa istnieje już niebezpieczeństwo dyktatury, niebezpieczeństwo władzy szefów i sposoby próbowania uniknięcia go.

"Puls": Tak, ale praktycznie jest ono nie do uniknięcia. Nie istnieje ani jedno państwo, gdzie by...

A.G.: Właśnie. Można powiedzieć, że zło jest uniwersalne, bo zanim jeszcze nawet państwo powstaje, istnieje już wyobrażenie zła jakie ono przedstawia, a myśl, że jest to zło względnie duże lub względnie małe zrozumiana jest przez wszystkich. Wracam do tego, że ludzie porozumiewają się lepiej...

"Puls":..... na planie negatywnym niż pozytywnym.

A.G.: Tak. To właśnie składa się na prawa człowieka. Szacunek dla różnic, idea wspólnego niebezpieczeństwa. Jeżeli przyjrzeć się bliżej niektórym tekstom Marksa, zauważa się, że cytuje on deklarację praw człowieka z 1895 roku, a w deklaracji Praw Człowieka jest powiedziane, że prawa te przechodzą w zapomnienie lub w rzeczywistość despotyzmu. Marks uważa, że jest to definicja negatywna i nieinteresująca. Ja uważam odwrotnie, że prawa człowieka są obroną lub strategią obrony przed niebezpieczeństwem despotyzmu. Prawa człowieka nie są więc końcowym wyjściem, ostatecznym; są wolaż na bieżąco zmieniającą się strategią walki z despotyzmem, ponieważ despotyzm ma wiele twarzy i wiele form. A więc człowiek ma lepsze wyobrażenie o despotyzmie niż o raju. Tak jak ma lepsze wyobrażenie o śmierci niż o dobrym życiu.

"Puls": Nie wszyscy...

A.G.: Nie myślę, że Grecy bardzo mylili się mówiąc, że człowiek jest zwierzęciem śmiertelnym. Śmierć jest czymś bardzo dziwnym, ponieważ nie ma się przecież doświadczenia, nie można w gruncie rzeczy wiedzieć, jak się umiera. Religie twierdzą zresztą, że się nie umiera. A przecież...

"Puls": To jest prawda dla wierzących.

A.G.: Tak, ale zarówno wierzący, którzy są większością, jak nie wierzący - wszyscy wiedzą, co znaczy słowo śmierć, a można by przecież nie wiedzieć.

"Puls": Pokazało nam to doświadczenie.

A.G.: Nigdy nie przeżywamy doświadczenia własnej śmierci. Pewien uczoney powiedział: dopóki żyję, śmierć nie istnieje, a kiedy śmierć przychodzi, nas już nie ma. Nie możemy więc zrobić tego doświadczenia.

"Puls": A więc nie wiemy, co to jest.

A.G.: A jednak w pewnym sensie wszyscy wiedzą.

"Puls": W pewnym sensie, podczas gdy wiemy bardzo dokładnie, co to jest życie.

A.G.: Każdy ma swój osobisty pogląd na życie, natomiast wszyscy mają wspólne wyobrażenie tego, czym jest śmierć.

"Puls": To dosyć mgliste.

A.G.: Owszem, ale ta mglista niewiadoma ma sens dla każdego. Piekło jest mgłą, która ma sens dla każdego. Już mówiłem, że myślę, że ludzie lepiej zgadzają się co do zła niż co do dobra. Lepiej wiedzą czym jest Gułag niż czym jest Raj. Sądzę, że jest to wiedza podstawowa i że została już wyrażona począwszy od starożytnej Grecji. W każdym razie, jeżeli chodzi o ostatnie 20 lat naszego wieku, to można dojść naprawdę do porozumienia jedynie na temat zła, którego należy unikać.

W końcu dobro jest może sprawą prywatną każdego. Wyszliśmy z założenia, że istnieje jedno, niepodzielne piękno; okazało się, że artyści mogą tworzyć różne piękna, może więc tak samo ludzie mogą tworzyć różne dobra. To jest co innego. Podczas gdy co do zła, okazało się, że nawet gdy wkładano cały geniusz w stworzenie jakiegoś wyszukanego zła, jednak zawsze okazywało się ono podobne do innego znanego już zła. W Gujanie, gdzie buduje się nowe społeczeństwo bezklasowe gotowe przeciwstawić się zagładzie atomowej, było 900 ofiar zbiorowego samobójstwa; podobnie dzieje się w Kambodży z całą jej ideologią marksistowską jak w Gujanie, która nie ma żadnej ideologii.

"Puls": Ma ideologię religii.

A.G.: Religii, która jest zlepkim Lenina, Buddy i sam nie wiem czego. Jest to w końcu ciągle to samo. Zło jest zawsze do siebie podobne mimo jego różnych przejawów i twarzy. Dlatego myślę, że ludzie mogą dojść do porozumienia na temat zła.

"Puls": Marzeniem by było, żeby doszli do porozumienia na temat dobra.

A.G.: Uważam, że skuteczniej jest porozumieć się co do zła. Zdać sobie sprawę, że pierwszą rzeczą jaka jest do zrobienia jest ustanowienie praw człowieka dla wszystkich, co jest formą obrony przed złem; i to pozwoli ludziom uniknąć narzucania dobra przy pomocy terroru.

"Puls": W ten sposób można mówić bez końca: walczymy ze złem, nie pokazujemy dobra, aby zwalczyć zło.

A.G.: A może zostawia się możliwość wielorakiego dobra. Pozostawia się pole działania indywidualnego. To właśnie podoba mi się u dysydentów, ten wielki respekt dla różnic indywidualnych, to wielkie poczucie wspólnoty przeciw sprecyzowanym niebezpieczeństwom, które nigdy nie są abstrakcyjne.

"Puls": Jest to właściwie normalne. Muszą się jednoczyć niezależnie od osobistych poglądów, respektując innych, ponieważ tylko dzięki takiej postawie mogą walczyć ze złem. Jest to metoda klasyczna.

A.G.: Może na tym właśnie polega dobro.

Kiedy Sołżenicyn mówi, że główną zasadą jest nie kłamać, to jest to oczywiście zasada negatywna i ta oczywistość niszczy wiele rzeczy. Gdy w społeczeństwie socjalistycznym ktoś jest rzeczywiście zdecydowany nie kłamać, nie podnosić ręki, nie popierać, i gdy ta choroba obejmuje szersze kręgi, to niszczy to wiele rzeczy, rozczłonkuje zło i stwarza możliwość indywidualnego tworzenia dobra.

"Puls": Nie jest to na przykład sprawa przypadku, że od pewnego czasu polski ruch dysydencki związał się z kościołem katolickim, wychwala go, widzi w nim tylko dobre strony ukrywając, albo raczej nie ukazując postaw tego kościoła nie zawsze doskonałych na przestrzeni wieków.

A.G.: Nie znam zupełnie problemów polskich i nie mogę wypowiadać się na temat historii Polski. Jeżeli uznaję unię ludzi wierzących w Boga i ludzi nie wierzących w Boga, to właśnie na bazie rozpoznania przez każdą z tych grup zła, które jest także częścią składową nas samych. To znaczy: można jednoczyć się tam, gdzie jest to możliwe. To znaczy, że np. należy uznać religię jako siłę oporu wobec totalitaryzmu, co okazało się zarówno w Rosji jak i w innych krajach. Doprowadza nas to, niezależnie od tego czy wierzy się w Boga czy też nie, do całkowitego zerwania z ideologią ateistyczną radykalnego socjalizmu francuskiego lub komunistycznej rewolucji kulturalnej. Tego typu prosty ateizm nie może być źródłem oporu i to pokazała nam historia.

Niezależnie od tego uważam za Sołżenicynem, że problem nie polega na tym, aby stwierdzić, że nie byliśmy sprawcami obozów koncentracyjnych i masakr. Problem polega na tym, co zrobiliśmy, aby im się przeciwstawić. Co zrobiliśmy, aby zaprotestować? Problem ten oczywiście staje przed marksistami zachodnimi, ponieważ w istocie nigdy oni nie protestowali, nigdy nie stawiali oporu i w konsekwencji większość z nich stała się współnikami Zła przez brak protestu. Problem ten staje także przed kapitalistami zachodnimi, ale staje również przed kościołem katolickim milczącym, gdy palono 6 milionów Żydów. Dlaczego papież nie protestował? Jest oczywiste, że to nie papież organizował obozy koncentracyjne, ale nie chodzi o to, czy papież organizował obozy czy nie, ale o to, co zrobił, by do nich nie dopuścić. Jest to problem, który dotyczy każdego obywatela, czy jest wierzący czy nie: co zrobił przeciwko totalitaryzmowi? Pogląd, że to jedynie zli organizują masakry będzie istniał zawsze. A jedynym sposobem niedopuszczenia do masakr jest to, aby każdy przeciwstawiał się, w miarę swoich możliwości wówczas, gdy masakry się dopiero zaczynają. I to jest lekcja, którą dał nam Sołżenicyn i którą dali nam dysydenci. A więc problemem Piusa XII-tego jest pytanie, dlaczego milczał? Jest to pytanie dotyczące wielu postaw kościoła. Gdy sam nie prowokował masakr, jak w czasie Inkwizycji, to co robił przeciw nim? I to właśnie spodobało mi się w sformułowaniu nowego papieża, gdy zapytano go, co to właściwie znaczy święty. Nie odpowiedział: święty to jest wielki papież, dobry członek Kościoła. Odpowiedział: jest to np. ksiądz, który zajął miejsce Żyda - ojca rodziny, w piecu krematoryjnym. Nie wymagam tego od Piusa XII-tego, ale jest to bardzo piękna odpowiedź, która stanowi rodzaj samokrytyki postawy kościoła z lat 1940-45. Jest to prawie krytyka Piusa XII. Tak to rozumiem i uważam, że stwierdzenie, że kościół jest czysty, bo to nie on budował obozy koncentracyjne, jest lekceważeniem całego doświadczenia naszego wieku. Ten, kto nie protestuje przeciw obozom koncentracyjnym, ponosi część odpowiedzialności za wszystko, co dzieje się w obozach koncentracyjnych.

Tego uczy nas Sołżenicyn, tego uczą nas niemieccy historycy i tego, niestety, uczy nas historia papieża Piusa XII-tego.

PROFESOR LEW LEVY-STOSS
/fragment większego poematu pt. "Bania w Paryżu"/

Pierwsze z tych słonec t-o Francji chluba -
wielki filozof Levy Stoss.
Niczem epoki naszej tuba
brzmi w świecie ważki jego głos.
To najślynniejszy z wszystkich Levy,
bo przy nim taki Strauss czy Brühl
po prostu gówniarz jest i szczył,
który niczego zgoła nie wie
o głębiach bytu i poznania.
Ach! jemu nawet i sam Sartre
czyszczenia butów nie jest wart!
Heidegger przy nim - kpina! Husserl
jest równy bzykającej musze!
Arystoteles razem wzięty
z Platonem, Kantem, Heglem, Millem
ledwie dorasta mu do pięty -
śmieszny karzełek, ot i tyle!

Wobec Ludzkości i Historii
największą jest zasługą Stossa,
że Logosowi utarł nosa
w Ogólnej Bytu swej Teorii.
Stoss, bezlitosny wróg rozumu,
w wielkiej pogardzie miał myślenie,
uważał je za przesad tkumu,
przytem trywialny nieskończenie.
Pomysł, że myśl się styka z Bytem
jest kretynizmu istnym szczytem!
I konsekwentnie, krok po kroku,
dowiódł w analiz swoich toku,
że owo osławione ratio
bezczelną jest mistyfikacją,
a zaciemnianie słowa sensem -
niewiarygodnym wprost nonsensem.
Logiki prokrustowe łożo,
gdzie torturuje się przesłanki,
w wyniku tylko przynieść może
unicestwienie Bytu tkanki.
Nie w tym dziwnego, gdyż cogito
jest instrumentem troglodytów!
Dotychczasowa filozofia -
trzeba postawić jasno sprawę -
nie mogła wniknąć w sedno Bytu,
gdyż sfalszowano jej podstawę
i połoniono Bytu zdradę
Logos mu dając za Zasadę.

Nim świt zabłysnął nowej ery,
przez długich lat dwadzieścia cztery,
w dymie tysięcy papierosów,
łysy, bezzębny, zezowaty
siedział śmiertelny wróg Logosu,
pisząc mordercze swe traktaty.
Brzytwą swojego intelektu,
jak nędzny plik makulatury,
rozdierał system po systemie
z głośnym okrzykiem: Cóż za bzdury!

Rechotał dziko przy Platonie,
 przy Kancie wprost ze śmiechu pękał,
 a gdy się zabrał za Husserla,
 to mu wypadła sztuczna szczeka.
 Z jednego tylko filozofa
 Levy się nie śmiał i nie szydził,
 gdyż z wszystkich rzeczy tego świata
 jego najbardziej nienawidził.
 Jego to portret miał nad biurkiem,
 lecz zawieszony niewysoko,
 by rzucić w niego mógł okurkiem,
 lub mu ze złości napluć w oko.
 Był to Kartezjusz - niegodziwiec,
 co chciał istnienie z myśli wywieść -
 ledwie widoczny, bo plwociny
 pokryły prawie całe płótno,
 więc widać było tylko bródkę
 i jedno z ócz, patrzące smutno.

Patrząc na portret Kartezjusza,
 Levy straszliwie się rozjuszał
 i syczał mściwie: Jezuito!
 Już ja ci zniszczę to cogito!
 Rozdepczę je, jak wstrętą żabę!
 O, znam ja strony twoje słabe
 i unicestwię jednym ciosem
 nędzne cogito wraz z Logosem!
 Tu milkł i długo zbierał ślinę,
 poczem posyłał mu pacynę.

Po latach tytanicznych zmagani
 z obmierzłą Myśli kreaturą,
 błysnęło w dali nikłe światło
 i Levy poczuł, że jest górą.
 Robiąc na przemian "epochè"
 ze swoim słynnym "voilà",
 osiągnął wreszcie "Wesensschau"
 tak jasny, jak dwa razy dwa.
 Zrozumiał nagle mianowicie,
 że musi być gdzieś dziura w Bycie
 i to nie na obrzeżach - skądże! -
 ale w samego Bytu jądrze.
 Już jego kuzyn - Levinas
 podobne kiedyś miał pomysły,
 lecz, że miał umysł nie dość ścisły,
 sądził, że w Bycie są szczeliny.
 Powstała też straszliwa wiedza,
 że Byt się zgęszcza i rozrzedza,
 że mogą być u-bytki w Bycie -
 kompletny chaos, jak widzicie!

Tymczasem w Bycie zieje Dziura.
 Tej Dziury taka jest natura,
 że dąży ona do Zatkania.
 Tu antynomia się wyłania:
 bo kiedy Dziurę Byt zatyka,
 część Bytu przez to w Dziurze znika,
 powstaje więc u-bytek w Bycie
 i nowa Dziura się odsłania -
 w ontologicznej swej istocie
 Dziura jest więc nie-do-zatkania.
 Nie-do-zatkanie-w-Bycie-Dziury

/dia Seins-Lochs-Un-zu-Stopfenheit/
 przesądza zatem o tem z góry,
 że Byt Nie-do-Byt w sobie ma
 i pełne Bytem nasycenie,
 to ściętej głowy jest marzenie!
 Z tego wiecznego nie-do-sytu
 rodzi się więc Tragedia Bytu.
 Ma to brzemienne konsekwencje,
 gdyż Byt sprzecznością rozdzierany,
 pełną uzyskać chcąc essencję,
 popada w znane febris Bytu
 i w nie-do-spełnień drży gorączce.
 Tak zatem w chorobliwej drżączce
 nie-do-syt dąży do prze-sytu.
 Taka jest Bytu dialektyka,
 że znieść nie mogąc Dziury-w-sobie,
 Byt dąży do zniesienia siebie,
 w wiecznej gorączce i chorobie,
 jakgdyby istność swoją grzebie,
 ontycznie teskniąc do umiaru,
 faktycznie zmierza do pożaru.
 Tu Levy zawył aż z zachwytu
 nad swym odkryciem: pożar Bytu!

Długo się nie mógł uspokoić
 wynikiem swego "voilà!".
 Jak błędny chodził po pokoju,
 to znów w bezruchu smętnym trwał.
 Na stertę zapisanych kartek
 spoglądał niewidzącym wzrokiem...
 Nagle przypomniał sobie: czwartek!
 U księżnej jour! i szybkim krokiem
 ruszył, by zdążyć na kolację.
 /że tak się spieszył do kolacji,
 trzeba mu przyznać wiele racji,
 bo na kolacjach księstwa Guise
 jak w niebie czuł się smaku zmysk./

Nie było mu jednakże dane
 sycić się boskich dań rozkoszą,
 gdyż, jak wiadomo, niezbadane
 zazwyczaj są zrządzenia losu.
 Kiedy pojawił się w salonie
 pośród od dawna znanych twarzy,
 witany gromkim aa! chóralnym,
 dziwny wypadek się wydarzył.
 Oto blondyna bardzo piękna,
 ledwie skończyły się wiwaty,
 spytała głośno swoją sąsiadki:
 - Kim jest ten tysek zezowaty?
 Była to Bonja oczywiście
 i, prawdę mówiąc, nieźle wlana,
 gdyż nudząc strasznie się w salonie,
 wtrąbiła butle dwie szampa.
 Nie była wtedy jeszcze damą
 i mało znała się na szyku,
 toteż zebrane tutaj sławy
 brała za starych, nudnych pryków.
 Teraz, zgorszone widząc miny
 i oczy księżnej pełne gniewu,
 chciała już rzucić w odpowiedzi:
 - A, dajcie spokój! Ja olewam!

Że się nie zrobił wielki skandal
 wskutek straszego Bonjy fo-pa,
 to dzięki temu, iż Simona
 pod stołem jej wsunęła kopa.
 - Niech pani zmilczy! - zasyczała -
 To Francji chluba jest i chwała -
 wielki filozof Levy Stoss!
 A Bonja znów na cały głos:
 - Jeden sztos więcej, jeden mniej! -
 O, Boże! chciaj wybaczyć jej!
 Zresztą w kompletnym była błędzie,
 bowiem urządzeniem dziwnym losu
 Levy niezdolny był do sztosów.
 Intelpekt siadł mu na popędzie,
 całkiem przydusił mu libido,
 lecz, żeby prawdę całą rzec,
 chociaż mu brakło męskich zalet,
 baby marzyły mu się stale.
 Szczególnie, ach! blondyna rosła
 z d... potężną, jak wierzeje,
 która by cye przed sobą niosła
 jak średnia dynia, gdy dojrzeje!
 Śnił taką niezliczone noce,
 a rankiem własne kłął niemoce,
 wiedząc, że gdy się do niej zbliży,
 piekielna zdolność analizy
 znów spowoduje straszny kryzys.
 Z tych zbliżeń miał wciąż taki zysk,
 że rozsierdzone brakiem bóstwo
 raz po raz mu dawało w pysk
 za mimowolne to oszustwo.
 W końcu pomysłął: - Absurd dziki!
 Stale spuchnięte mam pók twarzy!
 Trzeba się wyrzec głupich marzeń
 i wrócić do metafizyki!

Lecz teraz, kiedy w nagłej ciszy,
 jaką wywołał Bonjy nietakt,
 zobaczył ją, znów nieodparcie
 go pociągnęła ta konieta.
 Przez profesorskie roztargnienie
 biorąc chwilowe podniecenie
 za przejaw prostej męskiej siły,
 zbliżył się do niej z galanterią
 i, chcąc dowcipny być i miły,
 powiedział, nadrabiając gestem:
 - Pani pozwoli, Stossem jestem! -
 Bonja, choć tego miała w czubie,
 pojęła, że grebiła fo-pa,
 nie chcąc więc zrażać sobie chłopca,
 rzekła z prostotą: - Tak, to lubię!
 Bądź pan tak dobry, filozofie,
 i usiądź przy mnie, tu, na sofie! -
 Zadała tym niezłego szyku.

Kiedy szła z Levym do mieszkania,
 mówiła czule: - Ty karliku!
 Odwiedzić mi cię skromność wzbrania.
 Lecz, trudno, pójdę, gdy dasz słowo,
 że mnie nie będziesz napastował! -
 W mieszkaniu zaś - sromotna kłapa.
 Stoss, chcąc odsunąć bólu chwilę,

zdejmuje termos włoski z półki,
że niby będzie parzył kawę,
do kuchni idzie żreć pigułki.
Parzenie ciągnie się bez granic.
Stoss utwierdziwszy się, że na nic,
na rozpaczliwy koncept wpada,
że może zdoła ją zagadać.

Już przeszło dwie godziny Levy
z zapałem o Husserlu gada,
a Bonja czuje, jak powoli
w sen nieuchronnie się zapada.
Dotąd puszczała mimo uszu
wszystkie retencje i protencje,
czekając niecierpliwie, kiedy
Levy okaże swą potencję.
Oszołomiona wciąż płynącą
rzeką terminów i cytatów,
myślała potem, pośród ziewań:
- On chyba jakiś kołowaty! -
Wreszcie straciła już nadzieję -
za oknem wstawał świt szarawy -
Ach! - wzdycha Bonja - żeby chociaż
ten stary pierdziel dał mi kawę! -

Stoss dwano skończył już z Husserlem
i, rozwijając ogon pawi,
właśnie o wielkim swym odkryciu
już prawie śpiącej Bonjy prawi.
Teraz, w niezwykłym podnieceniu,
ze sztucznej szczęki straszonym zgrzytem,
mówi, jak Rozum starł na miazgę
i jak rozprawił się z cogitem:
- ... a zatem, na Logosu miejsce,
jak pani myśli, co postawię? -
zapytał nagle z wielką werwą,
a ona, myśląc wciąż o kawie,
odrzekła sennym głosem: - Termos.

CIEN NAD WIELKĄ RÓWNIĄ
/fragment/

Gdyby pułkownik Tykiet przesłuchiwał go osobiście, prawdopodobnie zapytałby: jak to się stało? i skąd on się tam, w tym miejscu właśnie wziął? Na takie pytania musiał być przygotowany. Światło żarówki nad drzwiami razikło wzrok. Otwór judasza szczyknął przesuwaną klapką i spojrzął na niego okiem strażnika. Odwrócił się na pryczy, przełknął ślinę pełną goryczy wypalonych pośpiesznie, jeden po drugim, dwóch papierosów i zacisnął powieki.

A wtedy w raptownej ciemności wyskoczył, jak dokładna fotografia, dom przy Alei, przed domem ogród, drzewa stojące bez ruchu w dusznym upale tego czwartku, bezchmurne niebo, pusta ulica i niedaleka karabinowa palba. I przypomniał sobie zaraz gorączkową, pełną protestów rozmowę z żoną, tę szarpaninę z nią przy furtce ogrodowej, jak trzymała go za ręce i nie chciała puścić. A gdy sobie tylko to przypomniał, od razu dużo więcej innych szczegółów też. Jak dwie, a może trzy godziny wcześniej powrócili byli do domu. Jakiś czas przy oknach ich mieszkania. Obłądny, histeryczny, minuta po minucie, z oczyma wbitymi w ten jeden punkt miasta, gdy Barbara mówiła: "Nie idź tam, nie mieszaj się. Błagam cię, nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Nikomu tym nie pomożesz, że tam pójdziesz, że się przyłączysz...", a on mówił: "Widzisz przecież, co tam się dzieje. Czegoś takiego jeszcze nie było. Powstanie, czy co...?" A potem ona mówiła w coraz większym podnieceniu: "Są za słabi". A on: "Co mówisz! Widziałas przecież ten nieprzeliczony tłum przed uniwersytetem. Ci ludzie..." A ona już z ironią: "Nie dadzą rady. Nie są zorganizowani. Przez tych jedenaście lat sparaliżowano wszystkie siły mogące ująć ster wydarzeń, wyniszczono wszystkich autentycznych przywódców. To twoje słowa. Tak właśnie mi to wielokrotnie tłumaczyłeś". A on: "Może się ruszyć cały naród". A ona: "Wtedy do akcji wejdą sowieckie czołgi. Jak wtedy w Berlinie. Widać zapomniałeś, gdzie żyjesz. Rosjanie nigdy nie wyrzekają się dobrowolnie zdobyczy. Żadnej! Mówiłeś mi to! Mówiłeś wielokrotnie" krzyczała. A on: "Przestań!" Tak, mówiłem, mówiłem wielokrotnie. Wszystko, co wiesz, to ja ci mówiłem, to ja ci tłumaczyłem, ale teraz przestań! Nigdy przecież nie traciłem nadziei, że może być inaczej" też krzyczał, mimo że w gruncie rzeczy przyznawał słuszność tej jej zimnej przenikliwości pozbawionej złudzeń. Nie mogło być inaczej. Upłynąć muszą dziesięciolecia, żeby mogło być inaczej, myślał. I zaraz, w tej sekundzie przypomnienia tamtej sceny przy ogrodowej furtce, przypomniał sobie również, jak w pewnej chwili świat, jak gdyby na krótko znieruchomiał, zastygł, skamieniał, zamarły liście na drzewach, ptak zatrzymał się w powietrzu, gdy Barbara położyła mu na ramieniu dłoń, która była bezwolna, jakaś taka bez kości, prawie bez mięśni, coś bardzo uległego, słabego, trzepoczący się bezszelestnie motyl, oto właśnie to, coś, co otwiera się i zamyka, jak miękkie skrzydła do lotu, a nie może się wznieść, choć bez wątplenia w ruchu tym pod powierzchnią bezwolności było czujne napięcie, czujność świadomości i nerwów. Tę chwilę nawet teraz jeszcze tak samo wyraźnie pamięta, jak gdyby nie była chwilą sprzed miesiący, ową chwilą, kiedy Barbara położyła swą dłoń na jego ramieniu. Także cały widok utopiony w skwarze początku lata, w ostrym, białym słońcu, widok zastygły w bezruchu: w gęstym dwuszeregu rozłożystych kasztanów Aleja, w ich cieniu zielono pomalowane ławki ustawione symetrycznie co kilkadziesiąt metrów, opustoszałe, samotne, w ogrodach dwa rzędy jednorodzinnych domków i willi, żółtych, białych, albo żółtobiałych, ogrody poprzerywane wygracowanymi starannie ścieżkami, dalej na kamienistym nasypie z rzadka porośniętą trawą, tu i ówdzie wypaloną i szerniałą, kolejowy tor. A jeszcze dalej, za nasypem, za torem, zaczynające się właśnie od tego i podobnie więcej miejsca, śródmieście; parę czworoboków wyższych budynków, przeważnie secesyjnych kamienic czynszowych, między którymi wznosił się szpital imienia Raszei, opodal zabudowania otaczające gmach Urzędu Bezpieczeństwa, górujący nad resztą otoczenia, następnie garaże oraz okrągły, kopulasty pawilon dawnej ujeżdżalni koni, wszystko to rozgrodzone ulicami i uliczkami przepełnionymi huczącym jak ul tłumem, ponad tym zaś bezchmurne, błoniebieskie niebo, podobnie nieruchome, jak znieruchomiały wydał mu się na krótko cały widok okolicy, kiedy Barbara położyła dłoń na jego ramieniu i wy...

czerpawszy wszelkie możliwe argumenty, zapytała cicho: "Więc nie zostaniesz w domu nawet ze względu na mój stan? Nic cię to już nie obchodzi? Nie zrobisz tego dla mnie?", a on, patrząc na nią uważnie, wciaż oparty o odemkniętą już furtkę ogrodu, zrazu nie odpowiedział nic. Zamyslił się tylko. I myślał o tylu rzeczach naraz, że poczuł od tego aż zawrót głowy. Bo nagle przypomniał sobie i jednocześnie zobaczył, jak wiosną przed czterema laty szedł ulicą od Opery w kierunku Placu Wolności, a Barbara właśnie stamtąd szła, w wietrze, i wpierv wtedy myślał, że spotkał ją już gdzieś przedtem, tyle że przedtem nie zwrócił na nią uwagi, wtedy jednak dopiero zobaczył naprawdę i jak ten wiatr zdmuchnął ciepłym, łagodnym powiewem jej sukienkę w groszki, opinając ją wokół jej ciała ciasno, i jak szedł za nią wtedy długo, słuchając przyśpieszającego się stukotu jej obcasów o bruk i łoskotu własnego serca, potem o tych nagłych ulewach pomyślał, o pierwszej burzy, może nawet dwóch, albo trzech, o zapachu mużu niesionego przez rzekę, podobnego do smaku niklowego groszaka w ustach i o tamtym spotkaniu na dworcu, kiedy powiedziała, że wcale się go nie bała, gdy za nią szedł, i jak już tego samego dnia zwierzył jej całe życie, i to przekoczowane, dawne, i osiadłe teraz, a dopiero co padał deszcz, ale przestał i przebłysnęło słońce, i tęcza opasała wszystko od horyzontu do horyzontu, powietrze zaś było niby przedestylowane, czyste, przeźroczyste, lekkie i miało smak rdzy, więc przez tę podmiejską osadę, dokąd jeździła, ażeby odwiedzić krewnych, szli bardzo wolno i jej oczy patrzyły na niego słuchając z uwagą, choć nie była wcale z jego stron i nawet trudno byłoby jej wyobrazić sobie wtedy ów jakże mu bliski kredowożółty pejzaż Podola, zielony jar za wsią, z ostrą, kamienistą rysą potoku na dnie, biały obłok kurzu wzbijający się nad drogą, którą jechał zwykle w niedzielę z rodziną do Nikoryczy na mszę, smuzenie się tej bezkresnej pszeniczno-trawiastej przestrzeni dającej chwilami złudzenie Dzikich Pól, zwłaszcza, kiedy wiatr wiał pachnący dalekim stepem, kiedy przemykając się od wschodu przez Zbrucz, niosąc puch mleczny, czepliwe motylki bodiaków i płowe nasiona różnorodnych traw, niósł równocześnie wspomnienia jeszcze swojskie, już jednak obce, imiona, nazwy, dźwięki, obrazy i cofał za próg czasu, po którym pamięć wciaż była niezatarta, gdzie sienkiewiczowscy bohaterowie niezmiennie przepawali się jeszcze przez rzekę, przeorywali piersiami swych koni stepową dal, ruszając naprzeciw łupieżczym zagonom Ordy, lecz to nie było wcale ważne, że nie miała o wszystkim tym najmniejszego pojęcia, każde strony są dobre, jeśli się w nie wrosło, jak drzewo wrasta w ziemię, jeśli one, te strony wrosły w nasze serca, w oczy, w słuch, w węch, w mózg, w naszą jamę i sny, jej strony też przecież były dobre, właśnie dzięki niej, samemu jej istnieniu, tak samo, jak te nad Amu-Darią strony, niedaleko Daganisziru, były dlań dobre dzięki Dżafferowi /oczywiście, Dżaffer miał na imię!/, starszemu nad turkmeńskimi pasterkami, chociaż było wtedy tak ciężko, puchli wtedy wszyscy z głodu, za byle co groziła kulka, i niemal beznadziejnie, i jak dzięki staremu łagiernikowi Nerses-Achparowi były także dobre te strony na płaskowyżu w kierunku Samarkandy, mimo że już padał wtedy z wyczerpania, skóra i kości, o zmroku ślepy, niby kret przez tę chorobę głodową, wyniesioną jeszcze z łagrkopalni na ziemi Bed-Pak-Dała, lecz nie musiał wcale widzieć, skoro Nerses-Achpara miał przy sobie, jak brata, doprowadził go w końcu oako na miejsce, gdzie zbierał się transport do Polski i nie czekał żadnej zapłaty, mocny uścisk dłoni, dłoń przyciśnięta do piersi, skinienie głowy, spojrzenie bardzo długie, oto co, nic więcej, i jej o tym wszystkim wtedy, kiedy szli, opowiedział, a następnym razem, to było w jednej z alej zwierzynieckiego ogrodu, przy danielach, też trochę padało, jeszcze teraz pamiętał szorstki chrobot, gdy samce ocierały swe rozłożyste panty o ogrodzenie z bali, a znów następnym razem, to już o zmierzchu na tarasie kawiarni "Arkadia", bzy właśnie kwitły, jak oszalałe, i białe, i lila, i bordowe, i kardynałskie, bardzo ciemne, i te nieco jaśniejsze, i pojedyncze, i podwójne, i nazywane tureckimi, i te o zapachu korzennym, podobno indyjskie, a ona bawiła się pojedynczą kłasią kwiatu, od czasu do czasu zanurzając w nią twarz, a następnym razem, to na rowerach nad rzeką, gdzieś koło pruskiej Cyta-deli, jechali o tak, znikąd i do nikąd, i było wspaniałe, a znówu następnym, to na filnie "Pustelnia Parmeńska" w kinie "Bałtyk", a jeszcze następnym razem poszedł pieszo do tej osady pod miastem, tam ją spotkał i potem z nią razem przez las, i potem w dół strumienia, i potem w miejsce, gdzie strumień rozrywa-

ły na dwie połowy pomorenowe głązy, i kiedy tam leżeli czytając przez całe popołudnie polskie tłumaczenie "Rękopisu znalezionego w Saragossie" Potockiego, to czuł zapach upału w zenicie i jak wysycha łąka, jak żar wysysa wilgoć z liści i rozpalone do białości słońce nad wodą, i jej gorącą skórę też, i słyszał oddech Barbary równomierny, spokojny, łagodny, kiedy wreszcie odłożył książkę i przewróciwszy się na wznak, zamknęła przed jaskrawym blaskiem oczy, mówiąc: "Tak często o tobie myślę. Za często o tobie myślę...", i nieruchomość całego otoczenia sobie przypomniał i milczenie, i potem, gdy opuszki jej palców natrefiły na zgrubienie na jego plecach, jak zapytała: "Skąd to?", a on powiedział, że to stamtąd, jeszcze z tej kopalni siarki, że do bicia wysługiwali się kryminalnymi, ona zaś, odsunawszy się gwałtownie, krzyknęła: "Och, przestań! Nie chcę o tym słyszeć! Wciąż to! Nie mogę tego znieść!", i zaraz wstrząsnęła nią coś, jak płacz, choć oczy miała suche i, żeby naprawdę z tym skończyć, powiedział: "Chodź, idziemy się kąpać", i że woda była wtedy chłodna, krystalicznie czysta, przypomniał sobie, a prąd znosił ich w dół nurtu, aż do otoki mżyńskiej, gdzie wyszli z wody, wrócili idąc brzegiem i leżał potem długo na piaszczystej płyciźnie zamknawszy oczy, myśląc o Barbarze tak, jakby wcale jej nie było, albo była daleko, a ona tymczasem chodziła w pobliżu wzdłuż brzegu, przepatrywała się drobnym rybem pokłuskującym na dnie, sitowiu, kamieniom, podnosiła wypłukane muszle, nuciła półgłosem, wciąż tę samą melodię, gdy zaś oczy otworzył, patrzyła na niego i się uśmiechała, i później, gdy leżeli na kocu twarzą w twarz, to jej ramiona objęły go, zamknęły się nad nim jakoś tak ostrożnie i z uwagą, jakby nie chciały dotknąć tamtych gruzowatych miejsc na plecach, jakby to dotknięcie mogło zboleć, i w oczach jej była siła, której przedtem w nich nigdy nie dostrzegł, następnie pomyślał o swoim nowym aresztowaniu tamtej jesieni, jeszcze o tych miesiącach w więzieniu śledczym, w czasie których wmówić chcieli mu szpiegostwo, współpracę z różnymi "imperialistami" i wiele innych bzdur, miesiącach znowu okrutnych, jak wtedy w Sowietach, ale przede wszystkim jałowych, znowu zmarnowanych, i jak wystawała przed bramą przez parę tygodni co rano, kiedy spodziewała się, że wyjdzie, i później o tym dniu, kiedy mu powiedziała o swojej kuzynce mieszkającej w Paryżu i jak kłócili się przez ponad dwa tygodnie, rozstawali, spotykali, znowu rozstawali, telefonowali do siebie, przerywali rozmowy, znowu telefonowali, i następnie, jak ją ujrzał na lotnisku, już po drugiej stronie celniczej barierki, jeszcze z tym bukietem czerwonych goździków w ręce, jeszcze odwróconą, jakby zamysłoną, jakby zdziwioną, jakby niepewną i nawet zaniepokojoną też, i myślał, że zwariuje przez to całe długie lato, zwłaszcza, że jej ojciec, gdy się kiedyś w mieście spotkali, powiedział, że Barbara nie wróci, spróbuje tam studiować, kłóży, raz się wydstawisz, taką rzadką szansę zmarnować, i o tym pomyślał, jak powróciła, i tanto zdziwienie wciąż jeszcze miała w oczach, a tego popołudnia padało, jak nieszczęście i od lotniska jechali taksówką nic prawie nie widząc, i później dzień też był pochmurny i w deszczu, kiedy się pobrali, chociaż nie cały, bo na krótko rozpozdziko się, kiedy zamknęły się za nimi drzwi ich mieszkania i zostali sami, i stanęli wtedy przy oknie, popatrzyli na ogród, gdy zaś błysnęło słońce, to spojrzął na nią tak, jak nigdy jeszcze przedtem, w jej młode oczy, na jasne, pogodne czoło, na twarz bez cienia i w tej jednej chwili ujrzał ją podobną do rozkwitłego kwiatu, z którego jednak od tego dnia i już zawsze opadać będzie powoli płatek po płatku, w tej bowiem chwili rozkwitu były już przyszłe chwile owocowania, wędnięcia i opadania, taki był niezłomny porządek natury, myślał, pojawią się pierwsze zmarszczki wokół oczu, pierwsze cienie na policzkach, bruzdy i bruzdki, pierwszą siwe włosy i nic procesu tego nie zatrzyma, myślał, wszystko to widząc niezmiernie jasno wtedy, gdy stali przy oknie patrząc na ogród tonący w słońcu i zrozumiał, że dlatego ją tak bardzo kocha i poczuł smutek, ale także pogodzenie, bo on będzie jej w tych przemianach towarzyszył i sam również im podlegał, i zbrał o długich wieczorach zimowych pomyślał, tych wieczorach później sam na sam z nią, gdy przeczytali tyle najrozmaitszych książek i przegadali licho wie ile czasu o teatrze elżbietańskim, o potrzebie rekonstrukcji królewskiego zamku w Warszawie, o Riccardzie, o Marksie, o Trockim, o Leninie, o Żydach, o kulturze łużyckiej i kulcie grobów skrzynkowych, o piśmie runicznym i o sagach normandzkich, o dramatach Rittnera i Witkiewicza; i o obrazach Witkiewicza także i dużo o archeologii egipskiej, papiirusach, fro-

skach, mumiach i odkryciach profesora Michałowskiego, a jeszcze więcej o wojnie, o pokoju, o szczęściu, o nieszczęściu, i o losie w ogóle, i roli jednostki, i o roli mas, i o najróżniejszych dziedzinach sztuki, że trwają wiecznie, że nie ma nic nad nie trwalszego na świecie, większego, wspanialszego, co wcale nie było prawdą, uspakajali się tylko pełni wątpliwości, bo od sztuki większa, wspanialsza i trwalsza jest ludzka myśl, myśl niepodległa, zmienna, ciągle walcząca, przebijająca się wciąż naprzód poprzez przeciwności stawiane przez zafobanie, dogmat, zabobon i wstecznicstwo ludzkiemu rozumowi, czymże jest wobec niej sztuka, zresztą sztuka jest także z niej, z ludzkiej, niepodległej, bujnej i zapładniającej wszystko myśli, ale i to chyba nie jest zupełną prawdą, bo może czymś większym, wspanialszym jest naród, jego historia /nawet gdyby to była najgorsza, najsmutniejsza i najbiedniejsza historia/, jest nasza miłość do narodu, a może jeszcze nie tak, może tym największym z największych, najwspanialszym z najwspanialszych jest ziemia tego narodu, bo ziemia jest zawsze lepsza, większa, wspanialsza niż ludzie, ziemia kolebka i grób, miejsce, które zajmujemy pod niebem, przesycona przez pokolenia naszym potem, krwią i wspomnieniami, ta ziemia, gdzie być może nawet po śmierci, jako duchy niewidzialne towarzyszyć będziemy naszym bliskim żywym tak długo, dopóki pamięć o nas nie wygaśnie, i jeszcze myślał o tych coraz gwałtowniejszych, zaskakujących, radosnych, podniecających, dziwnych, zdumiewających ruchach dziecka w jej łonie, ruchach, które wyczuwał przykładając dłoń do jej brzucha, i jak od wielu, wielu tygodni wsłuchiwał się w jego puls, i znowu o ziemi pomyślał, tej ziemi, na której się ono urodzi, i o tym czwartku, o tym czwartku od samego rana, zadając sam sobie pytanie, czy to może zapisuje się na ulicach miasta nowa karta historii tej ziemi, o tym, co zdarzyło się przed paroma godzinami, że rozbito więzienie, spalono gmachy sądów i co się dzieje na ulicach teraz, i o sobie pomyślał, że coś się z nim dzisiaj takiego stało, jakby przed laty umarł i teraz znowu się narodził, i że człowieka, prawdziwego, pełnego człowieka wykuwa nie tyle niesprawiedliwość, ile ta chwila dopiero, kiedy gorczy jest już o kroplę za dużo, i o tym, jak stał z rana z Barbarą w tłumie manifestujących przed uniwersytetem i jak ten, niby wezbrana fala doniósł ich przed Urząd Bezpieczeństwa i że już wtedy ludzie mówili, że jakiś chłopiec pobiegł w stronę gmachu powiewając biało-czerwoną chorągiewką, być może, aby zatknąć ją u wejścia i że nagle padł strzał i chłopiec dostał kulą, co mogło być prawdą, bo ten niewielki kawałek biało-czerwonego płótna, skrwawionego i oddartego od drzewca obnoszono i pokazywano, i potem myślał, jak stojąc tam z Barbarą, zobaczył te trzy ciężarówki z żołnierzami, których zapewne przysłano w celu odgrodzenia gmachu od rozwścieczonego tłumu, jak zatrzymały się, jak ludzie zaczęli krzyżeć: "Swoi żołnierze przeciwko swoim!", a wówczas siedzący w pierwszej ciężarówce oficer wyskoczył z szoferki, dłonią zaczął dawać żołnierzom znaki, żeby się cofnęli i jak od strony gmachu bezpieki znowu padł strzał, kulą trafiła oficera w pierś, ci żołnierze zaś natychmiast rozsypali się po okolicznych bramach, przyłączając się do atakujących, i wreszcie, wyrwawszy się z tego swego zamyślenia, wpierw powtórzył Barbary pytanie: "Czy nie zostanę w domu? Co mówisz? Czy ze względu na twój stan? Czy nie zostanę?", a chociaż tak od razu nie umiał znaleźć uzasadnienia dla swego uporu, dla sprzeciwu, dla powziętej decyzji już także, "Nie. Nie zostanę" powiedział łagodnie, choć zabrzmiało to tak twardo, jakby w gniewie. Potem Barbara milczała i on też jakiś czas milczał. A potem zapytał, starając się przychwycić jej wzrok: "Piłeś?". Wtedy skinęła mu głową, patrząc na niego zmrużonymi oczyma lekko pijanej. Jednakże nie, to jej spojrzenie padające spod opuszczonych powiek, kiedy przyjrzał jej się uważniej, było trzeźwe, nieugięte, mocne, wyostrzone i nieubłagane, głos zaś nie zatracił nic ze swego normalnego, suchego brzmienia, z tego, co zawsze chłodnego wibrowania, gdy powiedziała, może nawet ironicznie, ale także chłodno: "Zapomniałeś o czymś bardzo istotnym, mój drogi. Że to jest ich państwo. Tych ludzi. Tak zwane ludowe. Rządzone przez ich ludową władzę. Przyjęli ją, dali ją sobie wmówić, dali się kupić za psi grosz obcym, za judaszowe srebrniki. Niechże sami zakatwiają swoje sprawy ze swoją władzą". Więc od razu pomyślał, że się pomylił, ona nie była nawet podchmielona. Ona była w stanie, w jakim nie mogła by się wcale upić, chociażby nie wiem jak chciała i wypła znacznie więcej, niż wypika; co najwyżej dostałaby torsji.

Patrząc na żonę widział, jak bladoniebieska żyłka, wiodąca swój kręty żywot od skroni w kierunku czoła, napina się pod cienką skórą, napina i pulsuje coraz żywiej. I słyszał jej oddech rwany, szybki, głośny. Dlatego też nie zdobył się na żaden więcej sprzeciw. Choć słowa jej zraniły go do żywego, tak były głęboko niesprawiedliwe. I powiedział jedynie miękko, jakby w głosie ukrywał prośbę, ale mimo to chciał, aby tę nutę prośby dosłyszała: "Wyjdę tylko na godzinę. Dojdę do wiaduktu, nie dalej. Zza toru popatrzę, co tam się dzieje i prędko wrócę..." A wtedy ona, jak gdyby nagle jakaś struna w niej się zerwała, jakby raptem cała osłabła, prawie obojętnie, równocześnie jednak z jakąś łagodną nieobojętnością, która zdradzała rezygnację, powiedziała nie patrząc na niego: "Już dobrze, idź. Nie na dłużej, proszę. Naprawdę, proszę, nie na dłużej..." i chociaż zaraz się odwrócił i zaraz poszedł, jeszcze przez pewien czas widział jej ściągniętą twarz, z której odpłynęła krew i że na niego nie patrzy, tylko gdzieś w bok, i jak odgarnęła z czoła prędkim, niby musnięcie, niezauważalnym wprost ruchem dłoni, włosy, jeden zaś kosmyk nie poddał się, został ponad brwią, jasnozłotawo mienił się, migotał w słońcu, potem raptem zgasł.

I nagle także różne późniejsze zdarzenia przemknęły mu przez mózg w zawrotnym wprost tempie. Bo pod powiekami była sprzyjająca ciemność. Judasz w drzwiach nie chrobotał, oko strażnika nie celowało w jego twarz, a ten na dolnej pryczy dawno spał. Obraz gonił obraz, myśl pędziła za myślą. Znowu było to spotkanie na ulicy z teściem, tam niedaleko budynku UB. Z teściem rozdygotanym, bezradnym, starczym, gdy mówił: "Barbara wyszła za tobą z domu. Nie wróciłeś na czas. A teraz muszę was szukać oboje". I znowu leżał pod żelaznym parkanem na tamtej ulicy, ci w białych kitlach i bez, przebiegali opodal pochyleni, ona zaś była tam, w bramie, naprzeciw, próbując podźwignąć z ziemi jakieś ciało. I potem, krzycząc: "Nie!", on biegł na przeciwną stronę ulicy poprzez kule, bo jej już tam nie było, aż zatrzymało go przy niej pod murem uderzenie karabinowej milicyjnej kolby. Lecz wkrótce znowu jego własny krzyk: "Nie, nie!", rozsadał mu wprost w uszach bębenki. I zaraz potem, ciągle jeszcze słysząc swoje słowa, że idzie na godzinę, i jej słowa: "Tylko nie na dłużej, proszę", pojął, że zapomniał, co był przyobieczał. I chociaż myśl ta zrodziła się w jego głowie z gwałtownością wybuchu dynamitu, zrazu z niczym się nie wiązała, a dopiero później z mglistego oparu spowijającego mózg, z bolesnego zamroczenia wywołanego ciosem w głowę, wykonały się inne myśli także i ta pierwsza myśl nie była już taka samotna. Czując za plecami mur, o który się był oparł, poczuł jednocześnie na rękach ramiona Barbary, jej osuwający się na ziemię ciężar, choć ją usiłował podtrzymać, ten zamarły bezruch jej brzucha też, choć jego powierzchnia niedawno jeszcze zdradzała samodzielne życie i spostrzegł pochylonego nad sobą Tykieta w cywilu, dłoń pułkownika ścisnęła mu ramię, Tykiet potrząsnął nim raz i drugi, wreszcie jego głos posłyszał także: "Skąd się tutaj wzięliście, do cholery..." urywający się w pół słowa, bo Tykiet już wiedział wszystko. I już, o Boże, przytomniejąc do końca, tak, tak, o Boże, już potrafiłby mu teraz odpowiedzieć. Lecz nie, nie odpowiedział nic. Szepcząc tylko do siebie: "O Boże", zaciskał zęby z wysiłku, dalej próbując ją dźwignąć i wciąż szepcząc: "O Boże" i: "Zapomniałem", i potem: "Barbara, zapomniałem" wciąż szepcząc, podciągnął ją na kolana, dotknął ustami skroni, gdzie samotna, bladoniebieska żyłka już ledwo widoczna, pulsowała bardzo słabo, kiedy ci w białych kitlach postawiwszy obok nosze wyciągnęli po nią ręce, wciąż jeszcze szepcząc: "O Boże, zapomniałem" i w myśli "Więc to tak się stało, o Boże", ocknął się zupełnie, mimo że naprawdę to chyba wcale nie spał, gorzki, gryzący smak tamtych dwóch papierosów, danych mu przez tego z dolnej pryczy, wypalonych jeden po drugim, nie zdążył bowiem w krtani jeszcze zaniknąć, nawet niewiele osłabł. Lecz nie otworzył oczu.

Chwilę leżał nieruchomo, jeszcze słysząc tamten swój ogłuszający szept: "O Boże, Boże...". Co prawda teraz słyszał go, jako echo dźwięku bardzo dawnego, wciąż jednak nie mogącego wybrzmieć do końca, i wciąż jeszcze na krawędzi świadomości widział postać Tykieta pochylającą się nad nim i Barbarą. Ale po jakimś czasie poruszył się i z nienawiścią tę postać, jak gdyby od siebie odepchnął. Nagle poczuł, że jest cały gorący, rozpalony, spocony, a tylko powietrze, kiedy wciągał je w płuca, ziębiło mu nozdrza, niby dotyk lodu. Więc

wtedy szybko sięgnął ręką pod siennik, wydobył stamtąd ostatniego z otrzymanych od sąsiada z dolnej pryczy papierosów, zapalił po omacku, nawet nie otwierając oczu i paląc, i zaciągając się łapczywie, usiłował pozbyć się również tamtego swojego szeptu: O Boże, Boże, Boże, więc to tak się stało".

Potem znów świadomość zaczęła się, jak gdyby macić, choć nie na tyle, żeby nie wiedział, że ów własny szept, ów upiór szeptu ciągle mu jeszcze zagraża. I tak mijaly sekundy, minuty może, aż udało mu się cały wysiłek woli skierować na przytrzymanie w mózgu i utrwalenie myśli jednej: "Jutro będę pisał życiorys. Taka jest widać i ich praktyka śledztwa. Jutro Tykiet chce mieć zapisane całe moje życie. Co jeszcze mu opiszę, co jeszcze chce wiedzieć...?", myśli teraz najważniejsze, a jego zmacona świadomość znowu wyciskać z siebie zaczęła odierwane obrazy przeszłości własnej i nie własnej, strzępy opowiadań, zasłyszanych podczas deportacji na wschód, utrwalone w jego pamięci, jakby je sam był widział, albo te, które naprawdę widział. Były tam ciała zeszytywniałe od mrozu, ułożone w stosy na etapowych punktach, albo bezładnie porzucone w śniegu przy torach kolejowych na całym długim szlaku od Podola, Wołynia, Polesia, Suwalszczyzny, Ziemi Grodzieńskiej i Wileńszczyzny aż po Ural i dalej na Syberię, na półwysep Kola, i w kierunku Władywostoku, i aż po Kołymę, po Koło Polarne i Ziemię Franciszka, ciała więźniów i łagierników zmarłych z głodu, wycieńczenia, na cyngę, na tyfus, od tortur, albo od kul, ciała zakopane w posiarkowych hałdach, w których tylko cudem sam nie spoczął na zawsze, albo zasypane w piaskach pustyni, gdzie również wielokrotnie mógł zlec, i jeszcze inne, wiele innych, nawet ciała tych z grobów w katyńskim lasu, rozstrzelanych, niedostrzelonych i żywcem pogrzebanych ze skrzyżowanymi rękami, o których słyszał, może i tych tysięcy z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie, nigdy nie odnalezionych, pogrzebanych nie wiadomo gdzie, w jakich lasach, na jakich polach, może nawet te, o których mówiono, że zrzucono je ze statków wielorybicznych do Białego Morza, albo utopionych żywcem w Lodowatym Oceanie, ciała rozproszone po całym bezkresnym, bezlitosnym Wschodzie, wreszcie były tam też ciała pływające w formalinie, mężczyzn i kobiet, którzy tutaj w kraju przez pięć lat wojny walczyli z Niemcami o wyzwolenie, tłukli się po lasach o głódzie i chłódzie, i wykrwawiali, a zostali zakatowani w kazamatach bezpieki, albo straceni i z sinymi śladami po powieszeniu poniewierali się w emaliowanych basenach w magazynie przy sali prosektoryjnej Akademii Medycznej, a potem był tłum twarzy żywych, rozgorączkowanych, krzyczących w tamten czwartek: "Chleba! Wolności!" na ulicach miasta, na skwerach i placach, i wydawało mu się, że słyszy szum niewidzialnych, automatycznie włączających się filmowych kamer, zawczasu w tajemnicy zainstalowanych przez UB na balkonach publicznych gmachów i uniwersytetu, filmujących manifestującą ludność, i później pod zaciśniętymi powiekami wypłynął także ciemny pokój, gdzie go przed paroma miesiącami przesłuchiwał, gdzie mu odpowiednie klatki jednego z takich filmów, ukazujące, jak stoi z Barbarą wśród tłumu, pokazywali i gdzie tylko zaproponowali współpracę, nic więcej, i powtórnie zabrzmiały złowieszczo w zmaconej jego świadomości także tamte nieokreślone ich groźby, że jeszcze się spotkają, kiedy odmówił, zanim go wypuścili, ten ciemny pokój był teraz pod jego zaciśniętymi powiekami znowu, w nim zaś siedzący za biurkiem Tykiet, choć pamiętał dobrze: Tykieta tam wtedy naprawdę nie było. Więc uczynił nowy wysiłek, żeby się go pozbyć, żeby mu zniknął z oczu i tak, jak przedtem, odepchnął się jak gdyby od niego z mocą.

I zaraz był ten dzień dwudziestego ósmego czerwca, o Boże, kiedy to zdarzyło się naprawdę, niedawno, przed paroma miesiącami, oczywiście, ale jakiego dnia, chyba był czwartek, w każdym razie dzień, kiedy w klinice przy ulicy Engla zaprowadzili go najpierw do kostnicy. W drzwiach już czekali na niego teść i kuzyn, Paweł, którzy przyjechali dużo wcześniej, lecz on wcale nie chciał spojrzeć na to dziecko, już nie musiał, nawet na to pudełko trumny, w którym mieli je pochować. Białą ścianę tylko, przeraźliwie białą ścianę, na niej zaś przesuujące się cienie: własny, teścia, kuzyna, odzwiernego, jakiejś siostry zakonnej, jej kornetu wzbijającego się w górę, jak ptak na uwiezi, oto co zobaczył teraz, jak wtedy, zaciskając mocniej powieki. A potem zaraz ujrzał znowu siebie, tam w ogrodzie przyklinicznym na ławce. Więc zapewne był to ten sam jeszcze dzień, może nawet ta sama godzina, nie pamiętał dokładnie. Chyba

jednak czekał na jakąś wiadomość o Barbarze. Choć już wiedział, że chloroform, że wszystko z niej wyjęli, że ponowna transfuzja, kroplówka, jeden krótki przeblask świadomości na parę godzin, nie więcej i że ta słaba iskierka wciąż w niej się kołacze, mimo że nadziei prawie zero. Ale dalej czekał, bo nie mógł jej zobaczyć, zresztą nie śmiałby, tylko że coś przecież mogło się stać, na lepsze się zmienić. Bo że na gorsze, nie chciał nawet myśleć. Zresztą nie pamiętał, o czym wtedy myślał, może nie myślał wcale. Później zmacony jego umysł znalazł na to odpowiedź: myślał jednak bez przerwy o Barbarze, choć wszystko w nim, jak gdyby gdzieś się zapadło, to znaczy naprawdę myślał o Bogu i prosił go, żeby mu jej nie zabierał. Już dawno się nie modlił, więc to nie było takie proste, ani łatwe, ale prosił bardzo żarliwie, gorąco /i wtedy, i teraz/, bo naprawdę wierzył, że Bóg go słucha i od niego samego jedynie zależy, czy zechce go wysłuchać. Może nawet płakał. Mężczyzna zaś, gracujący w pobliżu ogrodowe klomby, spoglądał nań dziwnie i niekiedy mówił coś, co jednak wcale nie docierało do jego umysłu. Jeszcze później spostrzegł, że na ławce nie siedzi sam. Że obok niego siedzi znajoma siostra położna, która od lat mieszkała nie opodal domu teściów w Alei, więc znali się dobrze i pomyślał, że zapewne była przed chwilą przy Barbarze, i zrobił taki jakiś nagły ruch, jakby chciał uciec. Lecz nie zerwał się z ławki, zamilkł tylko. I od razu uprzytomnił sobie, że ona już tak siedzi obok dłuższy czas w milczeniu, czekając cierpliwie, nie chcąc mu przerywać, gdyż on modlił się głośno. Musiał wtedy mieć coś takiego w twarzy, że krzyknęła: "Nie! Nie! Teraz lepiej. Naprawdę! Teraz zasnęła. Wszystko może być jeszcze dobrze", więc ponownie zapłakał. Długi czas nie mógł się uspokoić. Położna siedziała znowu milcząc, znowu cierpliwa i wyrozumiała, nie zdziwiona, nie obojętna i bardzo spokojna, aż wreszcie pomyślał, że ona na coś czeka i zapytał. Lecz pokręciła tylko głową i powtórzyła: "teraz już lepiej. Teraz zasnęła. Może wszystko będzie dobrze", jak gdyby kiedykolwiek jeszcze mogło być dobrze, mój Boże, i następnie dodała: "Ona jest dzielna, panie Piotrze. Bardzo dzielna" i znieruchomiła. Po pewnym czasie jednak wyciągnęła z kieszeni białego fartucha napoczętą paczkę papierosów, strzeliła po męsku palcem w denko i zachęciła: "Niech pan zapali", i siedzieli już bez jednego słowa, aż cień jesionu osłaniający ławkę przesunął się, zrobiło się upalniej i siostra westchnęła ciężko, jakby jej własne myśli również były nie do udźwignięcia, że pierwszy raz wyzwalając się od swych myśli, spojrzak. Twarz miała zupełnie szarą, ściągniętą, niby piastka, nieruchomą jak maska i powiedziała, gdy zauważyła, że się jej przypatruje: "Tyle kobiet nawieźli, tyle ich...", a potem, po nowym długim milczeniu, że prawie zapomniał o jej obecności /kiedy już patrzył jedynie przed siebie na ogród, na pracującego ogrodnika, na mur, na krzewy dzikiej róży pod murem i nie czuł w sobie nic, absolutnie nic, jakby tamte próby wypowiedane głośno, owa rozmowa z Bogiem, jeśli tak w ogóle można by ją nazwać wyczerpała wszystkie jego siły, kiedy nie tylko nie czuł nic, ale nawet nie myślał o niczym/, znowu posłyszał głos siostry położnej. Jej spojrzenie prześlizgiwało się za jego spojrzeniem po klombach, trawnikach, po pracującym ogrodniku, różanym gąszczu i głosem beznamietnym, zmęczonym, głuchym i monotonnym, jak głos mechanizmu, mówiła: "Wszystko to groby, panie Piotrze. Widzi pan, jakie te klomby i trawniki wysokie? A tam pod murem? Gdzie te krzewy? Wszystko to groby. Zanim budynek oddano z powrotem klinice, było tu UB. Przez dwa lata po wojnie. Rozstrzeliwali i grzebali. Pan wie, akowców i wszystkich tych, co mieli jakieś znaczenie, albo nie tiali, że myślą inaczej, niż oni. Pod głównymi schodami północnego pawilonu jest taka komora. Wciąż jeszcze rdzawe plamy wychodzą ze ścian na wierzch. Choć parokrotnie bielono wapnem. Tam to się odbywało. Nikt nie wie po nazwisku kogo, nikt nie wie ilu. Może tylko ten ogrodnik, bo on tutaj był i przedtem. Coś mu się w głowie od tamtego czasu zepsuło. Czasem, jak się upije, to gada, że ludzie tu leżą warstwami. Gdzie tylko się ruszyć, sama krzywda. Sama krzywda, tak to, widzi pan... A teraz pani Barbara..." i zamilkła. I jeśli przez cały czas, kiedy mówiła, jego myśli błyskawicznie szukały odpowiedzi na pytanie, dlaczego ona mu to mówi i nie znajdowały, to wówczas, kiedy zamilkła i wstała, i bez jednego słowa więcej poszła w stronę budynku kliniki, zrozumiał: próbowała go odciągnąć od jego własnego nieszczęścia, ona może chciała, ażeby inne nieszczęścia przesłoniły mu własne, albo jego własne spowszedniało w obliczu nieszczęścia zbiorowego. I zapewne osiągnęła zamie-

rzony cel. Albowiem te groby, pokryte dla zamaskowania kwietnymi klombami, te rabaty, gazony, trawniki i grzędy przyzwolicie przyszczyżone, wyplewione poczęły puchnąć w jego oczach, olbrzymiały, wznosiły się coraz wyżej, opanowywały całą dostępną dla wzroku przestrzeń i wyobraźnię, potem rozpadały się i upalna cisza otoczona wysokim murem ogrodu kliniki zapełniła się krzykiem, krokami, szurgotem wleczonych ciał, zgrzytem płopat odwalających ziemię, głuchym łoskotem zwłok rzucanych w głąb dołów, stukiem, szmerem sypiącej się gruzłowatej ziemi, i zamknąwszy powieki, zacisnąwszy powieki, zacisnął dłonie na uszach i mówił, szeptał: "O Boże, nie zabieraj mi Barbary. Mimo wszystko nie zabieraj mi jej... Sama krzywda, to prawda. Nic wobec niej nasza. Ale nie zabieraj mi jej. Nie uczyniła nic złego. Jeszcze nie zdążyła. Nie karz jej za nic, o Boże", aż poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Zapamiętał, że otworzył wtedy oczy. Potem podniósł głowę i wpierv zobaczył, iż ławka, na której siedzi, znów jest w cieniu, ów głęboki cień ogarnął cały ogród. Następnie zobaczył stojącego nad sobą ogrodnika i że ten, widząc, iż został wreszcie zauważony, wybełkotał, jakając się okropnie: "Siocostra Pa-aaawłłł...ooosss..." nazwisko położnej i wskazał ręką za jego plecy na budynek kliniki. Odwróciwszy się ujrzał na schodach położną ponownie, i jak kiwa doń dłonią. Więc wstał i poszedł przez zacichły nagle, opustoszały z koszmarów ogród, wciąż idąc w tym głębokim cieniu, w mroku nieledwie /i wtedy, i teraz/ i następnie przez korytarzokliniki, długie niby tunele, chyba tak samo w mroku /tak przynajmniej mu się zdawało/, wskroś tej narastającej nieznośnej woni środków dezynfekcyjnych, lekarstw i śmierci. I już miał na sobie taki sam, jak siostra, biały fartuch szpitalny, choć nie pamiętał, aby go zakładał. Potem ona otworzyła bezszelestnie jakieś drzwi. A potem usunęła się na bok. Później z tego samego cienia, z mroku spojrzwały nań oczy Barbary bardzo ciemne, pozbawione niemal białek, ciemniejsze niż mrok i bardzo błyszczące. Ale musiała minąć minuta, może nawet więcej, zanim zrozumiał, że go wzywają, że wciągają go w głąb pokoju. Wreszcie znalazł w sobie tyle siły i hartu, aby postąpić parę kroków naprzód. Później był już przy samym kółku i ona mówiła do niego ostrym, wyraźnym szeptem, patrząc mu w oczy prosto: "Nie będę miała nigdy dziecka", a on: "Będziemy zawsze razem", ona zaś, jakby nie rozumiała, albo nie słyszała: "Nie będę miała nigdy dziecka", a on: "Będziemy razem...", ona zaś znowu to samo, i znowu to samo, i jeszcze raz to samo, a wtedy siostra powiedziała: "Niech pani przestanie. Nie wolno pani mówić. Proszę...", i jeszcze, że Barbara przyrzekła, że nie będzie się odzywać. Kiedy się schylił, chcąc dotknąć dłoni leżącej na kółdrze bezwładnie, poczuł z tyłu szarpnięcie za poję fartucha. I już więcej nie pamiętał. Tylko te ogromne, tak ogromne, że sama twarz przy nich nikła, oczy Barbary, ciemniejsze, niż cień, który ją okrywał. Wiadział je jeszcze wówczas, kiedy wracał pieszo przez miasto, wciąż patrolowane gęsto przez ubeckie siły i żandarmerię z KBW, przez wojsko, czołgi, milicję, przez ORMO, zatrzymywany i legitymowany po drodze parokrotnie, przez miasto jak ze snu, ale przecież realne. Więc i te ogromne i tak bardzo ciemne oczy żony mógłby Tykietowi do protokołu, albo w tym życiorysie, który ma jutro zacząć, opisać, a nawet ów wyraźny, ostry jej szept mógłby opisać także.

Włodzimierz Odcjewski

DROGA DO UBIC

/zdarzenie do opowiedzenia i wysłuchania/

Serdecznie dziękuję reżyserowi
J. Holcickovi, laureatowi nagrody
państwowej im. Klemensa Gottwalda
za przyjacielską i inspirującą
współpracę.

I.V.

Osoby:

Zawiadowca
Maszynista /Kierownik Restauracji itd/
Podróżny
Konduktor /Głos w słuchawce, Rewizor itd./
I Kobieta /Madam/
II Kobieta
III Kobieta
Dodus

/Po komunikacji chwila ciszy, ale nie jest to martwa cisza. To znaczy, że mikrofon zbiera oddechy, szuranie, szelest papieru, chichoty itp. Zaczynamy, czy więcej.../

ZAWIADOWCA /szeptem/: Już?!

PODRÓŻNY /szeptem/: No tak! Już!

KONDUKTOR /szeptem i natarczywie/: No to jazda!

ZAWIADOWCA /organizuje szeptem/: Na miejsca! Uwaga! Jazda!

/Ci, którzy są przy mikrofonie, zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, że mikrofon zbiera wszystkie dźwięki - inaczej mówiąc - zachowują się tak, jakby mikrofon powinien rejestrować tylko te głosy, na których im zależy/

ZAWIADOWCA /odkaskuje i "nadaje"/: Szanowni...

KONDUKTOR /szeptem/: Niech pan powie "słuchacze"! Szanowni słuchacze...

ZAWIADOWCA /nastronie/: ... Niech pan da spokój i nie szturcha mnie! /ponownie "nadaje"/ Szanowni słuchacze, umówiliśmy się, że będziemy tu sobie dziś robić Wesele w Hbrzbiach. Ale jest mały problem. Bo tak za bardzo, to my znowu tego Wesela nie umiemy. Więc będziemy sobie robili...

KONDUKTOR /z napięciem/: Więc będziemy sobie robili...

MASZYNISTA: Będziemy sobie robili...

KONDUKTOR: Pieska?

ZAWIADOWCA: Nie!

MASZYNISTA: Burzę?

ZAWIADOWCA: Tośmy sobie robili już wiele razy! My sobie będziemy robić co innego...

PODRÓŻNY: Co?

ZAWIADOWCA: No przecież, tę... tę drogę...

MASZYNISTA: Tę drogę? Jaką drogę?

ZAWIADOWCA: No tę, co mówili... co przedtem mówiliśmy...

PODRÓŻNY: Aha! Do Ubic?

ZAWIADOWCA: No!

KONDUKTOR: Nie!

MASZYNISTA: Drogę do Ubic mówiliśmy!

ZAWIADOWCA: O to chodzi! Drogę do Ubic! Uwaga - raz - dwa - trzy - Szanowni słuchacze - będziemy sobie robili Drogę do Ubic Ivana Vyskocila - gong - To niespodzianka, nie? To naprawdę wielka niespodzianka, szanowni słuchacze.

PODRÓŻNY: A jak się robi drogę?

MASZYNISTA: A jak się robi Ubic?

KONDUKTOR: To się robi... Coś jakby wziąć...

- ZAWIADOWCA: Unie się to już zaczyna robić, panowie... To by wymagało coś...
hmm... coś... hmm... C o ś! Nie! To wymagałoby jeszcze więcej! To by wymagało m u z y k i !
- MASZYNIŚTA: Ti-ra-ra-ra... Damskie trio!... Ti-rara...
- KONDUKTOR: Ti-ra-ra-ra... Damski element!... Ti-ra-ra...
- ZAWIADOWCA: A mamy damskie trio? Mam! Całuję rączki, damy!
- I KOBIEȚA: Panowie, żeby wszystko było jasne. Nasza umowa opiewała na ciało akompaniujące do Wesela w Hbrzbwiach.
- ZAWIADOWCA: Pani, oczywiście, jest kierowniczką ciała.
- I KOBIEȚA: Oczywiście. Według zamówienia wyćwiczyłyśmy moa damur i inne kawałki, proszę pana.
- ZAWIADOWCA: Oczywiście!
- I KOBIEȚA: Mamy na to zaświadczenie. Niech pan popatrzy. Czarno na białym: Jedno dziewczęce trio do Wesela w Hbrzbwiach. Formularz, podpis, pieczętka, honorarium. To jest umowa i my będziemy grać tylko zgodnie z umową w Weselu!
- ZAWIADOWCA: W porządku. Nie ma sprawy. Panie będziecie grać zgodnie z umową w Weselu, a my w tym czasie będziemy robili Droęę. Rozumiecie? Więc uwaga, przygotować się! Damy! Muzyka! /muzyka/ Uwaga! Skłon! Ukłon! Wyprost! A - dwa - trzy. A - dwa - trzy... Skłon, ukłon, wyprost. Szanowni państwo, proszę wybaczyć. Ja wiem, że to wszystko, co tu robimy, nie jest tak zupełnie poważne, prawda, to jest... no... /muzyka/ Dziękuję paniom. Ale państwo, bardziej doświadczeni oł na pewno mądrzejsi, chyba zrozumieją, że w ten sposób jakoś się tak rozkręcamy, rozpędzamy i dodajemy sobie też odwagi przed tą naszą drogą. Tak, odwagi... A kto zrozumie to, ten zrozumie chyba i to całe dalsze... całe to poróżowanie do Ubic. Jazda! A - dwa - trzy... A - dwa - trzy... /przyśpiesza/ I jedziemy!
- WSZYSCY: Je - dzie - my! Je - dzie - my! Je - dzie - my!
- PODRÓŻNY: Rozpoczynamy tym pociągiem. My wszyscy robimy pociąg! A więc tak: ten człowiek... ja robię tego człowieka... Aha, więc ten człowiek jedzie pociągiem...
- RESZTA /robią pociąg/: Sz-sz-sz-sz-sz...
- PODRÓŻNY: To jest pociąg m o t o r o w y !
- RESZTA /poprawiają się/: Wrr - tu - dum...
- PODRÓŻNY: Ma tylko jeden wagon. W wagonie jest ciemno i ten człowiek drzemie w kącie przy oknie /zatrzymanie się pociągu/ Ten człowiek dalej drzemie, mimo że - proszę zauważyć - pociąg już stoi.
- KONDUKTOR /zdecydowane otwarcie drzwi/: Jego tu nie ma!
- ZAWIADOWCA: To jest trzeci przedział.
- KONDUKTOR: Trzeci?! Raz - dwa - trzy! /drzwi/ /wchodzi/ No, proszę! Wsiadamy! Ti - ra - ra - ra... Już jesteśmy na miejscu, ti - ra - ra - ra... Wsiadać... A pan co? No tak, proszę pana, proszę się przygotować, będzie się co? Będzie się wsiadać, ti - ra - ra - ra /budzi Podróżnego/ Ti - ra - ra - ra...
- PODRÓŻNY /budzi się/: A tak... Tak, tak... Przepraszam... Chyba się zdrzemnąłem... Momencik... Zaraz to... Wstąłem o piątej, od rana jadę i tak człowieka rozebrało. No tak, już w porządku. Znow jestem... /przeciąga się/
- KONDUKTOR /śmieje się/
- PODRÓŻNY: Przepraszam, panie konduktorze, która godzina?
- KONDUKTOR: W pół, ti - ra - ra - ra.
- PODRÓŻNY: Proszę?
- KONDUKTOR: Mówię, że piętnaście po. Ti - ra - ra - ra.
- PODRÓŻNY: Aha. Dziękuję. /zastanawia się/ Ale tam mamy być dopiero za piętnaście! Nie?
- KONDUKTOR: Jak to? Ti - ra - ra - ra ra.
- PODRÓŻNY: Według rozkładu jazdy...
- KONDUKTOR: No tak, według rozkładu jazdy taa, wie pan, że tak. Dlaczego?
- PODRÓŻNY: Ja tylko... bo pan mówił, że już mam wsiadać. A ja jadę aż do Ubic.

- KONDUKTOR: Ależ tak, jest, spokojnie, jest. Według rozkładu jazdy... Ale my tutaj kończymy. Więc proszę wysiadać, ti - ra - ra - ra. Jasiu, prawda, że ten tutaj będzie musiał wysiąść, nie? Bo dalej nie jedziemy, nie? Powiedz mu to jako maszynista.
- MASZYNISTA: Jako maszynista mówię panu, że w wagonie nikt nie ma prawa zostać. Wagon się musi zamknąć.
- PODRÓŻNY: Ale ten pociąg jedzie przecież do Ubić. Ja jadę do Ubić, rozumiecie panowie? A jeszcze nie jesteśmy w Ubić! Ja...
- KONDUKTOR: Ti - ra - ra - ra - ra.
- MASZYNISTA: Wagon się musi...
- KONDUKTOR: Ra - ra... zamknąć. W wagonie nikt nie ma prawa zostać. Od tego są przepisy. Więc niech pan wysiada. Proszę popatrzeć... w ten sposób... Damy, tu jest potrzebna muzyka... W ten sposób proszę wysiadać. /muzyka/ Hop!... Hop!...
- PODRÓŻNY: Co się dzieje? Co to jest?!
- KONDUKTOR: To są bzdury.
- PODRÓŻNY: Hop!
- MASZYNISTA: Kto powiedział, że to są bzdury?! To pan powiedział?
- PODRÓŻNY: Nie! Chyba ten konduktor.
- MASZYNISTA: To są bzdury!
- KONDUKTOR: Znowu! Więc kto? Żeby to krew...
- PODRÓŻNY: No niech pan sam powie, czy to można zrozumieć?! Tutaj jeden człowiek, jeden podróżny jedzie aż do końca i do tego ktoś nam się tu, w tej ciemności... Gdzie jesteście?
- MASZYNISTA: Ja?
- ZAWIADOWCA: Nie!
- KONDUKTOR: Pan?
- MASZYNISTA: Tak.
- KONDUKTOR: Kto tu jest?
- PODRÓŻNY: Najważniejsze, to kto jest kto?!
- ZAWIADOWCA: Więc chwileczkę! W ten sposób nie można dalej! To się musi zwięźle i przejrzyscie. Bo inaczej wszystko nam się rozlezie. Kto robił pociąg?
- PODRÓŻNY: Ja!
- ZAWIADOWCA: A tego Podróżnego?
- PODRÓŻNY: No też ja.
- ZAWIADOWCA: Więc niech każdy trzyma tę swoją postać, żeby się to nam w ciemności nie poplątało i jedziemy dalej. Muzyka! /muzyka/ Maszynista i konduktor wyrzucili podróżnego z wagonu w ciemność. Kto robił maszynistę?
- MASZYNISTA: Ja.
- ZAWIADOWCA: Więc wyrzucicie tego pana!
- KONDUKTOR: Na peron, ti - ra - ra - ra...
- PODRÓŻNY: On mówi, że się pójdzie skarżyć do zawiadowcy stacji.
- MASZYNISTA: Świetnie!
- ZAWIADOWCA: Oni idą z nim do tego zawiadowcy. Chwileczkę... /muzyka stop/ Kto robi Zawiadowcę?
- KONDUKTOR i MASZYNISTA: Pan.
- ZAWIADOWCA: Dobra! Dziękuję za zaufanie. Więc ja jestem teraz u siebie w kancelarii, a wy z tym podróżnym przyjdziecie do mnie za chwilę. Ale ruszajcie się, niech się to już rozkręca! No tak, niech mu ktoś pomoże z walizką! Kto mu pomoże? /znowu muzyka/
- MASZYNISTA: On.
- KONDUKTOR: Ja?
- MASZYNISTA: Pan! Ja jestem maszynistą i mam kategorię przepis, żeby nie pomagać ludziom z bagażem.
- ZAWIADOWCA: Znowu się to rozlatuje! Z tą walizką, to sprawa konduktora, jasno?! A konduktor powie do tego pana... no! Co powie do tego pana?
- KONDUKTOR: Proszę uważać, tu jest stopień, proszę pana. No widzi pan! Co panu mówiłem? Mówię uwaga, a pan leci jak baran!
- ZAWIADOWCA: Już są w kancelarii. Ten człowiek skarży się zawiadowcy. Robię kancelarię... I Zawiadowcę. /muzyka ucicha/ Ale, ale, chłopcy, co ja słyszę? Wiecie, co ten pan tu powiedział? No, Jasiu? No? To prawda?

MASZYNISTA: Tak

ZAWIADOWCA: Co?

KONDUKTOR: Tak!

ZAWIADOWCA: Tak. /do Podróżnego/ Więc ma pan rację. Skończyli tutaj. Wyrzucili pana.

PODRÓŻNY: /nieśmiało/: No tak... Tak, panie zawiadowco. Ale jak to możliwe?

ZAWIADOWCA: Aha. Słyszeliście, chłopcy? Pan pyta, jak to możliwe?

MASZYNISTA: Taak. Już nam się nie chciało dalej, panie zawiadowco.

KONDUKTOR: Już mamy dosyć na dzisiaj, ti - ra - ra - ra.

PODRÓŻNY: Ale to...

ZAWIADOWCA: Słyszał pan, co mówili chłopcy? Taak. Nie chce im się dalej, już mają na dzisiaj dosyć, ti - ra - ra - ra - ra...

PODRÓŻNY: Ale to przecież niemożliwe, panie zawiadowco!

MASZYNISTA: No to my idziemy, szefie.

PODRÓŻNY: To niemożliwe, niech pan zrozumie! Jest przecież jakiś rozkład jazdy, jakiś porządek...

MASZYNISTA: Dobranoc, szefie.

PODRÓŻNY: ... który obowiązuje wszystkich...

KONDUKTOR: Dobranoc.

PODRÓŻNY: ... żeby można było mieć zaufanie...

ZAWIADOWCA: Dobranoc, chłopcy!

PODRÓŻNY: ... żeby była chociaż jakaś pewność. Ja się zwracam do pana jako do zawiadowcy, panie zawiadowco, jako do zawiadowcy, który kieruje tym wszystkim i wierzę, że to niedopatrzienie... panie zawiadowco! Panie zawiadowco!

ZAWIADOWCA: /wyrwany z drzemki/: Co? Co? /uśmiecha się/

PODRÓŻNY: Pan mi pomoże, prawda, panie zawiadowco?

ZAWIADOWCA: Rozumie się, że pomogę. Przecież od tego tu jestem. No, a gdybym nawet nie był od tego, gdyby mnie tu nie było, to też pomogę, bo przecież jesteśmy ludźmi i musimy sobie pomagać, nie? No to co panu dolega? Ma pan jakieś kłopoty, tak? Co, uciekła od pana? Albo czuje się pan nieswojo? To będzie przeziębienie, wie pan, ta pogoda. Trzeba się zapakować do łóżka, pocić się, pocić, wypocić to... pocić...

PODRÓŻNY: /rozpaczliwie/: Ale oni odeszli!

ZAWIADOWCA: I prysznic. Rozumie pan? I herbatkę...

PODRÓŻNY: Nie ma ich!

ZAWIADOWCA: Taak. Już poszli. Widzi pan jak to bywa. No to może pan też by już poszedł? Do łóżka, wypocić się, prysznic, herbata... /ziewa/

PODRÓŻNY: A ten pociąg do Ubie, panie zawiad...

ZAWIADOWCA: Herbata. Moment! Pociąg do Ubie? Co ma z nim być?

PODRÓŻNY: Pojedzie?

ZAWIADOWCA: /czujnie/: Pociąg do Ubie? Hmm, ciężka sprawa. Przecież sam pan mówi, że chłopcy już poszli.

PODRÓŻNY: Panie zawiadowco! Według rozkładu jazdy...

ZAWIADOWCA: Aha! Dobrze, że mi pan przypomniał! Więc według rozkładu jazdy, pociąg do Ubie już odjechał. Tak, odjechał nam pięć minut temu. Bo tu, zgodnie z rozkładem jazdy, stoi tylko trzy minuty. Hmm, to pech, spóźnił się pan.

PODRÓŻNY: Nie!

ZAWIADOWCA: No to nie. Jak pan uważa. Ja tylko dlatego, bo pan pytał.

PODRÓŻNY: Panie zawiadowco, przepraszam, ale ja złożę skargę!

ZAWIADOWCA: Ale? /groźnie/ Hmm...

PODRÓŻNY: Tak! Ja m u s z ę złożyć skargę!

ZAWIADOWCA: A na co chce się pan skarżyć, miły przyjacielu? Tak, miły przyjacielu, jeśli mogę się w ten sposób do pana zwracać...

PODRÓŻNY: Że ten pociąg, który miał dojechać do Ubie, do Ubie nie dojechał! Że ci panowie tutaj samowolnie skończyli pracę, że mnie wyrzucili z pociągu i że pan, jako zawiadowca, o wszystkim wiedział... Że się to zdarzyło za pana zgodą. Tak! Przecież to niemożliwe!

ZAWIADOWCA: Ależ tak, możliwe. Nie chcę panu doradzać, ale nie radzę panu, żeby się pan skarżył, rozumie pan? No, niech mi pan nie bierze za złe,

ale proszę sobie tylko uświadomić jak to będzie wyglądało, gdy pan gdzieś powie: nie dojechali. Nie chciało im się dalej, skończyli wcześniej, wyrzucili mnie z pociągu... Niech pan sobie wyobrazi! Pan się będzie skarżył... /śmieje się/ A... /krzyczy/ a my się tego wszystkiego wyprzemy. Nas jest trzech i jesteśmy funkcjonariuszami państwowymi, miły przyjacielu. Nam się wierzy. Przecież każdy zaraz pomyśli, że to, co nam pan tu opowiada, nie jest nawet możliwe. Nie, ja panu naprawdę nie radzę się skarżyć. Tych czterech, co nie posłuchali dobrej rady i skarżyli się, jeszcze teraz w szpitalu psychiatrycznym. /cieszy się/ Niech pan sobie tylko wyobrazi, jakby to wyglądało! Nie chciało im się. A my się wyprzemy! /śmieje się/

PODRÓŻNY: To jest obłąd! To niemożliwe!

ZAWIADOWCA: No właśnie! Właśnie dlatego... I widzi pan. Życzył pan sobie czegoś? Niczego, prawda? No to do widzenia! /głos Zawiadowcy brzmi rozkazująco/ Szybciutko! Za długo się pan tu szwenda! Hołota! A ta walizka! /trzaśnięcie drzwiami, muzyka/

KONDUKTOR /śpiewa z muzyką/: Jakoś się nam to klei, nie?

MASZYNISTA: I samo! Samo z siebie!

PODRÓŻNY: Już jesteśmy znowu w ciemnościach na korytarzu.

KONDUKTOR /przestaje śpiewać/: Aha!

ZAWIADOWCA: W ciemnościach. Trzymajcie sobie każdy tę swoją postać, żeby się to nam nie poplątało po ciemku. Za chwilę wejdziemy do poczekalni. Panie również dojdą do głosu w tej poczekalni. Panowie trzymają sobie panów, panie - panie.

PODRÓŻNY: I idziemy do poczekalni./muzyka stop/

ZAWIADOWCA: Chwileczkę! Teraz musi być to z tym gulaszem! Że nagle w tej ciemności poczujemy zapach gulaszu i że zupełnie mimowolnie, wprost instynktownie, pójdziemy za tym zapachem, nie? W ten sposób dostaniemy się do tej poczekalni, co?

PODRÓŻNY: Segedyński gulasz ze słonym rogalikiem! Ojojjoj! I zrobiony po domowemu. Proszę sobie przygotować papier i ołówek. Tak! /muzyka/ Na smalcu przysmażamy drobno pokrajaną cebulę, dodajemy pokarajane mięso, dusimy, solimy i przyprawiamy. Dusimy najpierw we własnym sosie, potem odrobinę podlewamy. Gdy mięso jest już częściowo miękkie, dodajemy dwie trzecie kiszzonej kapusty. Dusimy tak długo, aż kapusta jest miękka. Potem ze smalcu i maki robimy zasmażkę i dodajemy do mięsa. Gotujemy krótko i możemy dodać kwaśnej śmietany. Dodajemy też jedną trzecią surowej kapusty./muzyka ucicha, ze zgrzytem otwierają się drzwi/

MASZYNISTA: Ta poczekalnia jest zamieszkała. Ona jest zamieszkała! Ona jest pełna! Damy radę to zagrać? To mnóstwo, tę pełność? Tę zupełną pełność? Tam leżą na stołach, pod stołami, na ławkach, pod ławkami. Może byście sobie dobrali do tych swoich postaci każdy kogoś? Pan na przykład od pierwszego do siódmego mężczyzny. Pan by sobie wziął staruszków, a my damy.

ZAWIADOWCA: Niiieeee, to by się znowu rozlazło. Wy dwaj weźcie sobie wszystkich mężczyzn, pan niech zostawi sobie Podróżnego. Já sobie zostawię Zawiadownicę. No, a na panie są tu damy.

KONDUKTOR: I robimy tę poczekalnię. /hałas/

PODRÓŻNY: Niektórzy mają sienniki, nadmuchiwane materace i kółka.

KONDUKTOR: I łoża małżeńskie.

MASZYNISTA: Podwójne.

PODRÓŻNY: Potrójne...

KONDUKTOR: I kółeczka dziecięce...

I KOBIETA: Zamykać!

PODRÓŻNY: A między tym szafy. I parawany. I sznury. I bieliznę, i ubrania, i walizki...

ZAWIADOWCA: To by trzeba sfilmować! Ukrytą kamerą! /muzyka/

PODRÓŻNY: Na mosiężnym kółku siedzi na krześle przy stole staruszka i wyszywa przy świetle lampy naftowej, cięcie, w fotelu na biegunach, też na tym kółku, drzemie staruszek, cięcie, a pod pierzyną w tym kółku...

ZAWIADOWCA: Panie, uwaga! Kto jest pierwszym mężczyzną?

WSZYSCY MĘŻCZYŹNI: Ja!

ZAWIADOWCA: A I Kobieta?

WSZYSTKIE KOBIETY: Ja!

ZAWIADOWCA: Więc rozpocznie I Kobieta. Ja robię poczekalnię, a później Zawia-
dowcę.

I KOBIETA: To zamkniecie te drzwi, czy nie?!

MASZYNISTA: Popatrz, znowu jeden nowy!

KONDUKTOR /blisko mikrofonu/: Też wyrzucony? Też?

II KOBIETA /do ucha/: Jak pan ma na imię?

III KOBIETA /do drugiego ucha/: Masz forsę?

KONDUKTOR /z bliska/: Niech pan pozwoli tutaj, przyjacielu! /dziecięcy płacz/

I KOBIETA: Zamknijcie drzwi, psiakrew! Zamknąć!

KONDUKTOR /szepce do ucha/: Jest pan osiemdziesiąty czwarty. Łóżka pan nie ma,
co? Innych mebli też nie? Konto bankowe? Konta też nie? Hmm Więc ma pan
przydzielone miejsce dwudzieste siódme. To jest czwarte na lewo od stołu.

MASZYNISTA /wtrąca szeptem/: Zwolniła się szóstka pod rozkładem jazdy, panie
doktorze.

KONDUKTOR /surowo do informatora/: To wiadomo i do tego niech się pan łaskawie
nie wtrąca, dobrze? /do Podróżnego/ Pan ma ten dwadziesty siódmy, panie...
panie...

PODRÓŻNY: Ale ja jakoś do tego nie przynależę. Ja sobie do tej poczekalni tyl-
ko tak wpadłem. Wyrzucili mnie z pociągu i teraz czekam na inny, który
jedzie do Ubic.

ZAWIADOWCA /przerzywa/: Panie, muzyka! /muzyka/ Ja państwu coś powiem!

MASZYNISTA: Niech pan teraz nie nie gada. Pan robi Zawiadowcę, my robimy pocze-
kalnię, a Zawiadowca włącza się do akcji dopiero później.

ZAWIADOWCA /śmiech/: Więc, proszę państwa, żeby była jasność, coś państwa, tak
między nami, powiem. Powiem państwu, żeby ci wszyscy, którzy są w tej po-
czekalni, że ci wszyscy też byli wyrzuceni z pociągu do Ubic.

PODRÓŻNY: Aha. I czekają...

ZAWIADOWCA: I czekają tutaj na jakiś inny pociąg, który by ich zawiózł do tego
Ubic.

PODRÓŻNY: Zabawna sprawa, co?

MASZYNISTA: I co szanowni państwo na to? Jak nam to wyszło?

ZAWIADOWCA: Nie można powiedzieć? No, nie. To róbcie znów tę poczekalnię.
/muzyka stop/

KONDUKTOR: Proszę ja was, czemu mielibyście wracać gdzieś do domu jak już raz
dostaliście się tutaj? Musimy trzymać pozycję. Nie tracisz miejsca.

MASZYNISTA: Zwłaszcza pozycję! To jest taktyka, trzymać pozycję. Kręczone za
króczkiem...

KONDUKTOR: Jeśli już raz jesteśmy tutaj, proszę pana, to znaczy, że tu jest
najlepiej, nie? Musimy się teraz trochę ograniczyć, oczywiście, ale do te-
go się pan przyzwyczai. Wszystkie swoje sprawy, jeśli pan ma jakieś, może
pan z powołaniem stąd zakatwić. Tutaj powinni panu przekazywać niezbędne
pieniądze. A gdyby pan potrzebował jakiejś rady...

II KOBIETA: Gdybyś potrzebował trochę miłości... /szepce do ucha/ Gdyby pan
potrzebował łóżka! Słuchaj, masz tę forsę? Wiem o świetnym łóżku. Możesz
je mieć, ja to zakatwię. Ale jeśli ci to łóżko zakatwię, to mnie w nim
zatrzymasz, rozumiesz? Będę je miała z tobą na połowę...

KONDUKTOR: Wszystko jest na dobrej drodze! Nie wolno poganiać. Jesteśmy prze-
cież rozsądnymi ludźmi, nie? Potrafimy sobie dać radę.

MASZYNISTA: Najważniejsze, to pozyskać Zawiadowcę! On może wszystko z tym po-
ciągami zakatwić, rozumie pan? Odprawi pociąg...

KONDUKTOR: Wszystko tu mamy urządzone. Pana też urządzimy. Mamy swój system.

MASZYNISTA: Musimy się starać, żeby nas panowie od kolei lubili. Ja na przy-
kład pracuję u pana zawiadowcy w chlewie. Przez ten czas jak tu jesteśmy,
urządziliśmy panu zawiadowcy piękną gospodarke. I wszystko z naszych środ-
ków, dzięki własnej pilności. To już coś znaczy! Dwadzieścia krów, dwie
pary koni, traktor...

KONDUKTOR: Do mnie pan zawiadowca mówi już Oleś!

I KOBIETA: Wielkie rzeczy! Do mnie ~~ja~~ dawno mówi Oleś.

MASZYNISTA: Do mnie mówi Oleś i pożyczka mi czapkę! Tę z daszkiem! Aha!

KONDUKTOR: Bo dał mu pan złotą papierośnicę!

MASZYNISTA: A przeszkadza to panu? Niech mu pan też da, jak pan ma taką. Każdy daje.

KONDUKTOR: Ale nie tak jak pan! Pan sobie robi z pana zawiadowcy własne podwóreczko! Pan sobie myśli, że się pan sam przepchnie do Ubic, co? Dreżyna? Ch, cha!

MASZYNISTA: Coooooo?

II KOBIETA: Dajcie spokój! No tak, panowie!

KONDUKTOR: Zamiast nosić czapkę, lepiej by pan uważał na tę swoją żonkę. Szła się z kim popadnie! Tfu! /pauza, cisza/

MASZYNISTA: To niech pan raczej uważa. Wnie pan może obrażać, a i tak nie potrafi mnie pan obrazić. Ale pana konduktora obrażać pan nie będzie! Bo moja Marcela zadaje się z panem konduktorem, a to nie jest byle kto! I jeżeli chcecie wiedzieć, jest z nim przy nadziei. Prawda, Marcelko?

II KOBIETA /altem, aksamitnie/: Tak.

WSZYSCY: Juuuuuuuuu...

III KOBIETA /szepcze mu do ucha/: Masz tę forszę, czy nie. Jest z siennikiem.

I KOBIETA: Więc moje gratulacje, pani mecenasowo. Jeśli pani chce wiedzieć, to nasza Marzenka też jest przy nadziei z panem konduktorem!

WSZYSCY: Juuuuuuuuu...

III KOBIETA: A jeśli chcecie coś wiedzieć, to ja też...

WSZYSCY: Juuuuuuuuu... /muzyka/

MASZYNISTA: Świetnie. No, świetnie. Tylko tak dalej. Mówiłem, że wszystko jest na dobrej drodze. Mówiłem? Będą z nim mieć bachory? To jest taktyka, proszę pana! Bo takie dziecko, to jest, proszę pana, jakiś obowiązek, jejej. Obowiązek! I ten stosunek uczuciowy! Przecież to jednak ich krew! Już dla samych tych dzieci będą to musieli zrobić. Odprawiają ten pociąg. Te dzieci tam puszcza, a my się z nimi prześlizgniemy. Krew! Krew im nie pozwoli! W ich dzieciach nasza przyszłość! Bachory. Bachory zatracone!

PODROŻNY: Ale... Przepraszam... /muzyka stop/... ale ja tego wszystkiego nie pojmuję. W moim wypadku musiało chyba dojść do jakiejś pomyłki... /śmiejch/ bo ja chciałem do Ubic...

WSZYSCY: Wszyscy chcemy do Ubic!

PODROŻNY: No tak, ale jak ja ^{tak} na to patrzę, chyba jechałem do jakiegoś innego Ubic, niż państwo.

WSZYSCY: Nie ma żadnego innego Ubic! /śmiejch/

PODROŻNY: Nie, naprawdę. Wiecie państwo, nigdy bym na to nie wpadł... /śmiejch milknie/... żeby jechać do jakiegoś Ubic, ale to mi powiedział pan dyrektor. On mi to właśnie załatwił... i poleciał... żebym...

MASZYNISTA: Jaki pan dyrektor?

PODROŻNY: No, pan dyrektor. My się z panem dyrektorem znamy z kawiarni. Tam do pana dyrektora mówi się panie dyrektorze. Czasami gramy sobie w szachy, ale ja, to nie za bardzo, czasami sobie pomylę konia z pionkiem. Zrobię hop, a pan dyrektor - prrrr! /śmieje się/ To jest takie zabawne.. /znowu się śmieje, reszta cicho, Podróżny niepewnie/ Zabawne...

KONDUKTOR /ostro/: Jak to było z tym dyrektorem?

PODROŻNY: Aha. Pan dyrektor wie, że mieszkam teraz u siostry, która ma następane małeństwo, Paulinę i że to mieszkanie też jest takie małe, po rodzicach... /znaczące gwizdnięcie/ Nie, proszę, naprawdę Tatus z Mamusią... /znów znaczące gwizdnięcie/ Nie, poważnie... Pan dyrektor powiedział, że w ten sposób dalej nie można, że ma szwagra, który jest kierwonikiem restauracji i że w tej restauracji u szwagra będę tanio mieszkał, ale o to żebym się nie martwił, bo tam się już o mnie zatroszcza. Więc pojechałem.

KONDUKTOR: Dokąd? /śmiejch/

PODROŻNY: No, tutaj. Właściwie nie tutaj... /śmiejch/

MASZYNISTA: No, nie wygłupiaj się pan, psiakrew!...

PODROŻNY: To mi pan dyrektor też zarzuca, że się wygłupiam. Ale ja...

/śmiejch/ I dał mi tu ten list polecający do tego Ubic. Gdzie ja go wsadziłem?

MASZYNISTA: Pan ma list? List polecający do Ubic?

/poruszenie/

- I KOBIEŃKA: Słyszeli państwo? On ma list polecający! A kto ma list polecający, ten się tam dostanie! Natychmiast!
- MASZYNISTA: Pokaż ten list! Dawaj go!
- III KOBIEŃKA /do ucha/: Nie dawaj!
- KONDUKTOR: No jak?!
- II KOBIEŃKA: /krzyczy/: Tu jest!
- PODRÓŻNY: Auuuu!
- WSZYSCY: Dawaj! /ostrzy gwizd piszczałki/
- ZAWIADOWCA /wpada do poczekalni/: Marsz na miejsca! Mam za swoją dobroć.
- II KOBIEŃKA: Pan zawiadowca! Kochanie...
- ZAWIADOWCA: Marsz! Coś podobnego! Za to, że zostawiłem was w poczekalni, elegancko, w cieple?! Tak? Za to, że się narażam na karę dyscyplinarną? Tak?! Ale poczekajcie, ja wam pokażę! Od tej chwili fertig! Żadnego pożyczania czapek, żadnego opuszczania i podnoszenia szlabanu, nic! Ja was wychowam, łobuzy!
- KONDUKTOR: Ależ, wasza wielmożność...
- ZAWIADOWCA: Chcesz w pysk?! Więc tak! Tak sobie pozwalać wobec zacnego gościa! Na ziemię go przewrócić! /do Podróżnego/ Na pewno nic panu nie zrobili? Nic się panu nie stało, wasza wysokość? No, to jestem szczęśliwy, że podśluchiwałem pod drzwiami. Oni by pana zabili, wasza wysokość, a ja do śmierci bym sobie nie mógł darować. Pozwoli pan łaskawie za mną. Tędy proszę. /muzyka/
- PODRÓŻNY: I odchodzą. W poczekalni grobowa cisza. Gdy już wyjdą na korytarz i ich kroki rozlegają się na kamiennej posadzce, wtedy z otwartych drzwi niemej poczekalni odezwie się dziecięcy płacz.
- KONDUKTOR: To nam się wspaniale udało z tym, jak odchodzą, jak w tej poczekalni jest napięta grobowa cisza i gdy ich kroki rozlegają się już w korytarzu, słyhać za nimi ten dziecięcy płacz.
- MASZYNISTA: Hnnnnnnnn...
- KONDUKTOR: Ale nam wyszło, co?
- PODRÓŻNY: Jak go ten zawiadowca prowadzi. Dziw, że go na rękach nie niesie!
- MASZYNISTA: Moment! /muzyka stop/ Rozumiecie to? Nie powinniśmy się na chwilę zatrzymać, wyjaśnić sobie parę spraw... /nic/
- PODRÓŻNY: Już są w kancelarii! Już są w kancelarii!
- KONDUKTOR: Pan robi kancelarię.
- ZAWIADOWCA: Ja robię Zawiadowcę. /telefon/ I na biurku dzwoni mi telefon.
- KONDUKTOR: Więc ja robię kancelarię, a pan sobie podniesie słuchawkę. /podniesienie słuchawki/
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, jest tam zawiadowca?
- ZAWIADOWCA: Przy aparacie.
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, tu minister kolei, własnoręcznie. Jest tam zawiadowca?
- ZAWIADOWCA: Przy aparacie. Co się stało, panie minister?
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Rozpoczynam akcję koleje. Powiedzcie koleje.
- ZAWIADOWCA: Koleje.
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Baba cię poleje. Jest to jasne? Zrozumieliście dobrze?
- ZAWIADOWCA: Tak. To wszystko?
- GŁOS W SŁUCHAWCE: No. Przeprowadźcie akcję koleje z całym personelem do trzynastego tego miesiąca. Kończę. Odkłońcie słuchawkę! /muzyka/
- ZAWIADOWCA: Co pan robi?
- KONDUKTOR: Kancelarię zawiadowcy przecież.
- ZAWIADOWCA: Ależ proszę pana! Takie... takie duperele niech pan zostawi na kiedy indziej... Szanowni państwo, przepraszam za małe niedopatrzenie.
- KONDUKTOR: No, nie ma sprawy, Ja myślałem, że...
- ZAWIADOWCA: Niech pan działa. /muzyka stop, dzwonek telefonu, podniesienie słuchawki/
- /zadyszany/ Słyszę!
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, jest tam zawiadowca?
- ZAWIADOWCA: Przy aparacie.
- GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, tu minister kolei, własnoręcznie. Jest tam zawiadowca?
- ZAWIADOWCA: Przy aparacie. Co się stało, panie minister?

GŁOS W SŁUCHAWCE: Czołem, zawiadowco! Sprawdzam sumy opóźnień na poszczególnych stacjach. Jak to u was wygląda ze stanem sumy opóźnień?

ZAWIADOWCA: Jeszcze mamy prawie całą, tak na osiemdziesiąt procent.

GŁOS W SŁUCHAWCE: No tak, mogłem się domyślać. To postarajcie się wykorzystać do końca kwartału. Inaczej wam przepadnie! Zrozumiał pan?

ZAWIADOWCA: No.

GŁOS W SŁUCHAWCE: To ja kończę... /odłożenie słuchawki, muzyka/

ZAWIADOWCA: Co mówiłem?! Mówiłem, żeby pan z tymi duperelami nie zawracał głowy...

KONDUKTOR: Ale ja naprawdę... Ja...

ZAWIADOWCA: Pana widocznie nie bawi robienie kancelarii zawiadowcy porządnie. Tak, żeby to odpowiadało...

KONDUKTOR: Bawi! Niech mi pan wierzy, że bawi, ale to samo tak! Samo!...

ZAWIADOWCA: Więc pan się nie nadaje. Pana to przerosło, wymknęło się to panu z rąk. Sam to biorę. Proszę uważać! Robię kancelarię zawiadowcy. Cisza! /muzyka stop/ Robię raz. Robię dwa... Robię... /wolna muzyka, telefon, podniesienie słuchawki/

PODRÓŻNY: Świetnie! Tak jest bardzo dobrze! Ale teraz byłoby najlepiej, gdyby to jeszcze miało ciąg dalszy. Gdyby pan tę kancelarię zawiadowcy wziął teraz sam, żeby niby nam pan pokazał, jak to trzeba robić i żeby się to panu nie wymknęło! Zaraz na początku zadzwoniłby ten telefon, a panu by wyszła taka głupia rozmowa. Po prostu, gdyby to tak samo szło dalej, to o to by chodziło. Pan by zaczynał znowu i znowu, potem ja bym to wziął na zmianę. A panie grałyby do tego pięknie, z uczuciem...

MASZYNISTA: Po prostu w ogóle nie moglibyśmy tej głupiej zbędnej rozmowy przeskoczyć i dostać się przez nią do akcji.

KONDUKTOR: To by było! W ogóle byśmy się nie dostali do dalszego ciągu! Aż do końca i jeszcze dalej byłyby same telefony, same te niewłaściwe rozpoczęcia kancelarii zawiadowcy, nic innego!...

MASZYNISTA: No, to by było!

PODRÓŻNY: To byłoby wspaniale!

ZAWIADOWCA: Tylko, że na to my się nie odważymy, niestety. Na to jesteśmy, niestety, zbyt tchórzliwi! Szkoda. Tak. /rezolutnie/ Więc dość. /muzyka ucicha/ Kancelaria zawiadowcy - /odłożenie słuchawki/ - bez telefonu. /z żalem/ Kancelarię zawiadowcy, do rzeczy! I ja to biorę! Moment! Tutaj, w tej scenie, przyjdzie jeszcze ten kierownik restauracji i dama. Kto sobie weźmie tego Kierownika?

MASZYNISTA: Może ja.

ZAWIADOWCA: W porządku. A Damę by mogła wziąć pani kierowniczką artystyczną.

KOBIETA: Tak. Chętnie.

ZAWIADOWCA: Więc ja robię Zawiadowcę i wchodzę z podróżnym do kancelarii /drzwi/ Proszę bardzo... Jeszcze raz muszę pana, kaskawy panie, bardzo przeprosić. Za to, żeśmy pana wyrzucili z tego pociągu i pozwolili pójść do tamtych w poczekalni. Więc proszę pana... Proszę kaskawie usiąść, tutaj, w fotelu... tak... Ale tego, że to właśnie mógł być pan, nie mogłismy przypuszczać. Jeżeli pan pozwoli, to bym zobaczył ten list, tak... Mógłbym pana zaprosić na koniałek, kaskawy panie?... Proszę, tu w terminarzu mam pana zaznaczonego. Zawiadomiono mnie, że przyjedzie pan siódmego, więc zanotowałem sobie pana na środę, to znaczy na wczoraj i wczoraj pana oczekiwaliśmy, a pan wczoraj nie przyjechał. Natomiast przyjechał pan dzisiaj, to znaczy w czwartek, a tutaj nie mam pana zapisanego, więc nie czekaliśmy na pana.

PODRÓŻNY: Ale ja jechałem dokładnie tak jak mi powiedział pan dyrektor...

ZAWIADOWCA: Ja wiem, ja wiem. To będzie chyba dlatego, że już jest ten rok, a ja ciągle piszę w zeszłorocznym terminarzu. Ten czas strasznie leci! Ale piękny terminarz, co? Został mi z zeszłego roku, to jest terminarz na wiski. Więc na zdrowie, kaskawy panie, za pańskie sukcesy. /pije, potem rozmawia się/ Ale w zeszłym roku lato i tak było piękniejsze, niż w tym. I wiosna też. /energicznie/ Teraz zabieramy się do rzeczy i wszystko załatwimy! Zaraz! Natychmiast! /grzebie w papierach na biurku/ Na - tych - miast wszy - stko... Odprawimy kaskawego pana do Ubić...

PODRÓŻNY: Pan chce mnie jeszcze teraz dowieźć do Ubic?

ZAWIADOWCA /zaskoczony zostawia papiery/: Dowieźć do Ubic? Nie! Dlaczego?

Przecież pan jest w Ubic! Ubic jest przecież tutaj!

PODRÓŻNY: T u t a j ?!

ZAWIADOWCA: No!

PODRÓŻNY: Nie... w rozkładzie jazdy przecież...

ZAWIADOWCA /śmieje się/: Ach, tak! W rozkładzie jazdy! W rozkładzie jazdy! Te rzeczy w rozkładzie jazdy, na które każdy się nabiera i ta tablica tutaj na dworcu, to tylko taki żart.

PODRÓŻNY: Ale ci wszyscy, co się tam gniotą w poczekalni, ci wszyscy czekają i wierzą, że się dostaną do Ubic...

ZAWIADOWCA /śmieje się/: I przy tym są w Ubic!

PODRÓŻNY: ... usługują wam, ... si... harują na was, przekupują was, podlizują się wam, ich żony i córki syplają z wami i ródzą wasze dzieci...

ZAWIADOWCA /uśmiecha się z zadowoleniem/: To jest numer, co?!

PODRÓŻNY: Wy ich szantażujecie i zniewalacie!

ZAWIADOWCA /z dumą/: No, odpukać, idzie to całkiem dobrze. Ale czasami jest to ciężka sprawa, sam pan rozumie, kaskawy panie, takie jest życie, a ludzie to hołota.

PODRÓŻNY: A dlaczego im nie powiecie, że już są w Ubic?!

ZAWIADOWCA: Bo by to potem wiedzieli, kaskawy panie. My sobie musimy chronić Ubic, żeby się nam tu nie dostał ktoś taki! Nieproszony. A oni są tacy. Nieproszeni. Oni się do nas nie dostaną. /śmieje się/ Gdyby to wiedzieli, musielibyśmy użyć do ochrony Ubic mniej żartobliwych środków, niż do tej pory. A w końcu mają to, czego chcą. Oni się chcą dostać do Ubic, a przy tym w Ubic właściwie są, czyli są tam, gdzie się chcą dostać i do tego mają jeszcze tę nadzieję, która nadaje ich życiu sens - że się tam jeszcze kiedyś dostaną. W ten sposób ich życie ma sens. Dla nich i dla nas. To, że nie wiedzą, że są w Ubic, jest dla nich jedyną możliwością znalezienia się w Ubic, choćby tylko tu, na dworcu, w zatłoczonej poczekalni. Czyli: gdyby się o tym przypadkiem dowiedzieli, to stracą Ubic. Stracą tę perspektywę. A ich życie straci sens. Dla nich - i dla nas... Ale co ja panu opowiadam, przepraszam, kaskawy panie, proszę wybaczyć prostemu człowiekowi. Jestem tylko zwykłym zawiadowcą. /energicznie/ Nie, teraz musimy natychmiast, na - tych - miast wszystko załatwić. Wszystko pięknie, po - kc - le - i. Mówił pan przecież, że ten pan dyrektor, to pański brat.

PODRÓŻNY: Nie, szwagier.

ZAWIADOWCA: Nawet szwagier! No, to najpierw do nich zadzwonimy, że już tutaj tego naszego pana hetmana mamy, żeby sobie po tego naszego pana hetmana przyszli...

PODRÓŻNY: Ale ja nie jestem... /dzwoni telefon/

ZAWIADOWCA: Jedną chwileczkę, panie hetmanie. /muzyka/ /podnosi słuchawkę/ Słyszę!

GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, jest tam zawiadowca?

ZAWIADOWCA: Przy aparacie.

GŁOS W SŁUCHAWCE: Halo, tutaj minister kolei, własnoręcznie. Czy jest tam zawiadowca? /muzyka stop/

KONDUKTOR: Ajajajaj. Znowu?!

MASZYNISTA: Ale skąd, teraz to będzie zupełnie co innego. /muzyka/

ZAWIADOWCA: Przy aparacie. No co, Oleś?

GŁOS W SŁUCHAWCE: Cześć, Oleś! Mam tutaj wagon rurek z kremem, więc chciałem cię zapytać, czy mam ci wysłać jakąś?

ZAWIADOWCA: No to dobra, wyślij, Oleś. I słuchaj, ty właśnie nie masz nic do roboty, tak? Więc słuchaj, zadzwoń tam do nas, że już tu mam tego hetmana, niech go sobie przyjdą odebrać, dobrze? Ale słuchaj, natychmiast! Rozumiesz, Oleś?

GŁOS W SŁUCHAWCE: No, Oleś.

ZAWIADOWCA: Więc dobrze, Oleś. Kończę. Cześć! /muzyka stop/ /odkłada słuchawkę i z zadowoleniem zaciera ręce/ Więc tak. Ale idzie, co? Oleś to załatwi, na Olesiu można polegać. On jest teraz tam na górze, ale jest z Ubic.

My z Ubic po prostu wszędzie mamy kogoś. My wszyscy jesteśmy swojacy. Taak. Być z Ubic, to znaczy być zawsze tak jakoś gdzieś i wszędzie mieć tak jakoś kogoś. A pan jest teraz u nas. Widzi pan, panie hetmanie, jakie życie się przed panem otwiera?

PODRÓŻNY: Ależ nie!

ZAWIADOWCA: Może pan sobie pogratulować...

PODRÓŻNY: Ale ja przecież nie jestem...

ZAWIADOWCA: Niech pan nic nie mówi, ja wiem co pan chce powiedzieć. Pan chce powiedzieć, że pan nie jest żadnym hetmanem, prawda? Ale to dlatego, bo pan nie wie, że pan jest hetmanem. Pan chce też powiedzieć... Ale to dlatego, bo pan nie wie, że to jest odrobinę inaczej, panie hetmanie. Myśmy pana tutaj po prostu potrzebowali. A gdybyśmy panu już tam, u was, wprost powiedzieli, co i jak, to by pan chyba nie zrozumiał, albo nie zechciał zrozumieć, rozumie pan? Chyba byśmy pana tutaj nie otrzymali. Ponieważ z pana to jest taka dziwna natura, panie hetmanie. Bo z pana, w pańskim wieku i przy pańskiej główce, powinno być już coś porządnego! Pan to już powinien być zupełnie innym panem. A z pana ciągle jest tylko ten pan. Z pana to nie jest żadne coś. Niech pan się tylko przyjrzy sobie, jak pan wygląda. No, niech się pan przyjrzy! Niech pan słucha, panie hetmanie, ja teraz z panem nie rozmawiam jak ten tu zawiadowca, ja teraz z panem rozmawiam jak ojciec. Tutaj u nas, to pan ma dobrze, tu wszyscy będą się do pana zwracać jak ojciec. Bo nam na panu zależy, rozumie pan. Ja właściwie to nie powinienem z panem tak mówić, od tego są inni panowie, ale mówię sobie: a, co tam! Jak już z panem raz mówię jak ojciec, to co mam z panem nie rozmawiać. No nie? I ja panu powiem wprost... /trzaśnięcie drzwi, tupot, kobiecey śmiech za drzwiami, muzyka/ /Zawiadowca przestraszony/ Już są tutaj! Już są tutaj! /idzie do drzwi, otwiera je i woła/ Pięknie państwa witam! Proszę dalej! Proszę do ciepłka! /ponownie w pomieszczeniu/ Całuję rączki, madam.

KIEROWNIK RESTAURACJI: Ach, tak.

ZAWIADOWCA: Kłaniam się, panie kierowniku...

MADAM /chichocze i głośno szepcze/: Ten tutaj, to jest on, tak?

KIEROWNIK RESTAURACJI: Cholera, ale diabelski mróz! I znowu pada śnieg. Bez przerwy.

ZAWIADOWCA: Tak, panie kierowniku, bez przerwy tylko pada, tak!

REWIZOR: Z drogi, proszę zrobić miejsce!

ZAWIADOWCA: Aaa, pan konduktor! Czego pan tu szuka, człowieku? Niech pan stąd teraz idzie!

REWIZOR: Chwileczkę, panie zawiadowco, chwileczkę! Możliwe, że i byłem konduktorem, bardzo możliwe. Ale teraz jestem rewizorem, rozumie pan? Pan rewizor!

ZAWIADOWCA: Wasza wielmożność!

REWIZOR: I przychodzę przed samym Dodusiem!

ZAWIADOWCA: Ekscelencjo!

REWIZOR: Zrobić miejsce! Idzie Doduś!

ZAWIADOWCA /wylknięty/: Aaaaa - Doduś! Sama jego wysokość Doduś! Darujcie mi, niegodnemu zawiadowcy! Ułitujcie się! Nigdy bym nie przypuszczał, że Doduś raczy aż tutaj... że sam osobiście... kłaniam się... kłaniam... Muzyka cisza! Muzyka fanfary!

REWIZOR: Wstańcie, zawiadowco! I przygotujcie dla najjaśniejszego Dodusia miejsce! Tam nie! Doduś musi siedzieć wyżej! Nad nami!... Postawcie ten fotel tu, na biurku, zawiadowco!... Taak. Proszę łaskawie, Dodusiu... /z wysiłkiem w głosie/ ja wam pomogę... na fotel! Taak...

ZAWIADOWCA /bełkotliwie/: Ach... to jest... jego wysokość Doduś zechce łaskawie sam przemówić, wielmożny panie rewizorze?

REWIZOR: Zechce pan sam przemówić, Dodusiu? /ssanie cukierka/ /półgłosem/ Nie! Doduś ssie cukierka. /ssanie cukierka/ A gdy Doduś ssie cukierka, to nie mówi. /ssanie cukierka/ Doduś upoważnił rewizora, to znaczy mnie, żebym za niego przemówił. Proszę usiąść, madam.

MADAM: Mersi.

- REWIZOR: Uwaga, panowie, Doduś pyta, zawiadowco, czy zostało tutaj powiedziane panu... panu...
- ZAWIADOWCA: Hetmanowi.
- REWIZOR: Tak. Że my, Doduś, porozmawiamy z nim jak ojciec?
- ZAWIADOWCA: Tak jest.
- REWIZOR: Panie hetmanie. My, tu obecny Doduś, mówimy do pana jak ojciec. Tak. Powiedzmy to sobie wprost. Pan nam robi kłopoty. Tak. Załatwiliśmy dla pana kilka dogodnych miejsc. Tak. Te miejsca, które pan miał w ciągu ostatnich trzech lat, to myśmy panu załatwili!
- ZAWIADOWCA: I to jakie piękne miejsca!
- REWIZOR: Gdyby włożył pan choć odrobinę wysiłku, byłby pan już dziś doskonale urządzony. Prawda, Dodusiu? /młaśnieście/ Ale pan nie! Pana z każdego miejsca wyrzucali!
- ZAWIADOWCA: Niech pan nic nie mówi, my wiemy, co pan nam chce powiedzieć, panie hetmanie. Pan chce powiedzieć, że pana nie wyrzucili, że pan sam odszedł. Ale to jest jeszcze gorsze, niż gdyby pana wyrzucili!
- REWIZOR: Ponieważ pan tego nie traktuje poważnie. Pan nam sobie tak żyje jak chce! Pan nam wszystko ma!!
- ZAWIADOWCA: Niech pan nic nie mówi, my wiemy co pan nam chce powiedzieć! Że pan to wszystko traktuje aż nadto poważnie, tak? Że pan się stara!
- REWIZOR: To jest możliwe, panie hetmanie, ale to pana staranie się i to pańskie poważne traktowanie, wygląda niestety na to, że pan... sobie... robi... jakieś... Jakies... no... jakieś...
- MADAM: Jaja! /chichocze/
- REWIZOR: /karcąco/: Madam! W ten sposób?! Wygląda na to, że pan to wszystko znieważa, panie hetmanie. Pan tą swoją postawą znieważa nawet pryncypia!
- KIEROWNIK RESTAURACJI: Tymi błazeństwami.
- REWIZOR: Tak, panie hetmanie, pan jest b z a z n e m. Pan jest obok! Niech pan słucha. My nie mówimy, że pan koniecznie musi harować jak jakiś wyrobnik. Tego my nie mówimy. Pan by mógł być na przykład artystą. Nie, Dodusiu? /młaśnieście/ Ci są też czasami potrzebni, ale proszę, to są artyści. I żyją sobie! I to jak sobie żyją!
- ZAWIADOWCA: Nic przeciwko sztuce! Odwrotnie! Poprzez paranie się sztuką wielu dochodzi do stosownych urzędów i świetnie się urządza.
- REWIZOR: Ale to wymaga zachodów, bez tego nie da rady.
- KIEROWNIK RESTAURACJI: A nie ciągle w kółko tylko te idiotyzmy!
- REWIZOR: Ja wiem, pan to sobie chyba inaczej wyobraża. My też. Długośmy czekali. Ale teraz już musimy panu pomóc. Musimy, jak powiada tutaj Doduś. Bo pan tymi swoimi nieodpowiedzialnymi postępkami atakuje i zagraża samemu Ubić.
- MADAM: Wy draniu! Wy łobuzie. /zdecydowanym szeptem/ Więc to jest on, tak?
- REWIZOR: Pan chce utrzymywać, że pan nam nie chciał zagrozić. My wiemy, że pan nie chciał. Ale co z tymi pańskimi... z tymi... takimi... Czy znasz trzepotanie koszula osamotnionego? Trzepotala. Kto nosił go, ten zdobył piętno przekłętą, trzepotala. W złym wietrze trzepocze on i klaszcze. Wiatrowiej. Jak dziecię tęskni przez żałosne płacze. To jest on, ten samotny koszul... Co to ma znaczyć?
- ZAWIADOWCA: My wiemy, co pan chce powiedzieć! Że pan tego nie napisał, że to nie jest pana.
- MADAM /śmieje się/: To są jaja!
- REWIZOR: To nic śmiesznego, madam! I proszę się tu nie rozbierać! Proszę natychmiast się ubrać!
- MADAM: /pokornie/: Ja wiem. Ja się nie śmieję. Mnie jest gorąco. Ja się śmieję tylko z tego, że on śpi. Ten hetman przez cały czas nic, tylko śpi!
- /chichocze/
- REWIZOR: Co takiego?! Panie zawiadowco, jak to się stało, że on śpi, ten facet?!
- ZAWIADOWCA /bełkocze/: Proszę wybaczyć, panie... Ja, panie...
- KIEROWNIK RESTAURACJI: Ja go skopię, dobra?
- x/ Ch. Morgenstern: Koszul /Der Hemd/, tłum. Emanuel Frynta

REWIZOR: A pójdziesz ty, kierownik!

KIEROWNIK RESTAURACJI: Ja sobie tylko chciałem kopnąć.

REWIZOR: No więc niechże go pan wreszcie obudzi, panie zawiadowco! /wypowiedzi Podróżnego przez sen ilustruje muzyka, ale tylko jego kwestie/

PODRÓŻNY: /wyrwany ze snu/: Co się dzieje?... Gdzie... Przepraszam. Co to?

Co... To chyba nie! Tak jakos... Diabli nadali!...

REWIZOR: Proszę siedzieć, hetmanie. Niech się pani ubierze, madam!

PODRÓŻNY /mruży oczy/: Czego tu chcecie? Ja... przepraszam, tego jest... trochę za dużo...

REWIZOR: Czy to jest dla pana jasne, panie hetmanie?

PODRÓŻNY /ponownie zasypia, uśmiechając się błogo/: Tak, tak... Panie hetmanie?... Nie!

REWIZOR: Co?

PODRÓŻNY: Tak.

REWIZOR: No właśnie! I żeby panu wywietrzały te głupstwa z głowy, jak mówi tutaj Dodus i żeby pan nie rozrabiał, jak mówił tutaj Dodus, zrobiliśmy z pana pana hetmana. Wszyscy teraz będą pana traktować, panie hetmanie, wszyscy w stosunku do pana jako do pana hetmana, jako do szarży, będą się odnosić z szacunkiem tak długo, aż to panu wejdzie w krew, aż się pan sam zacznie zachowywać i czuć jak hetman.

ZAWIADOWCA: Tak, w każdym drzemie jakiś hetman. W każdym! Chodzi tylko o to, żeby tego hetmana w takim stworzeniu przebudzić i porządnie wykarmić. Możliwe, że to teraz nie jest dla pana jasne, panie hetmanie. Ale później, gdy pan będzie hetmanem całą głową, wszystko stanie się dla pana jasne. Hetmanom bowiem nie dolegają jakiesniejasności i wątpliwości. No, to głowa do góry...

KIEROWNIK RESTAURACJI: Głowa do góry albo strzelam! To by było najlepsze. Sprzątnąć go!

REWIZOR: W ten sposób wszystko będzie w porządku panie hetmanie. A jeśli nawet potem będzie pan chociaż robić jakieś te... jakieś te...

MADAM: Błazeństwa...

REWIZOR: To proszę bardzo, nie ma sprzeciwu, bo potem będzie je pan robił jako hetman.

ZAWIADOWCA: A hetman jeśli nawet robi jakieś błazeństwa, to nie może ich robić, bo jest właśnie wyłącznie hetmanem.

REWIZOR: I hetmani mają bowiem prawo do odrobiny tego człowieczeństwa, jak mówi tutaj Dodus.

MADAM /patetycznie/: Popatrzcie choćby na mnie. Raz miałam jednego hetmana...

REWIZOR: Słyszała pani, madam? Mówiłem, żeby się pani ubrała!

MADAM /płaczliwie/: Bo mnie jest gorąco. A on znowu śpi.

REWIZOR: Zrozumiał pan, hetmanie?!

PODRÓŻNY /otumaniony snem/: Tak... Oczywiście... owszem... To jest... piękne...

Tak... ale ja... /ziewa/ Co tu się właściwie dzieje? Co ja sobie znowu wymyśliłem? Co mi... Co mi przyszło do głowy?... Ci wszyscy tutaj... I rozebrana kobieta... przepraszam... i zawiadowca... Co ja sobie wymyśliłem? /śmieje się/ Aha! Ubic... Ubic...

KIEROWNIK RESTAURACJI: On mówi, że nas sobie wymyślił! Ja mu przykleję, dobra?

PODRÓŻNY: Mnie zawsze przyjdzie do głowy taka... taka jakaś bzdura... I budzą mnie... budzą, właśnie kiedy śpię... I wstanie...! I co ja mogę poradzić? ... Nic. Muszę spać. Jak się wyśpię, to pójdę do domu... Ale teraz... teraz... Chryste Panie... jak się wyśpię... pójdę do domu i tam... tam to napiszę. Rozumiecie? Napiszę. W domu was napiszę... Napiszę was na papierze, żebyście się odczepili... Będziecie na papierze... tak... i dacie mi spokój... /śmieje się/

MADAM /przerażona/: On nas napisze!

KIEROWNIK RESTAURACJI: Ja go zabiję, dobra?!

MADAM: Taaaak!

REWIZOR: Zrozumiał pan, panie hetmanie?!

PODRÓŻNY: /przez sen/: Tak... A teraz, teraz zostawcie mnie... zostawcie... ja pójdę... i napiszę... w domu...

DODUS /krzyczy/: Hetmanie!

REWIZOR: Doduś dossak!

PODRÓŻNY /przez sen/: Cicho, chłopczyku!... Cicho...

BODUŚ: Już dosyć tego! Ty nie będziesz sobie z nas jaj strugał, błażnie!

ZAWIADOWCA: Oj, nie będziesz!

DODUŚ: My, Doduś, mówimy do ciebie jak ojciec. Po rękach nas powinienes całowac, a ty w taki sposób?

REWIZOR: Tak!? W taki sposób?!

DODUŚ: Wyrzućcie go!

ZAWIADOWCA: Ale, wasza wysokość...

DODUŚ /krzyczy/: Won!

KIERWONIK RESTAURACJI: On się nawet nie utrzyma na nogach!

DODUŚ: Jak się nie utrzyma, to padnie! A jak padnie, to zmarznie i przylezie z powrotem jak pies. I będzie się łasił! /śmieje się/ Ja go nauczę!

MADAM /zachwycona/: Przylezie jak pies. Inaczej zmarznie! On zmarznie!

DODUŚ: Marsz!

ZAWIADOWCA: Otwórzcie mi drzwi!

PODRÓŻNY /z muzyką, przez sen/: Proszę mnie zostawić... chłopczyku... słuchaj ... bądź grzeczny... dostaniesz cukierka... i ... i...

DODUŚ /krzyczy/: Won!

PODRÓŻNY: ... i samochodzik...
/muzyka/ I wtedy go wyrzucają na śnieg i mróz.

MASZYNISTA: I w ciemność!

KONDUKTOR: I śmieją się. Śmieją się... /śmiech Dodusia, śmiech Zawiadowcy, śmiech Kierownika Restauracji, śmiech Madam, orkiestra tusz/

ZAWIADOWCA: Jak się przewraca. Jak się podnosi. Jak się zatacza...

KOBIETA: I przylezie jak pies!

MASZYNISTA: Aż padnie.

ZAWIADOWCA: I już nie wstanie...

KOBIETA: I zmarznie... /muzyka, ponownie tusz/

KIERWONIK RESTAURACJI /nieśmiało/: Tylko, że panie...

REWIZOR /opryskliwie/: O co chodzi, kierowniku?

KIERWONIK RESTAURACJI /nieśmiało/: Ja tylko... co, gdyby... co, jeśli... co, jeśli on...

ZAWIADOWCA: Kierownikowi się chyba wydaje... Dodusiu, mnie się też wydaje... Czy my nie powinniśmy za nim kogoś wysłać... Na przykład psy... Żebyśmy... Proszę wybaczyć, panowie, że ^{by} mieli jakąś pewność...

MADAM /śpiewa/: Przylezie... Przylezie...

REWIZOR: Cisz! Doduś się wypowie!

DODUŚ: Zawiadowco, idź do poczekalni, obudź tamtych i powiedz im, że ten tu nie chciał do Ubic! I że uciekł.

ZAWIADOWCA: Aha.

DODUŚ: Pokaż im, w którym kierunku poszedł i poszczuj ich na niego. Daj im go! Niech go sobie wezmą!

ZAWIADOWCA /osłupiały/: Tak, panie, w tej chwili... Już idę... już... już... już... /odchodzi/

DODUŚ: No, właśnie!

MADAM /z podziwem/: Ach, Dodusiu, kochania, ależ pan jest okrutny! Brrrrrr...

DODUŚ /spokojnie i dziecinnie/: No, wie pani, madam, dzieci! /śmieje się/
/muzyka/ /śmieją się/ I śmieje się... Aż wreszcie padnie, aż zmarznie, aż przylezie...

ZAWIADOWCA /śmieje się/: Jak się przewrócił. Jak się podnosił... Jak się zataczał... Jak go dopadną!

KONDUKTOR: Ależ nie.

ZAWIADOWCA: Ale tak! Dopadną!

MASZYNISTA: Zaczekajcie. Już koniec. Patrzcie, to on robił tego Podróżnego -

PODRÓŻNY: No i jestem tutaj, widzicie?

MASZYNISTA: Skończyliśmy.

ZAWIADOWCA: Więc pan wrócił, tak?! Ja wiedziałem, że pan weźmie tego hetmana, panie... panie... Ale skąd, Ubic, to Ubic, panie hetmanie! Rozumiemy się?!

PODRÓŻNY: Żadnego Ubic już nie ma, Ubic skończone.

WSZYSCY: My się już nie bawimy.

MASZYNISTA: To wszystko było przecież tylko na niby. Tylko tak. No, świetnie nam to wyszło, nie? Zgadza się?

KONDUKTOR: Szanowni słuchacze... Ta sztuka, której słuchaliście...

ZAWIADOWCA: Ale panie maszynisto, ale panie konduktorze... pardon, panie rewizorze... Nie! Żadna sztuka! Jedziemy! Pan niech weźmie tego Hetmana... pan... Kierownika Restauracji... pani Madam... Panie, uwaga! My przecież musimy... Przecież nie damy sobie zabrać... Tego, co mamy! No tak?! Nakażuję wam to jako zawiadowca!...Więc wy nie? No to ja to wszystko biorę sam! Słyszycie?! Wszystko!... Ja biorę Rewizora! Tak!... I żebyście wiedzieli, ja biorę Dodusia! Tak! Ja jestem Dodus! I jako Dodus...

KONDUKTOR: Niech pan da spokój!

MASZYNISTA: Już nie gramy.

ZAWIADOWCA: Ależ panowie! Zrozumcie! To jedyna okazja, to Ubic. To jest niebezpieczne do końca życia! Trzymamy to w rękach! Tutaj my jesteśmy, a gdzie oni są? W poczekalni! I będą zabiegać o to, byśmy ich lubili, a my im za to od czasu do czasu powiemy Oleś i pożyczymy czapkę z daszkiem! I raz, czy dwa razy pozwolimy im podnieść szlaban! No, tak jest, panowie! ... No tak... Chociaż trochę... Panowie, ja was proszę... no tak...

WSZYSCY: My się już nie bawimy!

KONDUKTOR: A jak pan nie przestanie, to już nigdy nie będziemy się z panem bawić! Nawet w pieska nie!

MASZYNISTA: Nawet w burzę. Panie, finał! /muzyka: finał orkiestralny z opery Tannhäuser/

PODRÓŻNY: Szanowni państwo, a więc kończymy...

MASZYNISTA /szepem/: Niech pan powie szanowni słuchacze!

PODRÓŻNY: Tak. Szanowni słuchacze, więc w tym miejscu kończymy naszą drogę do Ubic. Ale nam ładnie wyszło, co?

MASZYNISTA: Ale, proszę państwa, niech to zostanie tylko między nami. Dobrze? Więc raczej o tym, co nam tu wyszło i coście państwo słyszeli, o tym nikomu ani mru - mru. Rozumiemy się?

KONDUKTOR: Psssst! Na wszelki wypadek. Rozumiemy się?

MASZYNISTA: A gdyby ktoś może mówił, że coś takiego słyszał, to my się wyprze- my! Rozumiemy się?

PODRÓŻNY: Na wszelki wypadek. Rozumiemy się?

WSZYSCY: Ciiiiiii! Rozumiemy się? Ti - ra - ra - ra - ram. Ani mru - mru. Rozumiemy się? Ti - ra - ra - ra - ra... Rozumiemy się? Ti - ra - ra - ra... .. Rozumiemy się?

/muzyka ucicha/

"Tirararowanie" i "rozumiemy się" i "ciiiii" brzmi dalej z muzyką i zanika. I to jest na razie

K O N I E C

Ivan Vyskocil

Tłumaczyła z czeskiego Teresa Wilczyńska

1.

Swoje badania nad stanem powojennego dramatu polskiego rozpocząłem od tego, iż wielu moim znajomym - a większość z nich to ludzie w ten lub inny sposób z literaturą związani - od tego więc, iż zadawałem im pytanie następujące: "Która sztuka polskiego autora współczesnego - wyjąwszy najbardziej znanych: Gombrowicza i Mrożka - zrobiła na tobie takie wrażenie, iż włączyłbyś ją na stałe do programu lektur lub repertuarów teatralnych?"

Wyniki tej ankiety, obejmującej sporą grupę bliższych i dalszych znajomych, potwierdziły moje mniemanie: dramatu takiego w zasadzie nie ma. W zasadzie, wielu bowiem pod silną presją wymieniało "Niemców" Kruczkowskiego, kilku wspomniało o "Dwóch teatrach" Szaniawskiego. Oczywiście - wymieniano różne sztuki różnych autorów, ale bez większego przekonania, raczej po prostu dla uświadomienia sobie, iż w ogóle jakaś tam twórczość dramatyczna - wyjąwszy wyjątkowo liczne adaptacje - istnieje.

Zważywszy w dodatku, że Gombrowicz pisał swe utwory poza krajem, sytuacja wydaje się być dość... dramatyczna. Oto bowiem pozostaje na scenie Mrozek, który w dodatku... I tak dalej.

A przecież dramaturgów mamy wielu. Przypomnę może kilka nazwisk z początku alfabetycznej listy: Jarosław Abramow, Halina Auderska, Henryk Bardijewski, Kazimierz Barnas, Miron Białoszewski, Flora Bienkowska, Maciej Bordowicz, Ernest Bryll, Zofia Bystrzycka, Michał Choromański, Bohdan Drozdowski, Stefan Flukowski, Stanisław Grochowiak, Zbigniew Herbert, Tadeusz Hołuj, Ireneusz Iredyński, Jarosław Iwaszkiewicz... Klub Dramaturgów w ZLP zrzesza sporą liczbę członków, a mimo to trudno odnaleźć w naszej twórczości dramatycznej utwór, który by naprawdę zapadł w pamięci jako dzieło ważne.

A przecież - warto sobie zdać z tego sprawę - dramat stanowi w naszej literaturze zjawisko istotne, posiadany tu tradycją zaiste imponującą, o niebagatelnym wpływie na rozwój naszego całego pisarstwa. I oto nagle okazuje się, iż tradycja ta wędnie, rozmywa się we współczesności.

Wyłania się zatem pytanie o przyczyny tego stanu rzeczy.

2.

Dobłą, a jeśli nie dobrą, to przynajmniej swoistą cechą naszej dramaturgii był jej społeczny rozmach. W dramacie właśnie wychodziły na jaw społeczne konflikty, ukazywane bywały zderzenia światopoglądów i różnych postaw społecznych, filozoficznych. W dramacie też, co jest tu cechą swoistą, dochodziły u nas do głosu różne koncepcje historyzoficzne: "Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego, "Dziady" Mickiewicza, "Kordian" Słowackiego, "Nieboska Komedia" Krasińskiego, "Wesele" i dramaty historyczne Wyspiańskiego, twórczość Nowaczyńskiego, całość w zasadzie dorobku Witkacego, "Operetka" i nieukończona "Historia" Gombrowicza, wreszcie spora ilość sztuk Mrożka z "Tangiem" na czele - te właśnie utwory /a ograniczam się tu niemal wyłącznie do lektur szkolnych/ wywoływały ożywione dyskusje o historii, o losie narodowym, pobudzały do snucia filozoficznych rozważań nad porządkiem dziejów.

W powojennej twórczości dramatycznej zdawać się przez jakiś czas mogło, iż spory te i dyskusje od nowa rozgnieci w tonacji odmiennej od komedii Mrożka "Rzecz listopadowa" Brylla. Lecz, jak to dowcipnie zauważył Konstanty Puzyna, "wszystkim się zdawało, że większe grają jeszcze... a to echo grało". Oczywiście - "odkrycie" po 1956 roku twórczości Witkacego, powstające wówczas utwory Mrożka i późniejsze łaskawe zezwolenie na upowszechnianie Gombrowicza - ta eksplozja na czas jakiś potrafiła z teatru uczynić obiekt ogólnego zainteresowania, potrafiła pobudzić zasypiającą świadomość i zmusić ją do wysiłku konstruowania historyzoficznych koncepcji ujawnianych opornie pod czujnym okiem zdenerwowanych ideologów. Nie trwało to jednak zbyt długo, a i dyskusje, jak to z nimi u nas bywa, zatrzymywały się przed murem niedopowiedzeń i przemilczeń, rozbiły o ścianę aluzji i pseudonimów.

Jest to zjawisko groźne: oto na naszych oczach coś znika, umiera; jesteśmy świadkami zarzucania ważnej w naszej kulturze formy wypowiedzi.

3.

Cóż to za forma?

Formą tę, jak wynika z tytułu niniejszego szkicu, jest dialog.

Śmierć dialogu ma wiele przyczyn i warto je sobie tutaj uzmysłowić. Njm jednak zajmę się tym problemem, chciałbym zwrócić uwagę na zjawisko następujące: na atomizację literatury polskiej. Skutkiem owej atomizacji są, poza uwiązaniem dramatu, daleko idące przemiany strukturalne naszej prozy. Otóż coraz więcej spotykamy powieści, w których dialog, dyskusja czy choćby tylko rozmowa zastępowane są ich opisem, omówieniem, opowiadane są przez narratora. Powstają utwory jednogłosowe, monologi - warto tu zwrócić uwagę na niesamowity wprost rozwój monologu wewnętrznego, lub rozbudowanie narracji odautorskiej przybierającej często kształt eseju czy prozy poetyckiej.

Powolne obumieranie dialogu jest też przyczyną, dla której w powojennym naszym piarstwie poezja stała się właściwie jedyną formą wypowiedzi literackiej, która odgrywa funkcje społecznie istotne. Widać to choćby już w ilości wypowiedzi krytycznych poświęconych liryce, w zasięgu i rozgłosie dyskusji wokół poezji toczonych /tu choćby istny tasiewicz polemiczny wokół wypracowania Sandauera na temat powojennej poezji polskiej wypełniający cały sezon ogórkowy "Polityki" w roku 1979/. I choć bez wątplenia jest faktem, iż poezja w naszej literaturze zawsze - wyjąwszy może okres pozytywizmu - odgrywała rolę istotną, to przecież nigdy dotąd nie była gatunkiem panującym w literaturze niepodzielnie. Że tak się stało, wynika to z faktu, iż dławiący wszelkie próby dyskusji monolog jest jej przyrodzonym, immanentnym sposobem wypowiedzi. Trafił swój na swego.

Jest zatem tak oto, iż słychać różne głosy poetyckie, brak natomiast rzeczywistego dialogu, dialogu, który jest ważnym elementem prozy i jedynym żywiołem dramatu. Ale też jest tak, że głosy poetów można od siebie izolować, natomiast wielogłosowość jednego utworu zderzającego w sobie różne prawdy i odmienne postawy jest czynną, co się zewnętrznej manipulacji poddać nie może, a w każdym razie manipulowanie takim utworem jest utrudnione.

Tak tedy wpisanie literatury w monologowy, jednogłosowy system kultury posiada konsekwencje groźne - groźne zarówno dla samej literatury, jak dla stanu społecznej świadomości. Ale też zważyć należy, iż ten model kultury w pełni zrealizowany nigdzie jeszcze nie został. Tym też tłumaczyć trzeba ciągłe istnienie dramatu: jest to co prawda już forma szczątkowa, lub też karykaturalnie zniekształcona, tym niemniej wciąż jeszcze można mówić o sytuacji tego rodzaju literackiej wypowiedzi.

4.

W gruncie rzeczy współczesny dramat polski niemal zupełnie nie rejestruje społecznych konfliktów. Na ogół spór, który jest tu przedstawiony, ma rangę kłótni między brygadziwą a dojarką o to, czy doić krowy przed ósmą, czy po ósmej. Kłótnia toczy się zazwyczaj miesiąc, przez ten czas niedojoną krowa pada, a morał wynika z tego taki, że najlepiej nie dyskutować, bo nam się wszystko zmarauje. Mądra dojarka po szkodzie wie, że choć brygadziwa nie miał racji, to przecież trzeba zrobić co każe - będzie przy tym mniejszy wódj, ale nie zabraknie mleka.

Nie tak jednak drzewiej bywało. Bywało lepiej: spory bywały sporami o principia, odwoływały się do transcendentnych systemów wartości, posiadały swą wagę filozoficzną. Obecnie coraz częściej mamy tu do czynienia jedynie z rozgrywką w planie sytuacyjnym, rozgrywką o znaczeniu jedynie doraźnym. Oto np. Janusz Głowacki w niezłe technicznie skonstruowanej sztuce zajmuje się konfliktami członków klubu piłkarskiego, co ma zresztą i musi dobrze wytresowanemu odbiorcy kojarzyć się ze sprawami ważniejszymi, ogólnospołecznymi. No tak, można się w ten sposób zabawiać, ale zważmy, że punktem odniesienia dla całego dramatu polskiego jest m.in. "Wielka Laprowizacja" z Mickiewiczowskich "Dziadów"...

Najczęściej, rzecz jasna, nie pamiętamy o owym punkcie odniesienia, lecz przecież on w kulturze istnieje i w którymś momencie musimy, gdy zastanawiamy się nad sytuacją współczesnej dramaturgii, ten fakt sobie uświadomić. A wraz z nim uświadamiamy sobie jeszcze coś innego: że jesteśmy związani sytuacją,

która neutralizuje metafizyczny niepokój. A wówczas prorocze wydają się słowa Witkacego o zaniku uczuć metafizycznych, o rozbiciu formy wypowiedzi artystycznej, a wraz z nią utracie dystansu wobec siebie i świata. Wówczas też zdamy sobie sprawę z tego, jak bardzo, związani sytuacją, zatracamy świadomość własnego bytu zajmując się jedynie sprawami bycia. Widoczne jest to zresztą nie tylko w dramacie, widoczne jest to w całej naszej literaturze, w całej humanistyce.

Koncentrując się na opisie własnej sytuacji - czego przykładem bodaj najbardziej skrajnym jest "Nierzeczywistość" Brandysa - tracimy z pola widzenia to, co czyni nas ludźmi: wyłamujemy się ze wspólnoty wsłuchując się pilnie w tonację własnego głosu. Wysłuchani weni nie słyszymy głosów innych - zwracał na to uwagę Bocheński w świetnym szkicu "Niepodległość wśród ludzkości" /"Zapis" nr 8/.

5.

Jakie ma to konsekwencje w dramaturgii?

Oto okazuje się, że często dramat, miał być dialogiem wielu osób, staje się rozpisany na głosy monologiem. Postaci występujące w sztuce to jedna i ta sama osoba grająca różne role, przymierzająca się do różnych sytuacji. A nawet jeśli pojawiają się inni, to nie jako partnerzy w dialogu, ale jako głosy stanowiące dopełnienie monologu bohatera. Tak jest na przykład w dramatach Tadeusza Różewicza. Nie ma tu starcia postaw czy światopoglądów, lecz odgrywanie pewnych epizodów, zestawianie różnych sytuacji. W gruncie rzeczy jest to monolog.

Bohater tego teatru jest samotny., izolowany od innych. Nie wynika to jednak, jak np. w literaturze egzystencji alistycznej, z filozoficznych przesłanek, lecz jest odbiciem, scenicznym wyrazem nieautentyczności naszego społecznego życia - wyrazem mniej lub bardziej świadomym. Snując rozważania o dramatach Różewicza zauważa Puzyna: "Jest mianowicie w Różewiczu głęboka niewiara w działanie, w walkę postaw. Patrzy Różewicz na taką walkę z gorzką pobłażliwością, jak na pozór, złudzenie, dzieciadę. Jest tylko ja i świat, który się na mnie wali, jak kamienica po wybuchu. Nie bronię się nawet, nie mam szans. Jestem obiektem ataku, w najlepszym razie - świadkiem i świadectwem. Nie przeciwnikiem, nie graczem. Taka postawa w liryce jest równie dobra, jak każda inna. Gorzej z dramatem. Bo dramat to nie tylko określona technika literacka, której odrębność zresztą lubimy grubo przeceniać. To przede wszystkim pewna filozofia ludzkiej aktywności. /.../ Oto jeszcze jeden, trochę inny, przyczynek do problemu niemożności dramaturgów: kto wie czy nie ujawnia ona /niewiara - L.S./, jak bardzo czujemy się u b e z w ł a s n o w o l n i e n i".

Ubezważnowolnienie to jednak dotyczy nie tylko naszego tu i teraz: dotyczy również historii, okaleczonej pamięci indywidualnej i społecznej, pamięci wykorzenionej z tradycji, manipulowanej przez doraźne potrzeby, podporządkowanej temu, co nasi polityczni szantażyści nazywają z upodobaniem "racją stanu".

Otóż owa "racja stanu" wymaga likwidacji wszelkiego autentycznego, spontanicznego dialogu. Każda postać publiczna - bohatera teatralnego nie wyłączając - mówi "z kartki", mówi gotowymi formułkami, nie jej się nie może wypsnąć "nieuzgodnionego". Wiemy przecież skądinąd, że wszelkie "drażliwe" problemy i utwory literackie, by ujrzeć światło dzienne, muszą być konsultowane na najwyższym szczeblu władzy partyjnej.

I właśnie w tym zastygnięciu, zakrzepnięciu dramatu najpełniej widoczny jest nieautentyczny charakter naszej literatury, naszej kultury, życia wreszcie.

6.

Więcej: w owym zakrzepnięciu możliwa jest jedynie śmiertelna powaga, niemożliwy jest śmiech, niemożliwa jest spontaniczna zabawa. Z kart polskiej dramaturgii ziele nuda: jest to nuda belferska i nuda polityczna. Jest to też, przede wszystkim, nuda światopoglądowa.

W tej sytuacji powojenne, popaździernikowe "odkrycie" Witkacego orszak niespodziewany wybuch talentu Mroźka stały się wydarzeniami, których wagę trudno przecenić. Nie o żadne "nawiazywania" do teatru groteski czy mód egzystencjalistycznych tutaj chodziło; oto pojawiły się utwory, w których zabawa, w których swobodna gra postaw oraz spontaniczność stały się wartościami podstawowy-

mi - cała reszta, wszystkie uczone i nieuczone interpretacje, to sprawy pochodne. W ocenzurowanej przez naszych stróżów ładu i porządku "Ucieczce od wolności" Fromma odnajdujemy takie oto sformułowanie: "wolność pozytywna polega na spontanicznej aktywności całej zintegrowanej osobowości". Spontanicznej, a więc odrzucającej wszelkie autorytety, pozostającej w niezależności, dokonującej swobodnych wyborów.

Zważywszy, jak dalece posunięta jest dezintegracja naszej osobowości społecznej, nie możemy nie uznać terapeutycznej roli dramaturgii Witkacego i Mrożka, których utwory po roku 1956 odbyły triumfalny pochód przez polskie sceny. Triumf ten polegał przede wszystkim na rzaszadaniu nudy: belferskiej, politycznej i światopoglądowej. Wyzwolony został śmiech, który jest wyrazem współuczestnictwa i autentyzmu przeżyć. Przynajmniej w teatrze.

Podobnych zjawisk było więcej: choćby teatr Białoszewskiego, teatr nie tylko autorski - wszak tutaj właśnie, w przekomponowanych "na głos i krzesło" "Dziadach" Mickiewicza uczestnik spektaklu znajdował współczesne oblicze tradycji odczytywanej swobodnie, bez klisz narzucanych przez "pedagogiczne" grymasy.

Coś się zaczęło dziać, lecz nie trwało to długo, tyle tylko, by złapać oddech, by na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza w duchocie śmiertelnie poważnego monologu belfrów. Lecz ta próba dialogu zduszona została błyskawicznie: jedynym azylem stał się dla teatru kabaret lub teatr studencki. Tam też zresztą swoboda poszukiwań ograniczana była coraz dotkliwiej. Pisząc w roku 1969 wprowadzenie do swej znakomitej "Burzliwej pogody" stawia Puzyra diagnozę nie pozostawiającą miejsca na wątpliwości: "Kto wie, czy jutro nie pojawi się wielkie, wstrząsające arcydzieło, problem poruszający nas wszystkich raptownie i ostro. Czekajmy. Chociaż na razie, na początek, powiedzmy sobie lepiej: żadnych złudzeń".

Właśnie.

7.

Dlaczego?

Dlatego przede wszystkim, iż wszelka wypowiedź u nas, dramatu nie wyłączając, musi się mieścić "w ramach" oficjalnego monologu państwa. Państwo jest w gruncie rzeczy narratorem całej naszej literatury, ono też decyduje o jej układzie kompozycyjnym. Na przykład w prozie czy w poezji polega to przede wszystkim nie tyle nawet na niedopuszczeniu do głosu "innych", co na ich izolowaniu od siebie, atomizacji, rozrywaniu relacji między poszczególnymi wypowiedziami. Widać to między innymi w recenzenckim skarzeniu krytyki literackiej, czego praktycznym przejawem trudności jedynego pisma, podejmującego wysiłek jej odnowy - "Tekstów": dwumiesięcznik ten od dłuższego czasu znajduje się pod stałym i czujnym ostrzałem cenzury.

Od gazety poczynając, przez tom wierszy, powieść, aż po utwór dramatyczny, każda wypowiedź musi spełniać jeden zasadniczy warunek: musi mieć taką strukturę, by mogła być bez reszty wychłonięta przez monolog państwa /partii/; każda inna wypowiedź nie ma po prostu możliwości istnienia. Warto swoją drogą z tego punktu widzenia spojrzeć na próbę zafałszowania "Dzienników" Gombrowicza w osławionych odcinkach "Gombrowicza podsłuchanego" w "Miesięczniku Literackim". Wszystko to prowadzi do powstawania wypowiedzi coraz mniej konkretnych: ich ogólność, abstrakcyjność chroni je przed eliminacją. Teatr wszelako ma tu trudności specjalne: każda sytuacja dramatyczna przekładana jest na obraz sceniczny, ukonkretniona obrazem, a zatem bardziej sugestywna niż poezja czy proza. To właśnie zakorzenienie dramatu w konkretności, jego nie tylko językowa, lecz również wspierająca ją obrazowa sfera jest przyczyną, dla której jest to forma literacka szczególnie dla monologu państwa niebezpieczna. Dramat jest w końcu laboratorium postaw społecznych, tworzy sytuacje modelowe, najbardziej sugestywne. I to jest chyba podstawowy powód, dla którego obserwujemy po wojnie postępujący paraliż naszej dramaturgii. To - i jeszcze jedno: konstrukcja tej formy wypowiedzi zakłada odbiór publiczny. Wystarczy sobie przypomnieć reakcje publiczności na słynnej, dejmkowskiej inscenizacji "Dziadów", by zrozumieć, iż wspólnota tworzona przez wypowiedzi dramaturgów stanowi wspaniałe przeciwstawienie się społecznej atomizacji manipulowanej

przez polityków i ideologów.

Z tego też powodu teatr jest otoczony szczególną opieką politycznych pedagogów: uwidocznione to zostało już w samej nazwie urzędu "kontrolni prasy, publikacji i widowisk" - właśnie widowiska są tu wyodrębnione jako wymagające czujności specjalnej, odrębnej.

B.

Cechą szczególnie groźną każdej autentycznej wypowiedzi dramatycznej jest jej obiektywizm: w teatrze następuje - co wie każdy, kto wystarczająco uważnie czytał "Nie-boską komedię" Kraszińskiego - obiektywizacja poszczególnych wypowiedzi. Obiektywizacja ta polega przede wszystkim na ich prezentacji pozbawionej odautorskiego komentarza. Oczywiście - i tu możliwe są zafałszowania, ale odbywa się to zawsze kosztem załamania spójności, kosztem rozbicia harmonii formalnej: fałsz jest w sztuce dramatycznej niemożliwy. W końcu po dziś dzień dyskutujemy na różne sposoby racje bohaterów "Antygony" czy "Hamleta" - nie tu nie jest do końca i na zawsze przesądzone.

Jest to rzecz niesłychanie pouczająca, jak nudne i niewydarzone są wszelkie sztuki i widowiska /tu zwłaszcza warto zwrócić uwagę na widowiska telewizyjne/, które mają pokazać "słuszność" jakiejś prawdy. Ich trywialność i widoczna przesada wskazują na zwichnięcie równowagi: przeciwnicy "naszych" bohaterów to ludzie z reguły głupi, ograniczeni, pozbawieni siły przekonywania - jak minister Beck w nagradzanym i oklaskiwanym przez gazety telewizyjnym widowisku "Przed burzą". Widz od początku wie i wiedzieć musi /często z poprzedzającego widowisko komentarza/, że słuszność jest po "naszej" stronie. A kóż jest rzeczywistym kontrpartnarem Becka w tym spektaklu? Jest nim współczesny polski "historyk" reprezentujący racje oficjalnej, jedynie słusznej i niepodważalnej historiozofii, która usprawiedliwiła ma pakt Hitler-Stalin jako dziejową konieczność i kto wie czy nie błogosławieństwo dla Polski. Autor dramatu jest jednak na scenie postacią sztuczną i nieautentyczną - pytanie: czy przeżyje jeszcze lat sto? Wiadomo, że nie zagra go żaden aktor - ta konwencja teatralna jest więc konwencją doradczą, artystycznie chybioną, a przez to też nieprawdziwą. Ten typ dramaturgii nie może się bronić bez komentarza. Nie może, ponieważ zamiast prezentacji jest li tylko interpretacją sytuacji, do której się odwołuje, jest fragmentem wielkiego i nie znoszącego sprzeciwu monologu. Przy czym jest to monolog szczególny: monolog kogoś, kto z uporem maniaka sam do siebie gada.

Byłoby czymś przerażającym, gdyby ta sytuacja miała być perspektywą ewolucji polskiego dramatu.

9.

Staraniem się w tych - nie zawsze dość ułożonych - notatkach i uwagach ukazać podstawowe przyczyny, dla których polski dramat po wojnie nie wydał, wyłączwszy Mrożka, żadnego zjawiska godnego powszechnej uwagi. Przeradzanie się dialogu w monolog, tak dotkliwie odczuwalne w życiu społecznym, nie pozostaje bez wpływu na przeobrażenia literatury. Następnym etapem tej ewolucji jest być może afatyczny bełkot. Być może. Lecz nie przejmujmy się tym zbytnio. Jak bowiem zauważył Irzykowski w jednym z aforyzmów pomieszczonych w redagowanych /i ocenzurowanych! / przez Andrzeja Lama "Pismach": "Konieczność dramatu, zwłaszcza komedii, można wyprowadzić z esprit d'escalier".

Konieczność!

Leszek Szaruga

TRZY RÓŻNE TEKSTY O TEATRZE

1.

Polski teatr studencki, zwany niekiedy teatrem otwartym, nieoficjalnym itp., ma być bodaj ze wszystkich rodzajów działalności twórczej uprawianej w naszym kraju życie najgorsze. Uwikłany jest bowiem organicznie w kilka sprzeczności wręcz metodologicznych, które powodują, że rodzaj jego uniesień i jego kryzysów bywa mimo wszystko niepodobny do wzlotów i upadków innych dziedzin sztuki oraz analogicznego teatru na świecie.

Każdy teatr, w tym teatr studencki, istnieje tylko w czasie teraźniejszym i tylko w warunkach jemu naturalnych, czyli miejscu gdzie się narodził i dokąd zawraca. Teatru nie można przechować jak książki w szufladzie czy obrazu w pracowni. Teatr, aby żyć, musi mówić, działać, funkcjonować - wtedy, gdy jego twórcy zdecydowali się na wypowiedzanie w takim właśnie języku. Szczególnie teatr studencki: nastawiony na doraźność, teraźniejszość, aktualność problematyki. Odgrzewany teatr otwarty jest gorszy niż odgrzewany teatr zawodowy; ten ma na swoją obronę tradycję myśli i form, tamten przeczy wówczas swoim ideom i założeniom.

Teatr studencki założył sobie mówienie prawdy o rzeczywistości, w której żyje. Pełni tu dwie role: zwierciadła /w znaczeniu Szekspirowskim/ oraz komentatora. Opis daje niezbędną podkład faktograficzny, komentarz ma ujawnić stosunek twórców do problemu. Teatr taki, co oczywiste, ma pełne szanse samorealizacji w warunkach maksymalnie sprzyjających artykułowaniu form i myśli; nie chodzi tu o konieczność pełnego szczęścia egzystencjalnego, ale o możliwość wypowiedzi. Warunki takie spełnia kultura otwarta, czyli taka, która bez względu na rodzaj artykulacji dopuszcza do ujawniania się różnorodnych rodzajów opinii o świecie. Dialektyka takiej kultury zakłada, że ścieranie się poglądów i opinii jest działalnością kulturotwórczą, czyli pogłębiającą samowiedzę społeczeństwa tę kulturę wytwarzającego.

Z kolei kultura zamknięta nie dopuszcza do takich praktyk. Przy obowiązującej jednej normie zachowania i myślenia wszelkie sądy wypowiedzane ze stanowisk przeciwnych bądź alternatywnych uznaje za wrogie, w następstwie czego zwalcza je albo nie dozwala na ich powstanie. Zwalczanie może się odbywać wielokierunkowo: konfiskata książek, obrazów i przedstawień, ściganiem twórców metodami policyjnymi, łącznie z karami więzienia lub przymusowej banicji. W interesującym nas przypadku teatru otwartego postawa kultury zamkniętej spowodowała np. banicję zespołu Comuna Baires z Argentyny do Włoch.

W Polsce mamy do czynienia z kulturą półotwartą. Jest to, jak łatwo zauważyć, model pośredni. Kultura taka nie dopuszcza faktu pluralizmu światopoglądowego, będąc w gruncie rzeczy formą dydaktyzmu zachowawczego i dyktatury myśli. Dydaktyzm objawia się w wielorakich pouczeniach dotyczących ogólnego zachowania się; dyktatura skazuje co groźniejsze przypadki niesubordynacji na zniknięcie czasowe bądź stałe. Byłby to jednak opis wykrzywiony. Otóż kultura nasza jest w istocie liberalniejsza. Przez swój ograniczony bezwład i inercję, przez tradycję liberalno-demokratyczną nie ze szczerem wyplenioną oraz przez zwykłą nieudolność pracowników szeregu resortów kulturowych zachowuje pozory, a niekiedy i rzeczywiste przejawy, kultury otwartej. Zwalcza opozycję myślową, bo tak jej każe nadrzędna struktura, ale jeżeli już ta opozycja jakoś powstanie, ogranicza się do przejściowego i czasowego nakania, utrudniania i przeszkadzania. Rodzaj policyjnego ścigania za nieprawomyślność nie jest tak zdecydowany i wyrazisty w skutkach jak w kulturach jawnie zamkniętych, konsekwencje materialne nie tak ostateczne i dotkliwe; z reguły można liczyć na chwilowe złagodzenie kursu, poszerzenie oczek cenzury, zmianę personalną w aparacie władzy.

Kultura ta boi się faktów stałych, np. druku trwałego w postaci książek, bowiem sama siebie ma za element nietrwały, stan przejściowy, w którym jakoby wszystko było wolno - podczas oczekiwania na przyszłą rzeczywistość lepszą i światlejszą. Trwała zatem dokumentacja stanu przejściowego czyni ludziom o wahlwym morale niejako naturalne szkody w stosunku do potomności: wystawia im po prostu złe świadectwo. Ale też wspomniana inercja i resztki dawnych tradycji

powodują, że - jakby w zamian - stosunkowo łatwo kultura ta poddaje się presji faktów nietrwałych i ulotnych. A więc np. teatrowi. Który, jak wiadomo, dziś jest, jutro przeminie i ślad większy po nim nie zostanie. Tym bardziej, że skutecznie spacyfikowano krytykę artystyczną, więc i teatralną, i nic nikomu ze strony ewentualnych dokumentalistów nie zagraża.

Nie jest jednak tak dobrze, jak by się zdawało. Liberalizacja nieco większa w stosunku do teatru niż np. do literatury nie oznacza oczywiście pozwolenia na wszystko, a przynajmniej na tyle, aby wytwórcy mogli mieć spodziewane satysfakcje. Zwłaszcza twórcy teatru studenckiego, deklarujący się, co powiedzieliśmy, na pełną otwartość w głoszeniu prawdy. Tu, paradoksalnie, w lepszej sytuacji okazuje się być owa najbardziej zwalczana literatura. Ona bowiem może funkcjonować w podziemiu, co skądinąd czyni; może być przetrwalnikiem idei do jakichś bliżej nieokreślonych "lepszych czasów". Teatr już nie ma tej szansy, musi istnieć tu i teraz; w innym przypadku po prostu naturalnie ginie bez śladu.

Teatr usiłujący głosić pełną prawdę w modelu kultury półotwartej jest skazany na trzy rodzaje egzystencji:

1. Zajmowanie się marginaliami bądź obojętnymi politycznie prawdami, co gwarantuje mu dobrobyt i spokój;
2. Zadawanie się półprawdami, walczenie o trochę więcej; tu podeklaruwać lojalność, ulec cenzurze, ale powiedzieć za to dwa słowa ostrzejsze;
3. Iść na całość, mówić pełną prawdę, być maksymalnie uczciwym względem siebie i świata.

Oczywiście, powie ktoś nieświadomy sprawy: tylko ten trzeci rodzaj egzystencji jest w pełni uzasadniony. Ma rację, ale nie zna życia. Albowiem ten rodzaj działalności jest marzeniem wszystkich uczciwych twórców teatru otwartego w Polsce /a należy założyć, że wszyscy są uczciwi; mogą być tylko bardziej czy mniej zdolni/, przy czym jest on na dobrą sprawę logicznie niemożliwy. Lepsza połowa półotwartości kultury zezwoli wprowadzić na zaistnienie takiego "prawdziwego" przedstawienia, zgadza się to bowiem z postulatem "mówienia o naszej rzeczywistości", do czego nawołują chytrze oficjalne środki propagandowe; druga połowa jednak, ta gorsza, służy pilnowaniu tamtej lepszej, by nie popełniła błędu zbytńskiego brania serio własnych postulatów.

Oto przykład. Egzystuje w Poznaniu jeden z najlepszych w Europie /a tak/ teatrów tego typu, mianowicie Teatr 8 Dnia. Od czasu, kiedy władza nim Lech Raczak, należy do najbardziej otwartych, bezkompromisowych, ostrych politycznie zespołów, nie wahających się przed użyciem form i myśli z punktu widzenia wymogów systemu raczej nieprawomyślnych. Mało. Kilka lat temu włączył się czynnie w działalność pozateatralną, zgodnie zresztą z postulatem niegdysiejszej Młodej Kultury, by sztukę traktować jako funkcję intensywnego i odpowiedzialnego etycznie życia. To, że zespół ma liczne kłopoty nie tylko z własnymi spektaklami, ale i własną egzystencją, wiadomo już dosyć powszechnie, a do rozgłosu przyczyniła się polska milicja i polskie sądownictwo, czego nikt tym instytucjom nigdy, miejmy nadzieję, nie zapomni. Ale oto paradoks: teatr żyje, a nawet wystawia. Oczywiście, czepia się go cenzura, okazuje się, że nie można o nim pisać w oficjalnej prasie, zespół zaś, aby jednak grać, na te ingerencje mimo wszystko się godzi, a przynajmniej godzi się na zewnątrz /no bo zresztą jakie ma inne wyjście?/. Oczywiście, czepiają się go miejscowe władze, czepia się SB robiąc rewizje w domach aktorów, fałszuje się fakty przy wytaczaniu procesów poszczególnym członkom teatru. Odwlekaniu uległy decyzje dotyczące losów tak konkretnych spektakli /znamiennie przetrzymywanie decyzji o eksploatacji "Przeceny dla wszystkich" w roku 1977/ jak losów samego zespołu /perypetie sądowe, zawieszanie teatru w prawach udziałowca mecenatu SZSP, trudności z przekazaniem go innemu mecenasowi, który miałby firmować 8 Dnia jako zespół zawodowy itp./. W kulturze jawnie zamkniętej teatr taki mało że nie przetrzymałby połowy tych perypetii, ale zostałby zlikwidowany bodaj czy nie po pierwszej premierze, a już na pewno po takim choćby "Jednym tchem", spektaklu mogącym wywoływać zawały serc u co gorliwszych entuzjastów režimu. A jeśli nawet spektakl ów byłby w pewnym sensie politycznie do wybronięcia /tak jak to się mogło zdarzyć - i zdarzyło - w roku 1971/, pograżyłby zespół kilka lat potem,

kiedy to okazałoby się, że autor wierszy będących kanwą scenariusza, niejaki Stanisław Barańczak, to zwykły aferzysta i łapówkarz, w dodatku ulubieniec paryskiej Kultury i Wolnej Europy /korekta retardacyjna wg prawa Orwella/.

Z kolei w kulturze otwartej teatr nie musiałby wykonywać ani cząstki zabiegów maskująco-unikowych, żeby żyć i działać; przy niektórych spektaklach teatrów amerykańskich czy zachodnich najostrzejsze przedstawienia 8. Dnia wydają się może ^{nie} łagodnym przekomarzeniem, ale co najmniej zawiłą metaforą polityczno-społeczną.

/Na marginesie dodajmy taką chyba nie nazbyt znaną powszechnie ciekawostkę z terenu bratniej współpracy między narodami. Otóż jeśli np. w Związku Radzieckim pojawiłby się jakiś "rewolucyjny" spektakl studencki, co już samo w sobie jest praktycznie niemal nie do wyobrażenia, to aby sprowadzić go do PRL na gościnne występy, a choćby tylko na jakiś międzynarodowy studencki festiwal, należałoby uczynić rzecz następującą. Instytucja zapraszająca musiałaby między innymi wystosować oficjalną prośbę do miejscowych władz Komsomołu, tam zdecydowano by, który teatr jest godny reprezentowania młodej kultury Kraju Rad, po czym do Polski przyjechałby teatr z dokładnością do 99% nie ten, który został zaproszony. No i niech ktoś śmie zaproponować czy zaprotestować/.

Nie żądźmy się jednak zanadto korzystnością /proporcjonalną/ półotwartości naszej kultury, zwłaszcza w porównaniu z nieszczęściem dotyczącym sztukę kultury zamkniętej. Bo oto przypomniak mi się przykład jeszcze inny, wywodzący się właśnie z takiej kultury zamkniętej. Kilka lat temu, gdy generalissimus Franco cieszył się jeszcze względny zdrowiem, teatralną Europę podbił hiszpański zespół La Cuadra, złożony przeważnie z chłopów-amatorów, którego dwa pierwsze spektakle, "Quejio" i "Los Palos", zrealizowane w pierwszej połowie lat 70-tych, były zaiste pokazowym graniem na ostro, bez specjalnych niedomówień, czego dowodem choćby taki drobiazg, jak scenografia tego drugiego spektaklu, składająca się wyłącznie z olbrzymich bali drewnianych zbitych w gigantyczną kratę. Zespół żył może nie najszczególniej /zwłaszcza dotyczyły go problemy finansowe; u nas w tym czasie najbardziej kontestujące teatry pobierały spokojnie dotacje z ZSP i innych organów państwowych/, ale przecież egzystował i pracował w tym - jak to u nas głoszą - reżimie totalnym, przy którym nasza rodzima sytuacja zdawała się rajem na ziemi.

Wróćmy do 8 Dnia. Funkcjonując na granicy politycznego i egzystencjalnego ryzyka, teatr ów jednak żyje i działa, wzbudzając nieraz aż zazdrość innych dyscyplin twórczych, którym zbudowano zasięki silniejsze. Okazało się, że dużo można załatwić, byle tylko przetrzymać napór przeciwności; po dwóch z grubsza latach perypetii i kłopotów grozących wręcz unicestwieniem zespołu przyszło względne uspokojenie, a nawet złagodzenie kursu odperowego: teatr przeszedł na zawodowstwo. Przejął go bogaty, choć z racji funkcji nieco absurdalny mecenas - Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe - i nawet /acz pewnie czasowo, piszę te słowa latem 79/ przestała go nękać cenzura, dopuszczając do publicznych informacji o jego istnieniu oraz do recenzji - włącznie z pochwalnymi - z jego przedstawień. Trudno powiedzieć, czy są to fakty, z których należy się wyłącznie cieszyć. Byłby to optymizm myszy, która chwilowo dostała w klatce lepsze pożywienie, a i właściciel przestał ją dręczyć pętykiem zmuszając do tych czy innych ruchów; mimo wszystko jednak lepiej się żyje ze świadomością takiego braku konsekwencji ze strony zwierzchności.

Odłożmy zatem przykłady i powróćmy na poletko uogólnień. Otóż młody teatr w Polsce starający się artykułować jakąkolwiek prawdę, która nie jest tylko moralnie i politycznie obojętna, staje przed dylematem: Iść na całość, co oznacza - w bliskich i być może także dalekich skutkach - przymusowe milczenie, czy też iść na pewne ustępstwa, co zapewnia kaleką wprawdzie egzystencję, ale zawsze jednak egzystencję. Wybór zdaje się łatwy; bodaj wszystkie teatry decydują się na uszczerbki zdrowotne, czyli na większą lub mniejszą cenzurę wewnętrzną i zewnętrzną, czyli na życie w świadomości istnienia klatki, czyli na punkt drugi naszego zestawienia sprzed kilku akapitów. /Malkontentom zaś i potencjalnym cierpiętnikom raz jeszcze na pamięć przywołuję dzieje 8 Dnia, które dowodzą, że z najgorszym opresji można jakoś wyjść, byle być konsekwentym i wiedzieć swoje/.

Tu otwierają się nowe możliwości manewru. Nożycę wartości poszerzają swe szczęki: można być kaleką lepszym i gorszym. Swoista licytacja idzie na ubytki i straty: ten ma obie nogi, ale odjętą dłoń i pół twarzy sparaliżowane. Tamten zaś ma się prawie dobrze - tylko naderwane ucho i brak palców ręki świadczą o stoczonym bitwie. Z punktu widzenia polityki kulturalnej mniejszy kaleka jest lepszy, czyli odpowiedzialniejszy; z kolei z punktu widzenia środowiska opada o kilka stopni niżej w ogólnej punktacji; dał się złamać, więcej zmilczał, poszedł na głębsze ugody ze sobą i światem, z góry zaplanował mniejsze straty.

Nie chodzi jednak oczywiście o niewyszukane żarty z bądź co bądź poważnej i smutnej sytuacji. Polski teatr studencki jest realnym kaleką, któremu na pomoc mogą przyjść tylko koledzy i widzowie. Jeszcze kilka lat temu Edward Chudziński, jeden z najlepszych znawców problemu, określił teatr studencki jako "pogotowie ratunkowe". Znaczyło to, że struktura naszej kultury teatralnej składa się z małożmiennej, nieruchawej i niesprawnej bryły teatru zawodowego funkcjonującego w podobnej mu materii społecznej, zaś wyrazicielem co jakiś czas chwilowej poprawy zdrowia jest właśnie teatr studencki, pełniący rolę karetki pogotowia reanimującej zdychającą myśl współczesną. Obecnie istnieje podejrzenie, że i do teatru studenckiego trzeba by wezwać jakąś karetkę: kalectwo jego daje się bowiem jawnie zaobserwować.

Z tym jednak, że jest to kalectwo trwałe i organiczne, zawarte w samej naturze istnienia. takiego rodzaju wypowiedzi pośród kultury połowicznej, półotwartej. Cierpienia teatru są jednak o tyle większe i dotkliwsze, że ma on prawdziwe ambicje zdrowego życia, bowiem zdrowe życie oznacza dlań rację bytu, rację poskannictwa duchowego i społecznego. Dlatego jednak tak szybko zrywa się z łoża boleści, gdy półotwartość choć na moment się otwiera, wlewa się świeże powietrze, a kolejny Augiasz puszcza strumień wody na zagnojoną podłogę.

To, że żyje w ogóle, należy uznać za sukces i jego, i półotwartości kultury. Są bowiem, jak się rzekło, miejsca, gdzie albo by się nie mógł narodzić, albo zmarłby natychmiast śmiercią nienaturalną, choć są także, mimo wszystko, miejsca inne, gdzie miałyby się pod wieloma względami lepiej. Żyje i umiera jednak tu właśnie; stąd czerpie siły i tu dotykają go słabości. Jego odwaga ma wymiar heroicznější niż gdzie indziej, zaś jego uległość zyskuje sobie więcej wrogów niż zwolenników chytrłości rozumu. Wytwarza dobre, średnie, złe i doskonałe przedstawienia. Ale kalectwo jest mu przypisane: spojrzcie na ludzi, którzy go robią, porozmawiajcie z nimi. Są jednymi z najżywszych ludzi w tym umierającym kraju, bo tylko rzetelne i niezawinione kalectwo wyzwala większą energię wśród pozostałych, nienaruszonych składników jego organizmu. Co jest faktem w istocie fizjologicznym i psychologicznym, a nie żadnym wymysłem krytycznym.

2.

W mieście O. jest nowy, piękny teatr, słuszną chluba i duma ojców miasta. Pewnego stycznia roku siedemdziesiątego ósmego teatr w O. był świadkiem, uczestnikiem i współtwórcą imprezy, która powinna przejść do annałów polskiej sceny jako wydarzenie bez precedensu, za to być może z konsekwencjami.

Oto w kraju naszym roku owego odbywało się fetowanie, rekapitulowanie tudzież pokłosa: zbieranie II Krajowej Konferencji PZPR. Przyszedł czas, że i na miasto O. padła konieczność tego fetowania, rekapitulowania i pokłosa zbierania. Miejscem ku temu odpowiednim uczyniono teatr, jako że nowy, twarzowy i reprezentacyjny. O, miasto O. miało ambicje. Chciało się wykazać, pokazać. Szuru-buru robiono przygotowania, czyszczono, instalowano, projektowano, zespoły folklorystyczne i artystów indywidualnych /jako to na przykład Sipińską Urszulę/ zaangażowano, transparenty mocowano, dekoracje malowano i podświetlano, wystąpienia pisano i próby czyniono. Aż Dzień nadszedł pryncypialny. Sama Wielka Osobistość z Centrali uświetnić miała uroczystość powszechnego zbratania, pojednania, zobowiązania, ukochania i popierania. Publiczność specjalną dobrano, młódkę w krawaty czerwone odziano, drzwi zamknięto, strażników takich i owych postawiono.

Po różnych wstępnych powitaniach, mowach i przemowach, wielokrotnie ówiczonych nieodzownościami ogólnej zgody wszystkiego z wszystkim, nastąpiła

część jawno-deklaratywna, z samego serca płynąca. Otóż i przewidziano, że w owym entuzjazmie oficjalnego popierania i zapewniania nastrój tak się natęży, atmosfera tak się zewrze, iż spontan pójdzie po sali, zaś naród sam z siebie, radośnie i ochoczo, głos wyda, prywatnie jakby popierając, osobiście zapewniając. I tak się, jak mówi bajka, stało. Osobistość Wielka siedzi, aż tu nagle jak nie wstanie z rzędu któregoś Robotnik Prosty, jak nie zakrzyknie głosem prostym, że on i zakład jego też są za, całym sercem za, i on tu zapewnia, Robotnik Prosty, że on i zakład jego do jeszcze większego wysiłku się zobowiązuje dla uczczenia i poparcia, że sił dołożą i starań, wszystko z miłości wielkiej. I siada, pot ociera z czoła spracowanego. A oklaski grzmia i grzmia, Osobistość głową kiwa, uśmiecha się, zgodę wyraża. Aż tu z innego rogu sali dużej i zdobnej Robotnica Prosta wstaje i swoje mówi. Że ona nie gorsza i jej zakład też, że też popierają i kochają, zobowiązują się i dotrzymają. I nowalijkę wprowadziła do wypowiedzi swojej spontanicznej: żeby Sam Wielki Towarzysz powiedział Samemu Największemu Towarzyszowi, że wszystko będzie dobrze, a nawet lepiej. I siadła, oklaskami żegnana, spłoniona skromnie. A potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż się sala rozhuczała brawami dla Klasy Robotniczej, co tak wstaje sama z siebie i zapewnia, a przekonująco to robi i dobitnie, akcentując prawidłowo co prawidłowe, słuszne i pożyteczne.

I nic by w tym dziwnego nie było, że naród tak świętuje i popiera, bo jak mu każą to świętuje i popiera, taki to mamy naród odważny i święta lubiący, więc nic by dziwnego nie było w tym świętowaniu i popieraniu, gdyby nie nowatorstwo pewne odważnie pomyślane. Otóż ci spontaniczni entuzjaści roboczego trudu aktorami byli! Tak jest! W tym nowatorstwo niezwykle się objawiło, wynalazek niepowtarzalny i jedyny. Aktorzy to byli, zwykli, normalni wyrobniicy zawodu swego, tegoż teatru stali mieszkańcy, twórcy i współtwórcy, artyści nasi kochani, umiłowani, sztuki pięknej i świętej głosiciele, w służbie ludu swego pozostający. To oni, z błyskiem zobowiązania w szczerych oczach, z "ż" przednio językowiedzowym wytrwale ćwiczonym na wargach złotoustych, to oni, bez jankania, memłania, zaciniwania i seplenienia, polszczyzną prostą jak robociarska dłoń artysty, polszczyzną jasną jak świetlana przyszłość, dali 1500 zł od wystąpienia dowód zawsze twórczej gotowości do podjęcia wszelkich zadań, jakie im ojczyzna ukochana zleci.

Sama Wielka Osobistość raczyła później osobiście wyrazić zadowolenie z tak udanej imprezy, a już szczególnie przypadły jej do gustu te wypowiedzi robociarskie proste i jasne, dobitne i klarowne, bez rżenia głoszone, bez kartek i jankania, szczerze i od serca. Aż tu ktoś podpowiedział z boczku, chyłkiem, z przyjaźni czystej i bezinteresownej, że Artyści to byli, Aktorzy nasi kochani! Gdzieżby Robotnik Prosty tak umiał! Gdzieżby tak zdołał dykcją zachwycić, dobitnością przekonać, prostotą ująć!

Tu być może chwila ciszy zapadła, chwila zastanowienia, ale nie jesteśmy tego pewni. Być może nic nie nastąpiło. Być może uśmiech niedowierzającej satysfakcji zawitał na wargi Wielkiej Osobistości już zaraz, za moment, jeszcze nim przebrzmiały do końca słowa uprzejmego informatora, a może w sekundę później, w dwie sekundy, żeby wieść zdążyła się uleżeć, ucukrować, dotrzeć gdzie trzeba w odpowiednie komórki komórek mózgowych. A ten uśmiech bynajmniej nie zwiastował grozy i przykrości! Bynajmniej! Ten uśmiech zwiastował zrozumienie! Tak, to jest to, to jest pomysł, zakrzyknęło niemo rozjaśnione oblicze Osobistości. To mi się wręcz podoba, być może powiedziało na głos to oblicze, gdy już rozważywszy błyskawicznie wszelkie za i przeciw do wniosku nieuchronnego doszło, że korzyść tylko z tego być może i pożytek. Teraz i na przyszłość. Bo nowatorstwo to nowatorstwo. Jak słuszne - w normę przemienić należy. Być może tego już głośno oblicze nie powiedziało, ale nie wykluczamy, że pomyśleć raczyło.

A myśmy sobie też coś pomyśleli. Oto na przykład pomyśleliśmy sobie tak: dlaczego by tego pomysłu w jeszcze lepszą normę nie przemienić? Otóż pomysł nasz nowatorski jest następujący: oddelegować na wszelkie pryncypialne imprezy aktorów nie tylko do ról "przedstawicieli narodu", ale i "przedstawicieli władzy". Styl zostanie zachowany, jedność konwencji zapobiegnie ewentualnym zgrzytom, mniej sprawni w wymowie i wyglądzie politycy będą skutecznie wyręczani

w trudnych obowiązkach, a dla artystów to przecie chleb powszedni. Wzrośnie przy tym prestiż zawodu aktorskiego, już nikt nie będzie mówił: "Ale się kurwia", bo nie będzie wypadło, a poza tym się nie pozwoli, bo jakże. No i wreszcie Jedność nastanie. Wspólność, Demokratyczność. Zatrą się wreszcie wszelkie granice. Nikt już naprawdę nie będzie wiedział, kto jest aktorem, a kto widzem. Zagramy wszyscy - wszystkimi. Jak w bajce. Największy teatr świata wejdzie wreszcie na prawdziwą scenę.

3.

Jerzy Goliński, polski reżyser tzw. średniego pokolenia, którego mam zaszczyt nazywać moim przyjacielem /choć te trywialne słowa jemu zapewne nie przeszyły przez gardło; on należy do tych przyjaciół, z którymi się przyjaźń uprawia, ale o niej nie rozmawia/, twierdzi od jakiegoś czasu, że dzisiejsze życie należyło na aktorów szczególne zadania. Otóż fakt, że mówią ze sceny do publiczności świetnie znającej konwencje gry ze sobą i między sobą, publiczności tak dalece reżyserowanej, że pewne odruchy już jej weszły w krew, w aktorski nawyk, zniewolonej przez cudze scenariusze i cudze reguły, otóż fakt ów sprawia, że aktorom nie pozostaje nic innego, jak być normalnymi, prawdziwymi i prawdopodobnymi ludźmi. Jest to zadanie kańkołomne, bo wymagające dokładnego odwrócenia ról; póki co jest tak, że najczęściej obie strony zgrywają się przed sobą w atmosferze jeszcze jednej umowności: wy na sali udajecie, że was obchodzi to, co my mówimy ze sceny, a my udajemy, że jesteście nam do czegoś niezbędnie potrzebni, choćby do mniemanego uprawiania artystycznego posłannictwa społecznego i moralnego.

Oczywiście, aktorzy znajdują się w znacznie gorszej /wręcz z egzystencjalnego punktu widzenia/ sytuacji. Oni bowiem, żeby jakoś wyjść na swoje, uratować sens własnego bycia teatralnego, musieliby nieomal... zapomnieć o swoim zawódzie. Przestać udawać, przestać być sztucznymi g r a c z a m i w najprostszym rozumieniu. Wydaje się to nieprawdopodobne, bezsensowne i na głowie postawione. Ale fakty mówią same za siebie: gdy oto jakiemuś aktorowi uda się powiedzieć ze sceny coś od s i e b i e, zareagować o s o b i ś c i e /co nie znaczy "prywatnie"; aktorzy wiedzą o co chodzi/, powiedziec coś ludzkim, normalnym głosem wprost do ludzi na widowni, aż sam się zadziwia, że ten głos bywa jak grom, jak piorun z ciemnego, gęstego nieba zaklejającego powieki i serca, i tylko w tym momencie otwierającego się czystym błękitem.

Mogliby coś na ten temat powiedziec na przykład niektórzy aktorzy studenckiego teatru. Ci, którym było kiedyś dane dostąpić szansy otwartego głosu. Ale, niestety, aktora zawodowego niezbyt to interesuje. Jego maska zbyt już przywarła do twarzy, już za dobrze się czuje za tą zasłoną. Jego starania idą przeważnie w kierunku takiego udoskonalenia swojego aparatu twórczego, by bez najmniejszych zarzętów mógł przekazywać cudze polecenia dowolnych reżyserów.

Tadeusz Nyczek

pokolenie

wyszliśmy z bunkrów młodości jak szczury opuszczając zadżumione miasto
 spod eleganckich łachów wyzierał kwaśny smród zgonionych ciał
 jedynie broń lśniła nowoczesnością - wargi jak lasery ustawiono tak by
 myśl wypalać w zarodku nim zdąży przecięknąć przez bramę gardła
 jedni zdalnie kierowani inni samoregulowali organizm od zera sensu
 by przeżyć festyn młodości i wkroczyć w planowane sympozjony szczeroci .
 poetyckich - tak, tak, - pokoleń

na wzgórzu zapalono sygnałne ogniska
 niech mówią co myślą - wołał podrabiany apostoł
 a potem będziemy ich żać - szeptali za plecami ustawieni żniwiarze epoki
 rozległa się strzelanina ironią do obojętnego świata rzeczy
 który nie raczył nawet na komendę drgnąć
 do południa bełkotano o optymizmie i Marksie
 - - - jedzenia było w bród nikt nie płacił krwią
 polowano na zwierzyne sztuki
 białego wieloryba kultury
 pstrąga realizmu powszechnego - szeptano
 lwa sensacji w postawie obywatelskiej
 byka metafory na konkursie czerwonych płacht
 konia z rzędem a na nim cenzurę stawiano za radosny śmiech
 to było - przysięgam - szokujące
 nikt nie ruszył po wysokopieniężny laur

raptem przestaliśmy bełkotać siedząc zapatrzeni w ziemię
 jak zwycięzcy w historii w groby czyniąc je triumfalnymi
 apostoł szczeroci zawył ze złości unosząc zdziwloną brew
 - - - w pierwszym dniu poeta poety nie sprzedał
 rósł popyt na swojskie donosy

obok świat kroczył sumiennie nogami kobiet pociętymi batami żyłaków
 kobiet popychających brzuchem rozwój stygnącego społeczeństwa
 matek zawijających w gazety pełne marksizmu + wszelkiego Izmu
 kiełbasę zwykłą i flaki na polską kolację
 mężczyźni zdążali na komunię wieczorną do brudnych knajp
 dzieci wychowywały się na ulicy i karuzeli za ostatnie grosze
 wyrostki wachały przyszłość obiecywaną dobrobytem w tri
 na ulicy kaleka rozstał się ze sobą pod tramwajem
 czekaliśmy z obrzydzeniem na karetkę pogotowia
 z siłą wieku średniego bezsilnie śmieliśmy się z losu garbatego
 przecięty z garbem wyglądał wyjątkowo malowniczo
 jak surrealistyczny ptak lub powstaniec wszystkich powstań
 okopaliśmy ich nie jednym opluciem w historii
 nie byliśmy przygotowani do takiego zmartwychwstania faktów
 zaskoczeni dyrygenturą zaskoczeni szlachetną walką o ruch idei
 nie wiedzieliśmy co nam podano do picia
 zrobiło się nam gorąco i zimno jasno i ciemno
 ruszyliśmy pierwsi by wielu zaskoczyć za plecami
 by nie być więcej zaskoczonymi szlachetnym
 cieniem opiekunów

paru ekspertów od piękna penetrowało ogrody naszych czaszek
 lancetem otwierało zdanie po zdaniu w mózgu młodego poety
 rozpoczynała się któraś z rzędu lekcja języka polskiego pod ścisłym
 nadzorem wybitnie wybijającej kadry wybijającej utopię z pogłowia
 nowa fala ale stara orkiestra
 trudno teraz będzie dobić parę zdań w mowie dorodnej
 gdzieś mknął Biały Daniel rodnej Słowiańszczyzny
 wygnańcy ojczyzny tworzyli na obcych ładach arcydzieła
 siedzieliśmy całą okrągłą dobę

myśląc w milczeniu o powrocie o wolności Reja
 niestety - mówiliśmy o sztuce kulturze sensie życia poetyce
 obracały się wskazówki "wostoków" leciały słowa na ukryte taśmy
 -wszech i z osobna ingiwilowano -
 przeglądano naszą defiladę słów by móc różliczyć
 sympozjon poetyckiej szczerości już tym razem poza nami
 niech mówią czego oczekują... a my to załatwimy odpowiednio
 niektórzy przepowiadali pogrom młodej Polski

dostarczano środki podniecające i porcje szczęścia aż oczy ślepy
 niektórzy elegancko przyjęli awanse banknoty telefony fotole
 zaczął mną trząść deliryczny śmiech
 paru brało nie mniej dostojnie wyroki skazujące na białe milczenie
 niektórych uczył rozsądek żołądka - pojawił się transparent
 "tworzenie poezji jest nieekonomicznym zajęciem"
 przez megafony zapowiedziano międzypokoleniowy wieczór taneczny

butwiały wargi na pniu żywego języka
 paru pokornie odchodziło w ciszę i deszcze
 trzeba praktyki serc by móc dostąpić łaski świętych
 i męczenników kierujących odwiecznym postępem gatunku
 - - - Białe Daniel mknął już poza nami tropem Prawdy

apostoł objawiał na porannym apelu nowe zarządzenie
 że jesteście od urodzenia zwycięską młodą awangardą optymizmu
 nowy katalog zwycięstw obowiązywał nas od godziny 8.32 rano
 czasu europejskiego

na drugi dzień wybierano książąt nowej dynastii poetyckiej
 na drugi dzień z książek wyciekała krew - po twarzy paru poetów ścieka-
 ła gęsta plwocina wyrzygiwanych oskarżeń za to że śmieli być murem co
 prawd tu nie kryje... tak wciąż byli pohańbieni jak sam Salwador Nor-
 wid... Poeta z Dalekiego Miasta powiedział - na miejscu młodych poetów
 miejscu wysokim cokolwiek sądzi pokolenie wolałbym nie mówić że ziemia
 jest snem wariata bajką niemądrą pełną wrzasku i furii... cytująca
 miała dodatkowe kłopoty za czytanie poezji

kto był wirtuozem mowy porastał naszymi oczach białą szadzią
 siwy wilk mknął bo nie od apostoła i nie od nowej dynastii był los mu
 d a n y - wył przez nich GŁOS by glob miał inny tor i abyś ty nie
 wbijał salwy w TO co wnuk będzie kiedyś po nas tworząc przeformowywał
 - - - Białe Daniel szedł ku morzu i całą przestrzenią był lotny

na trzeci dzień okazało się że byliśmy odważni gotowi do łask i orderów
 pluliśmy na przełaj w twarz ktokolwiek to był żywym czy umarłym
 - - - jedzenia było w bród nikt z nas nie płacił krwią
 walczone by nikt nie stał się tym razem poetą
 prawość i człowieczeństwo wpisano w przestępstwo
 kto z kim kto za kogo i o co - nikt nie wie do dziś
 strzelano z wbitym heroiną awangardy do każdego wersetu i mowy
 drząc by biała gołębicą nie wyfrunęła komuś z warg
 apostoł żął rękami poetów i krytyków
 w wieku lat 30-tu mówiliśmy do magnetofonu o sumieniu młodej poezji
 języku kulturze wierząc że wybrał nas Marks Budda Lenin i Kowalska
 wiersz miał być czerwony zielony polityczny realistyczny optymistyczny
 zdrowym jak margaryna co ciężyną naszego narodu
 padalec wył natchniony: jesteście wysłannikami Pogaza i brał 500 złotych
 za wybór pierwszego lepszego z nas do prania za metafizykę
 dekadentyzm pesymizm utopię wyobraźnię tysiącletnią
 Jaś krwawy filozof pisał raport skazujący każdego
 kto myślał w języku polskim - JEDEN NIE wytrzymał zabawy
 popełnił samobójstwo

- a jednak -

ziemia pod stopami nie stała się tu nigdy burdelem otwartym bez dna
 ktoś chciał wargami zmyć urągającą plwocinę rzygowin... Weronika
 z białą chustą została posądzona o schizofrenię
 a jednak ktoś położył ręce na otwartym sercu człowieka
 ktoś wypruwał z siebie wiersz i nie krył tego że umiera cały
 kto się w mowie oddał wolności nie ubywał w zagładę
 odwróciła się kartka czyjejs krwi na drugą stronę czasu
 nie było złego lęku - nie było wiary w zbawienie nożem
 krew pokrywała się krwią najtrudniejszej wiary na globie
 kwitły wersety bo kwitły niepotrzebne ojczyźnie groby
 każdy jest dziś umieraniem choć nie w śmierci tragedia
 lecz tym co z niej pozostaje owocem dla drugich

obok jakaś kobieta woła: Panie przybądź i sądz sprawiedliwie
 wiele stało się z nas samych niepotrzebnych zbrodni

wyszliśmy z bunkrów młodości na powierzchnię ziemi
 staliśmy się współwinnymi w czasie ofiary samych siebie
 - - - jedzenia było w bród nikt nie chciał płacić za siebie?
 sympozjon alkoholowej szczerości dobiegał do końca
 książki puchły od wrogów i przyjaciół
 nasze kartoteki zachodziły w cięższe donosów
 klęcząc w kałuży ktoś wyciągał wdeptane maszynopisy
 litery zrastały się w białe upierzenie hostii
 Panie, który dzielisz, ujmujesz i odbierasz ujmij bólu
 daj wytrzymałość Tamtemu gdy zapukają po raz pierwszy nocą
 i nie ostatni jak uczy nas rzeczywista historia ojców
 połóż moją rękę na nim niech po niej uderzą - młody poeta
 pieśnią przecież od krwi mojej droższy
 - mknij nami Biały Danielu... pędź podwójną siłą ku jasności człowieczej
 za dużo wieków za dużo ofiary za dużo życia by z w a t p i ć
 co człowiecze i Boże

ze wzgórza apostoł prowadził na próg znanej powszechnie kaplicy
 było to jasne pomieszczenie z nowoczesnym sprzętem i aparaturą
 raptem zawył - biały kruk! między nami stał się ptak...
 zatrzepotał i przeniknął mury ku ulicy
 i nowym linom wysokiego Napięcia
 zaczęto rozbierać do wagi
 by można lekko wejść w średniowiecze na haku
 opadały wzdłuż ciąż zmęczonych złudzenia
 sympozjon obiektywnej szczerości dobiegał definitywnie do końca
 - postanowiłam tym razem zapłacić własną krwią
 myśląc że może za tą cenę komuś uda się choć jeden wiersz Życia
 śniłam wam wiersz który przenikałby kamienne ściany więzień
 - - - sypało się ziarno przez nos przez krtań

żyzna jest moja ziemia ojczysta
 jak ojcowizna ciężka polszczyzna
 nikt jej tu niczego nie szkodował
 godna była tego! - uwierzcie w prawość!
 ziarnko do ziarnka znów wiersz a ciała przymiarka
 najszczerzej - dobrze mi w deskach i do twarzy!
 śmierć jest zawsze arcy-wykrojona ciała z gliny
 Panie krojczy - proszę dalej fastrygować!
 Byłam w n i e j raz - bezbolesna! Amen!

Witold WIRPSZA

A jednak: zwada pokoleniowa

1.

Czyniąc w imię czynienia sprawiedliwości, poczyniono wiele zła. Być może, w imię czynienia niesprawiedliwości da się uczynić coś dobrego. Nie wierzę zresztą, by pisarz pisząc o pisarzu mógł postępować sprawiedliwie, choćby nawet chciał: jest zbyt subiektywny, bo wchodzi do zawsze sobie obcego świata; nawet wówczas, kiedy wchodzi do świata historycznego, ponieważ pisząc, powiedzmy, o Goethem, w istocie pisze o sobie; właśnie Goethe o tym wiedział: "... ein Teil jener Kraft, die stets das Böse will und stets Gute schafft" - to cytata, który wielokroć świechtano, ale który wyświechtac się nie dał.

Więc będę niesprawiedliwy wobec Mikosza. Będę udawał, że nie wiem, o co mu chodzi, choćby wiedział albo się domyślał. Będę mu przypisywał pomyslenia, których chyba nie pomyślał lub nawet nie mógł pomyśleć, albo i nie chciał. Będę wrywał, co niegodne, wiem o tym, zdania z kontekstu i wykladał je z największą dla mnie, nie dla niego korzyścią. Jestem pewny, że Mikosz to wytrzyma, bo od tego jest, żeby wiele wytrzymał; i tak może z mojej niesprawiedliwości coś dobrego wyniknie.

2.

Fascynował mnie Mikosz od młodości, ale nie jak ktoś bliski, lecz jako ktoś - jako jaki ktoś? Obcy, to niewłaściwe słowo; dziwny, to niewłaściwe słowo; niepojęty, to niewłaściwe słowo, bo pojęty właśnie; daleki, słowo niewłaściwe, ponieważ zbliżenie z jego poezją przychodziło mi zazwyczaj fortunnie. Powiedziałbym: przybył na moją wyspę /a w moim odczuciu moja wyspa to ład stały, choć wiem, że to wyspa tylko/ czarownik z innej wyspy i po swojemu zaczął zamawiać i odmawiać ku mojemu największemu osłupieniu - że tak też można; a jak to mianowicie można? Muzyka wpada mi do ucha, choć gama odmienna; może to to właśnie: inna gama, czyli inne pochodny harmoniczne.

Zacznijmy od nazwiska, które noszę i które jest mylące. Mogłoby się wydawać, że przez nie jestem związany z tradycjami W.X. Litewskiego; ale tak nie jest, bo nie się urwała. Mój ojciec jeszcze późne dzieciństwo spędził w majątku mego dziada /Baranowicze/ pod Bobrujskiem, ale już mając lat kilkanaście znalazł się w Odessie i wszedł w kosmopolityczny klimat tego miasta. Ożenił się z Greczynką, która tam się była urodziła i wychowała, matka zaś jej pochodziła z rodziny hugonockiej i wniosła do domu kalwińską surowość. Ja z kolei dzieciństwo spędziłem w Gdańsku, do gimnazjum chodziłem w Gdyni, czyli od Gdańska o miedzę i dzisiaj wiem, że częścią mojej osobowości stała się hanzeatyckość, jako że do najścia hitlerowców Gdańsk wciąż miał hanzeatyckie cechy. Wczesne bardzo zapisy mojej pamięci, to bujne wzrokowo i słuchowo barokowe organy w katedrze katolickiej w Oliwie i majestatyczny, w mroku Kościoła Mariackiego /protestanckiego/ wiszący Sąd Ostateczny Memlinga /później dowiedziałem się, że znalazł się w Gdańsku drogą kaperskiego rozboju/. - Oto pierwszy powód, dla którego wobec Mikosza muszę być niesprawiedliwy i niełojalny.

Drugi byłby taki: kształcenie się; nie mówię o szkolnym. Studiowałem zresztą również, jak Mikosz, prawo, lecz mniejsza z tym. Lektury moje za młodu bywały i filozoficzne, i wtedy już nabrałem predylekcji i idiosynkrazji. Hegel mnie odstręczał, zwłaszcza w jego estetyce widziałem pedantycznie szufładkującą biurokrację mentalną, która miała służyć hierarchizowaniu sztuk po to, aby na szczycie piramidy umieścić poezję, a dla czego, tego nigdy nie mogłem zrozumieć; Schopenhauer już był mi tu lepszy, choć wadził mi jego srogi determinizm; na wierzchołku hierarchii artystycznej umieścił muzykę, a ta mnie już za dzieciństwa wtajemniczyła w świat jadowitych dekoktów tudzież w przewrotną kombinatorykę i kalkulację sztuki; no i Kant: zachwyciło mnie, że sumienie nazwał imperatywem kategorycznym, istniejącym w poszczególnej osobie na zasadzie samostanowienia - i że sztukę nazwał swobodną grą władz poznawczych; w czym wtórował mu Schiller powiadając, że sztuka to swobodne ukazywanie się postaci /Gestalt - a więc i formy/.

Ukąszenia Heglowskiego nie doznałem tedy nigdy.

Sądzę, że moje pokolenie, w przeciwieństwie do poprzedniego, tego ukąszenia w zasadzie nigdy nie doznało; a to jest usprawiedliwienie moich zamierzonych niesprawiedliwości.

3.

Zacznę od małej potyczki na dobrze mi znanym klepisku przekładowym. Miłosz opowiada o trudnościach, jakie napotkał przy tłumaczeniu następującego wersu Baudelaire'a:

Nous avons dit souvent d'imperissables choses.

Daje dwa warianty swego przekładu:

Słowo padało nieraz, co trwa i nie tonie.

oraz

Słowa, które nie gina mówiliśmy sobie.

Nie mam pod ręką oryginału francuskiego i nie mogę powiedzieć, jak przytoczony wers funkcjonuje w strofie francuskiej. Jeśli zlekceważyć okoliczność, o której mówi Miłosz, że mianowicie chodzi także o rym /balkonie-sobie i balkonie-tonie/, a zlekceważyć można dlatego, że przecież da się przerobić wiersz drugi w strofie, aby go dostosować do czwartego; więc jeśli tę okoliczność zlekceważyć, to wolno zaproponować:

Mówiliśmy nierządno niezmożone rzeczy.

Uratowane tak są "des choses", które znaczą jednak coś innego, niż Miłoszowe "słowa"; skądinaś "rzeczy" zbliżają się do "słów", ponieważ w nieco starszej polszczyźnie "rzecz" znaczy również "przemówienie". Ale i rym do "balkonie" da się przez odwrócenie uratować:

Mówiliśmy nierządno rzeczy niezmożone.

Przyznam się, że mi się ta inwersja nie podoba, choć nie potrafię ściśle powiedzieć, co mnie w niej wadzi; chyba patos aliteracyjny, który w tym drugim wariacie wybija się nazbyt już natrętnie. Gdybym się jednak miał męczyć z wersem drugim w strofie, machnąłbym zapewne ręką.

Nie chcę bynajmniej czepiać się. Być może chodzi o blachostkę, choć Miłosz mówi, że oddał do druku tekst "nieodczesany"; zdarza się każdemu. Mój wszelako komentarz do tej blachostki wcale blachym nie będzie, zarysowuje się tu bowiem różnica między pokoleniami.

"nie ginie", "nie tonie". To, co tonie i to, co ginie znika w jakiś szczególnie melancholijny sposób i nie wątpię, że Miłosz odczuł "imperissable" Baudelaire'a jako zaprzeczenie melancholii, tkwiącej dla niego w "perir". W moim natomiast odczuciu przedrostek im- nie oznacza samego tylko zaprzeczenia, ale stwarza jakościowo inną sytuację emocjonalną, przez fonię przechodząc do retoryki triumfalnej; stąd moje "rzeczy niezmożone". Czyli że dla mnie nie taki to znowu banał, ten wers, jak dla Miłosza: w tym "imperissable" pobrzmiwa mi i nieskończoność, i niezwykłość; nie mogę się dopatrzeć zmagania ze smutkiem przemijania, pozostałość po dziewiętnastowiecznych spleenach, kołające się jeszcze w psychice wielu autorów /polskich i niepolskich/ poprzedzającego mnie pokolenia. Moi rówieśnicy literaccy takich spleenów już chyba nie przeżywają; przeżywają, co mają do przeżycia, raczej w dramatycznych napięciach.

- Z mego osobistego podwórka kamyzek: różnica jeszcze możliwa jest taka, jak między kościołem św. Anny w Wilnie a Kościołem Mariackim w Gdańsku; myślę o przedwojennym kształcie tych budowli.

4.

Następna utarczka. Pisze Miłosz:

"Prawda jest jego /języka/ higieną. Natomiast słowa dziwujące się słowom /a to cytat z Mickiewicza, chętnie powtarzany przez Przybosa, podobnie jak potrząsanie nowości kwiatem - W.W./, zdania pokazujące zdaniom "zyg-zyg marchewozka", ironiczne zabawy poetów-lingwistów, parodia, persyflaż mogą mieć zalety tylko tam, gdzie kanon językowy jest niewzruszony".

Higieną języka jest prawda. A jeśli powiem: nie wiem, co jest higieną języka; nie jestem pewien, czy język potrzebuje higieny właśnie; język, a ściślej twór językowy, potrzebuje nade wszystko dyscypliny, poezja potrzebuje języka kwalifikowanego, tak jak go potrzebuje w swoim systemie znaków muzyka lub matematyka, przy czym, jak wiemy, systemy te mogą być bardzo indywidualne; inaczej, tj. bez języka kwalifikowanego, będziemy mieli pop-art. Barbarella t y ż bywa najczęściej higienicznie umyta.

Prawda, czyli zagadnienie mimesis; mimesis, czyli zagadnienie realizmu; realizm, czyli zagadnienie determinizmu; determinizm, czyli /znowu!/ uką-

szenie Hegłowskie, po którym jednak, jak widać, bliźny pozostają. Mimesis bowiem, tak jak rozumiem, że Miłosz mimesis w "Ogrodzie nauk" rozumie, oznacza określony stosunek poety do rzeczywistości od poety zewnętrznej i jego chociaż lub niechcianą zależność od niej. Od razu więc znajdujemy się w obrębie centralnej problematyki Hegla: przedmiot - podmiot; przy czym to, co przedmiotowe, powinno być dla podmiotu rzeczywiste; sprawą pisarza jest /przy założeniu praktyki mimesis/ uzależnienie się od obiektywnej rzeczywistości. A jeśli powiem: nie potrafię rozróżnić między podmiotem a przedmiotem; między wnętrzem i zewnątrz; wszystko, co się dzieje w mojej głowie /i w innych głowach/ jest równie rzeczywiste jak to, co się dzieje poza tą nieszczęśliwą głową; w mojej głowie /czyli w mojej wyobraźni oraz w układzie wchłaniającym, przerabiającym i porządkującym/ odbywa się uzależnienie tego, co ze świata zewnętrznego zaczerpnąłem: wszystko to jest surowcem, z którego coś dopiero w języku przeze mnie wykwalifikowanym należy sformułować, o sformułowanym zaś powiadomić; sformułowanie i powiadomienie jest w znacznym stopniu samowolne /swobodne/. Oczywiście, znowu Kant z jego swobodną grą władz poznawczych; ale i Wittgenstein: "Prawidła gramatyczne są w tym samym sensie samowolne, co wybór jednostki pomiarowej"; tudzież: "Analogia między gramatyką a grą". /1/ A determinizm? John von Neumann: "Nie mamy dziś żadnej po temu okazji ani żadnego uzasadnienia, aby mówić o przyczynowości, jako że doświadczenia makroskopowe zasadniczo się do tego nie nadają i jedynie znana teoria, która zgodna jest z naszymi doświadczeniami w dziedzinie procesów elementarnych, jest z nią sprzeczna" /2/. Tak to w trzeźwej fizyko-matematyce. O mniejszym trzeźwym obszarze nauk humanistycznych powiedział kiedyś Kołakowski z prywatnej okazji, że historia to szereg cudów; dodać by można, że dzieje sztuki to w ostatecznym rozrachunku szereg ludycznych aktów samowoli. - Innymi słowami i reasumując ten akapit: poprzedzające mnie pokolenie /Gombrowicza i Miłosza/ uważało za oczywiste, że istotne napięcie dramatu człowieczego przebiega w relacji podmiot-przedmiot; rówieśnicy moi, a także i młodszy ode mnie widzą dramat w relacji podmiot-podmiot, wewnątrz-wewnątrz, ponieważ prawo moralne /imperatyw kategoryczny/ we mnie, a więc i w innym. Tę cechę mojego pokolenia da się nieźle prześledzić analizując twórczość Różewicza, Szymborskiej, Karpowicza czy Białoszewskiego.

Ironiczne zabawy poetów-lingwistów. Wszystko tu zależy od definicji ironii i zabawy /gry antropologicznej/ oraz określenia, kim to ci nieszczęśliwi poeci-lingwiści właściwie są.

Zwrot "lingwizm w poezji" czy określenie podobne pojawił się po raz pierwszy bodajże u Janusza Sławińskiego, który do poetów-lingwistów przypisał Miłona Białoszewskiego, Zbigniewa Bienkowskiego i Tymoteusza Karpowicza. Czytając przed laty Sławińskiego odniosłem wrażenie, że Sławiński chciał wykazać istnienie ciągłości między awangardą krakowską /Peiperem i Przybosiem/ a tym, co nazwał lingwizmem; jeśli to wrażenie moje jest słuszne, to chyba Sławiński się pomylił, przynajmniej co do Przybosia: nikt z owych trzech lingwistów tak naprawdę w swej praktyce poetyckiej u Przybosia nauk nie pobierał; z Peiperem sprawa jest nieco inna i bardziej zagmatwana. Po Sławińskim o lingwistach pisał Stanisław Barańczak; zaliczył do nich Białoszewskiego, Karpowicza, Balcerzana i mnie, wyrzucił więc Bienkowskiego i dodał dwóch innych. O ile analiza Sławińskiego posiada wielkie walory teoretyczno-literackie, o tyle wywody Barańczaka włączone do jego książki-manifestu noszą także i znamiona jawnej agitacji pro: "Może to wyglądać na twierdzenie zbyt dowolne, ale powiem szczerze; gdybym miał wskazać książki, które stanowią w obrębie naszej literatury ostatnich lat najdobitniejsze ostrzeżenie przed faszyzmem i najwnikliwszą analizę jego istoty - wskazałbym na tomy poetów-'lingwistów'" /3/. - Nieporozumień wokół lingwizmu jest zresztą co niemiara. Nie tak dawno w Londynie, podczas przyznawania nagrody literackiej "Wiadomości" Stanisław Baliński chwalił za całkowitą obcość wobec lingwizmu... Barańczaka właśnie, któremu tę nagrodę przyznano. Osobiście sam termin nie uważam za zbyt szczęśliwy.

Zamierzona nonszalancja w orzeczeniu Miłosza cytowanym na początku rozdziału wynika ze splątania nieporozumień. Przede wszystkim już dlatego, że użył słowa "zabawa" zamiast przystającego do rzeczy słowa "gra" /Auden powiedział kiedyś w publicznej dyskusji, że wie o tym, że poezja jest grą, ale jest to gra święta/. Rozgrywka zaś toczy się o wysoką stawkę: o odkłamanie języka, o

demaskowanie i kompromitację urzędowego kanonu języka, który to kanon jest deprawacją kanonu mowy wysokej takiej, jaką deprawatorzy ją zastali, gdy zabrali się do instrumentalnego jej deprawowania; a więc i ów kanon trzeba było "dutkanąć", aby zobaczyć, co w nim dla deprawacji podatnego. Czyli żadne to baraszkowanie i igranie, żadne słowiarstwo i wydziwianie. - Ponadto jeszcze: ironia. Ba, ale ironia ironii niepodobna i mechanizmem swoim i funkcją. Z trzech istniejących dziś form ironii - oświeceniowej, romantycznej i pośredniczącej /Mannowskiej/ - Miłosz wybrał pierwszą /Linde: wyrażenie rzeczy przeciwnymi słowy/ i uznał, że spełnia, wraz z parodią i persyflażem, rolę zabawowego powoju. Na miłosierdzie: wokół jakiego dębu okręca się Karpowicz, wokół jakiego wiązu Białoszewski, co persyfluje jeden, a co parodiuje drugi? Przecież to, co oni robią, nie jest nawet parafrazą. Ironia tej części mego pokolenia oscyluje między Byronem a Mannem, a są to pisarze, znający swoje serio. Dodać jeszcze trzeba, że, jak to Johan Huizinga wykazał, przeciwstawienie "zabawa /gra/ - powaga" jest przeciwstawieniem antropologicznie mylnym; i moje pokolenie w istocie nie rozróżnia między grą a powagą.

I znowu mamy do czynienia z przeciwstawnością generacyjną, ze zwadą pokoleń, która zresztą do tej pory nie została rozegrana do końca. Tu nie o higienę chodzi; może o różne rozumienie dyscypliny poezji, o różne reguły gry. Ale najpewniej chodzi o to, że pokolenie 1910 rozróżnia dokładnie między mową wysoką a niską, podczas kiedy pokolenie 1920 tego rozróżnienia nie bierze serio; serio umiejscawia gdzie indziej. Gdzie? - O tym mowa dalej.

5.

I raptem w czasie lektury coś, z czym wewnętrznym pogodzić się nie mogę; to coś jest ze strony Miłosza bardzo mocne, powiedziane z przekonaniem i siłą sugestywną: wyznanie, że znalazł do dziś obowiązujący kanon polszczyzny. Posłuchajmy: "Język był przez nich /tj. przez ludzi Oświecenia - W.W./ oczyszczony i reformowany, powstawała trzecia polszczyzna /po średniowiecznej i renesansowej - W.W./, prawdopodobnie jedyna /podkr. moje - W.W./, jaka do dziś obiecuje "ustawienie głosu". Ta trzecia polszczyzna to Krasicki, Trembacki, Fredro, Mickiewicz - ale już nie Słowacki, iż penością nie Norwid". Nie pierwszy to raz w eseistyce polskiej tak się o Mickiewiczu mówi, dając mu rangę najwyższą; dzieje się to samo przez się, rozumie się to samo przez się; nie ma sporu, nie ma polemiki; oczywistość. - Czyżby?

Według mojego gustu najlepsze, co Mickiewicz napisał, to "Ustęp" trzeciej części "Dziadów", może dlatego, że najmniej w nim baroku, choć nawet i tam da się go znaleźć: parada wojskowa ma w sobie coś z barokowego festynu, a nawet z tańca śmierci. O ileż więcej jest tego w "Panu Tadeuszu": cytacje z księdza Baki, saska porcelana /raczej zresztą Rokoko/, opisy biesiadowania, pierwiastki gawędy; a w "Bitwie" mamy znowu taniec śmierci. Na surowość i prozajmy Mickiewicz nigdy sobie nie pozwala, podczas kiedy np. dwa pierwsze wersy "Bieniowskiego" /"Za panowania króla Stanisława/ mieszkał ubogi szlachcic na Podolu"/ mogłyby się znaleźć w notatce dziennikarskiej, zaś "Sowiński na okopach Woli" to niemal klarowna i energiczna proza, a że jest to poezja, zasługuje to organizacji dźwięku i rytmu, równej siłą Mozartowskiej. I jeśli się przyjrzymy bliżej tym i podobnym wyimkom z twórczości Słowackiego, okazać się może, iż bliższe to współczesnej polszczyźnie, niż bujność Mickiewiczowska; i więcej: z tego wywodzi się także polszczyzna Miłoszowa, która, czy tego Miłosz chce czy nie chce, do kanonu języka dzisiaj przynależy, a o czym Miłosz napisać zaniedbał. Czyżby to była polszczyzna czwarta? - O tym za chwilę.

Z pewnością nie Norwid? - Bo co? - Norwid był pierwszym w Polsce poetą, a w Europie jednym z nielicznych po Goethem, który organizował w swoich utworach nie tylko obraz i nastrój, rytm i dźwięk, ale także, i to nade wszystko: myśl, nierzadko wręcz myśl spekulatywną. Przed Norwidem stanęło czy też Norwid je przed sobą postawił /jedno drugiego nie wyklucza/ zadanie nowe, jakie dotychczas przed poezją polską, więc i przed jej językiem, nie stawało; stąd "dziwność" jego mowy: jako wynik jego dla tych nowych zadań kreacji ex nihilo. Jarosław Marek Rymkiewicz /4/ pisze, że zarówno Mickiewicz, jak Słowacki i Norwid zdawali sobie sprawę z kryzysu, w jakim znalazła się polszczyzna: Mickiewicz z tą świadomością przestał pisać, Słowacki i Norwid usiłowali tę

"trzecia polszczyznę" wywieść z impasu. Teza, czy raczej supozycja, jeśli nawet mylna, to niezwykle zapładniająca. Bo oto jednak coś się potem działo, coś, co doprowadziło w reakcji na ustalony już, zdawałoby się, w języku /mo- wie wysokiej/ Jastruna, Miłosza i Przybosia /tak jest, wsadzam ich do jedne- go worka/ kanon - do języka poetyckiego Różewicza i Karpowicza, gdzie zatarta została różnica między tradycyjną ekspresją a językiem powiadomienia i dys- kursu. Źródła tego zjawiska należy szukać właśnie u Słowackiego i Norwida; a powiedziałbym, że i u Miłosza, choćby się odżegnywał.

Jeszcze jeden poeta polski, obok Miłosza i Rymkiewicza, wyczuł, że na Mickiewiczu coś się kończy; to Ważyk, który w latach pięćdziesiątych wysunął w rozprawie "Mickiewicz a wersyfikacja narodowa" twierdzenie, które, wulgary- zując, powiadało, że z Mickiewiczem wersyfikacja polska osiągnęła swoje apo- geum i zrywał się na Słowackiego, że kanon ten przełamuje. Ważyk wychodzi z założenia, że istnieje "naturalna" prozodia polszczyzny, która dobrze się czuje w wierszu sylabicznym i jeszcze w tonicznym; wychodzenie poza te dwa rodzaje wersyfikacji, zwłaszcza zaś sięganie do sylabotoniki, prowadzi do de- prawacji naturalnego toku języka. Nawiasem mówiąc, ten "zakaz" Ważyka, sformu- łowany w okresie głębokiego stalinizmu i zmierzający do ustanowienia poety- ki normatywnej, miał być zarazem barierą nie dopuszczającą do importu sylabo- toniki z Rosji. Oczywiście, sylabotonika czy niesylabotonika: ważne jest, że według Ważyka dzieło Mickiewicza coś ustala i kanonizuje. - A jeśli powiem: nie ustala i nie kanonizuje, tylko zamyka pewien okres rozwojowy? I to zamy- ka tak, że potem tak już się pisać nie da?

Chyba już Norwid podobną rzecz powiedział; oto dwa wersy w "Pamiętniku": "że byłem /w piekle - W.W./? Tomów dwunastu na dowód?/ Pisać?... sił nie mam, bo myśl mnie udławia;" Dwanaście tomów to niewątpliwie dwanaście ksiąg "Pana Tadeusza", co do tego zgodni są nawet szkolarze. Ale "myśl mnie udławia"? Myśl o piekle czy myśl o pisaniu dwunastu tomów w określonej konwencji? A jeśli wyłożę: "ył o pisaniu dwunastu tomów w określonej konwencji jest pie- kłem"? Bo jeśli tak powiem, to uprawniony jestem powiedzieć: pod pewnym wzglę- dem Sopicówó jest piekłem.

Chyba jednak jest tak, że Miłoszowa trzecia polszczyzna na Mickiewiczu się kończy. A przynajmniej jest tak, że dla generacji Miłosza jakoś tam trze- cia polszczyzna jeszcze zdaje się funkcjonować; dla mojego pokolenia stanowi ona co prawda tradycję "głębką", ale nie bezpośrednią i nie obowiązującą kategorycznie.

6.

Tradycja to tak; wyliczam: języka, myśli, stylu, słowa; i tu : nawet po- jedynczego słowa, wtedy zwłaszcza, kiedy pojedyncze słowo ma swoją głębię hi- storyczną i indywidualną, swoje trwanie, swój upór.

Roztrząsając katechizmowe grzechy główne, Miłosz powiada: "Nieczystość zamiast luxuria. To chyba ma coś wspólnego z niemyciem się? Z dotykaniem miejsc nieskromnych? Ale łaciński wyraz oznaczał bujność, płodność, obfitość /.../ przepych i rozpustę. Francuskie luxure coś z tych znaczeń zachowało, choć oznacza tyle, co polska rozwiązłość; i rozwiązłość, nie nieczystość by- łaby lepszym polskim odpowiednikiem. /.../ Nieczystość natomiast zdaje się być po prostu przekładem z niemieckiego Unkeuschheit". - Całego akapitu nie przepisałem, wybrałem sobie kawałki dla mnie, w imię niesprawiedliwości, wy- godne, pamiętając wszakże, iż Miłoszowi o zacne rzeczy chodzi.

Przymiotnik nieczysty nosi w sobie zapach siarki. Siła nieczysta, duch nieczysty, myśl nieczysta, nieczyste sumienie, a nawet świeckie Nieczyste sprawy, pachnące nie tyle siarką, co kryminałem. Czy można sobie językowo wy- obrazić siłę nieumytą, dotykającą miejsc nieskromnych, ducha brudnego, także myśl i także sumienie, moce rozpustne? Na rozwiązłe sprawy dałoby się je- szcze zgodzić, byłaby to, powiedzmy, orgietka; ani rozwiązłość bowiem, ani rozpusta siarką nie zajeżdżają, co najwyżej wodą kwiatową. Nieczysty nato- miast; raczej powiedzmy bez przeczącego przedrostka: czysty? Przecież funk- cjonuje cnota czystości, nie cnota mycia się. Ale więcej jeszcze; ów czysty, to przecież niemieckie keusch, francuskie chaste, łacińskie castus /castus Joseph/, greckie katharos, sanskryckie cāsti; mamy tu więc do czynienia z jednym z nielicznych słów indoeuropejskich, mających tak niebywałą głębię

historyczno-etymologiczną; kilka to jednak tysięcy lat. Optuję za nieczystością.

Może tu też zarysowuje się jedna jeszcze różnica pomiędzy ustanowioną ostatecznie półtora wieku temu trzecią polszczyzną a rozwijającą się powoli od tychże stu pięćdziesięciu lat polszczyzną czwartą: jako że u tej ostatniej widzimy większą wrażliwość na wielorakie sensy i jednorakie korzenie jednego słowa /i przez to właśnie różnice między słowami/, niżli to było w trzeciej; a dałoby się to utwierdzić cytataami z Norwida, który tę sprawę tak naprawdę zaczął. - Co do mnie, hanseaty, to śmiem powiedzieć /audeo dicere/: żargony kupieckie i kaperskie, pozornie z gruba ciosane, ważyły słowo dokładnie - we-dle złota i żywota.

7.

Wiem, bo i zapowiedziałem: jestem wobec Miłosza niesprawiedliwy; także i dlatego, że nie omówiłem całej książki, choć tego warta, bo piękności i ja-dowitości tam wiele. Ale nie mogłem: skądże mi choćby do Swedenborga, którego znam z wypisów zaledwie że szkolnych; choćby do hebrajszczyzny psalmów i sta-nięcia w szranki z Kochanowskim. Pamiętam, że moje pokolenie w latach czter-dziesiątych nazywane było przez starszych pokoleniem barbarzyńców; wyzywano nas wówczas od Eluardów w butach z cholewami; przeciwstawiano nas, którzyśmy oca-leli od rzezi /Różewicza, Woroszyńskiego/ tym, co polegli /Baczyńskiego, tkwią-cemu jeszcze, bo jeszcze w trzeciej polszczyźnie/; Przyboś ukuł termin turpizm, utyskując na młodszych, ale i nie rozróżniając między tym, co piękne, a tym, co ładne /to noerozróżnienie jest właściwością trzeciej polszczyzny/. Nosząc więc na sobie owo piętno barbarzyńcy, ośmieliłem się tylko tam wdać w polemi-kę, gdzie moja niesprawiedliwość może nosić jeszcze pewne cechy ogłady. - Ale zwada pokoleń trwa - oby dla dobra polskiego piśmiennictwa.

Książka Miłosza jest piękna; miejscami niesprawiedliwa, chociaż Miłosz hanseatą nie jest.

- /1/ Ludwig Wittgenstein: Philosophische Grammatik, Frankfurt n.M., 1973.
- /2/ Cyt. za Werner Heisenberg: Physik und Philosophie, Frankfurt n.M. 1959.
- /3/ Stanisław Barańczak: Nieufni i zadufani, Wrocław, 1972.
- /4/ Jarosław Marek Rynkiewicz: Juliusz Słowacki pyta o godzinę. Twórczość 1979 nr 6.

Czesław Miłosz "Ogród nauk", Instytut Literacki, Paryż 1979, s. 256.

Antoni PAWLAK

OJCZYŻNA W SZUFLADZIE

"Kraj, który potrzebuje fabryk
nie potrzebuje poetów."

Poeci są równie bezproduktywni jak emeryci. Maleje ilość wytwarzanych le-ków, maleją przydziały papieru. Poeci nie mieszczą się w planach wydawniczych wypierani przez kilogramy propagandy. Wypierani są także ze szpalt pism kultu-ralnych. Ich miejsce zajmują komentarze polityczne. Ostatnio wzrasta wydaj-ność komentarzy z jednej szpalty. Poeci chcąc wydać swoje wiersze coraz częś-ciej czynią to poza instytucjami do tego powołanymi. Czasami powiernikami ich wierszy jest SZSP, czasami NOW-a.

A wszystko to dzieje się w Polsce, która jest ich Ojczyzną. Która jest

"bita po palcach
gwałcona zbiorowo i upokarzana
nasza mama
która już nawet nie krzyczy
przed tą egzekucją."

/"Ojczyzna"/

Taka sytuacja budzi zrozumiałą opór. Wynika on chociażby z zestawienia rzeczywistości z tym, co obiecywano nam ponad trzydzieści lat temu. Wtedy, gdy na nowo powstawała.

"Ówikaś mano, że będzie dom
a jest klatka
w domu wariatów -
wynajęty pokój"

/"Matka Ojczyzny"/

Jednak ten opór, to rozczarowanie istnieje tylko gdzieś w głębi nas. Nie jesteśmy na tyle silni, czy może na tyle zdeterminowani, by to zwerbalizować. A kiedy ktoś zaczyna nieostroźnie szeptać staramy się go uspokoić.

"Nie mówmy szeptem
nie usłyszysz nikt
jak będą kopać
i w twarz bić
tak -
za pokutę."

/"Nie mówmy szeptem"/

Szept może okazać się zbyt groźny. Usimy pamiętać, w jakich warunkach przyszło nam żyć.

"Skrwawiona pętla Rosji zaciska się wokół szyi
A my, siedzący w pierwszym rzędzie
Wołamy: brawo, brawo!"

/"Krzeseł"/

I tylko czasem coś w nas pęknie i brawa zmieniają się w autentyczny krzyk. Stajemy się inni.

"Płakaliśmy jak dzieci
krzyczeliśmy jak mężczyźni
milczeliśmy jak starcy

i radarowa stacja naszego serca
i radarowa stacja naszego serca
nadawała ten sygnał."

/"Sygnał"/

Stajemy się inni, ale tylko w wyniku sytuacji na tyle niecodziennej, że przekraczającej naszą zdolność pojmowania.

"Kiedy mrówka czołgu weszła nad grzbietem tłumu
zawołaliśmy
niech matki zasłonią swoje dzieci
w północnym kraju pod sztandarem dymu
tren śmierci oplatał tłum z nieruchomymi głowami
nad siną raną morza jak algi w ciele Yoryka
nad milczącą wnętrzością która zamarła tej nocy"

/"Delacroix 1970"/

Ale ów krzyk dobry jest tylko w warunkach ekstremalnych. Nie może stać się programem na co dzień. Powszedniość wymaga zupełnie innej postawy.

"bądź dobrym patriotą
i kup koniecznie na raty
czerwony męczeński bandaż
z rany tego kraju
bądź dobrym obywatelem
poddającej się twierdzy"

/"Śmierć przychodzi na palcach i
płatna jest z góry"/

Ci wszyscy, którzy wymagają od nas nieustannego napięcia zapominają o najważniejszym.

"Nie pamiętają o kubku
równie ważnym jak kości do gry
o moskiewskich drzwiach
pomazanych krwią upadłego Wołodii
o innych
wyprowadzonych nad wspólny dół
krzyczących już tylko

powietrza
powietrza

Nie pamiętają że śmierć
opakowana w płachtę
sloganu
jest śmiercią, przed którą życie
odwraca się zawstydzone
i dlatego mój język
nie jest językiem
politycznym"

/"Dlaczego mój język nie jest języ-
kiem politycznym"/

Czasami przychodzi ochota drastycznego przerwania zaciskającego się wokół
szyi gordyjskiego węzła. Jest taka chwila, że już się wie, jak tego dokonać.
Jak zły sen przypomina się Ulryka Wainhof.

"która jesteś pod ziemią
i widzisz więcej niż my -
czy ziemia zamyka usta,
czy nowe rodzi ziarno?"

/x x x/

Jednak to tylko sen. Sen o całkowitym zniszczeniu, o jedynej jeszcze możli-
wej rewolucji, o wylatującej nagle w powietrze rzeczywistości. Sen, bowiem
w tym kraju nikt już nie szuka radykalnych rozwiązań. Więcej: nikt już nie
szuka żadnych rozwiązań! Ani młodzi, ani, tym bardziej, ich ojcowie. Ci os-
tatni odcinają tylko kupony od przedwczorajszego heroizmu i za wszelką cenę
próbują dostosować się do teraźniejszości. Nawet za cenę zalepionych ust, za-
słoniętych oczu i zatkniętych uszu. I nam starają się zaszcześcić te idee.

"Bohaterowie są zmęczeni
bohaterowie nie strzelają
bohaterowie uczą synów
że kłamstwo zawsze jest
nad prawdą."

/"Bohaterowie są zmęczeni"/

Takie wzorce życiowe musiały na nas zaciążyć. Na naszych myślach i czynach.
Nic dziwnego, że, z przyzwyczajenia, chowamy głowy do wyładowanej piaskiem
szuflady.

"Moja młodość w szufladzie
Moje wiersze w szufladzie
/.../
Nasze łzy w szufladzie
nasza Ojczyzna w szufladzie
na wieczne nieotworzenie."

/"W szufladzie"/

I rzeczywiście! Ostateczną konsekwencją tworzenia "do szuflady" jest grzeba-
nie w niej cząstki kultury, cząstki Ojczyzny.

Ale nasze rozterki, nasze cierpienia, nasza niemoc musi przynieść jakieś
owoce. Musi, w ostateczności, wygrać. Nie wygra za naszą pomocą. My jesteśmy
straceni. Jedyna rzecz, jaka nam jeszcze pozostała, to

"od żywych odwrócić twarz
i patrzeć w tę wielką ciemność"

/"Piosenka umarłych"/

Nasza wygrana, to następcy. Zdrowsi o inną, może lepszą, młodość. Nie
obciążeni, czy może bardziej zdeterminowani. Ci, którzy muszą w końcu nadejść.

"Przyjdą inni - powiedzą to
czego myśmy powiedzieć nie mogli,
każda noc ma przecież swój świt,
każda rozpacz ma swoją nadzieję,
każda śmierć ten krzyk co ją skreśla,
każda łza ten las co ją wchłania,
każdy lęk ma przecież swój gniew

a milczenie niecierpliwy koniec."

/x x x/

Świat, który Stanisław Stabro przedstawia w tomie "Ten wiersz, który ma na imię Polska" nie napawa optymizmem. Lecz jest to świat prawdziwy i rzeczywistość tak ma na imię. Z autorem można najwyżej spełnić się co do pewnych szczegółów. Jednym z nich jest program wyłożony w ostatnim z cytowanych przez mnie wierszy. Wiara, że wszystko się samo jakoś ułoży, że w końcu mityczni następcy przyniosą na swych barkach dziejową sprawiedliwość jest tyle wygodna, co nieprawdziwa. Czy może raczej - złudna. I bardzo wielu ludzi doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wielu także poetów, których ten kraj nie potrzebuje, próbują się z narzuconą nam rzeczywistością mocować. A że często przypomina to nieporadne szamotanie niżli "ruszanie z posad bryły świata", to już zupełnie inna sprawa. Ponadto trudno zgodzić się z tezą, że nasze postępowanie, nasz język powinny być w jakimkolwiek stopniu determinowane istnieniem pomazanych krwią "moskiewskich drzwi". Jest to zresztą fobia chyba najczęściej spotykana w naszym społeczeństwie. I może dlatego należy tym ostrzej z nią walczyć. Zaciskająca się wokół naszych krtani "skrwawiona pętla Rosji" to chimera. To wybieg mający rozgrzeszyć naszą bierność. A nawet gdyby i nie była chimera, to jeszcze nie powód, aby stała się jednym z punktów odniesienia do naszego życia.

Ta świadomość istnienia różnic pomiędzy Polską Stanisława Stabry, a Polską rzeczywistą jest ważna, ale w zasadzie nie zmienia pewnego status quo. Bez względu na to, w którą z nich uwierzymy i tak pozostanie najsmutniejszym miejscem w Europie.

Kiedy w 1975 roku recenzowałem zbiór Stabry "Dzień twojego narodzenia", zatytułowałem recenzję "W przeddzień emigracji" /"Nowy Wyraz" 5-75/. Postawiłem tam tezę, iż Stanisław Stabro emigruje z Polski w historię i na zachód. Do takiego odczytania tomu uprawniały mnie zawarte w nim wiersze.

Znakomity tom, który mam w tej chwili przed sobą, zdaje się przeczyć mojemu dawnemu rozpoznaniu. Ale - jak sądzę - tylko pozornie. Dokładnie dwie trzecie omawianej książki to wiersze datowane w 1973 roku. Wiersze, które w większości nie ujrzały dotąd światła dziennego, nie wyszły poza szufladę. Stanisław Stabro bowiem wcale jeszcze nie wrócił z zagranicy. Jak znaczna część dobrowolnej emigracji hoduje w sobie sentyment do starego kraju. Ale fakt opublikowania ostatniego tomu świadczyć może o tym, że autor nosi się z zamiarem powrotu. Być może nastąpi to wkrótce, gdy skończy mu się paszport. Albo cierpliwość.

Antoni Pawlak

 Stanisław Stabro - "Ten wiersz, który ma na imię P o l s k a"
 SZSP Rada Uczelniana Uniwersytetu Wrocławskiego
 Materiały warsztatowe Koła Naukowego Polonistów
 Biblioteka AGORY tom XVIII
 Wrocław, grudzień 1978.

Edward DUSZA

"POMOST"

Pod koniec 1978 r. zaczął wychodzić w Chicago kwartalnik polonijny "Pomost", którego głównym celem jest z jednej strony informowanie Polaków w USA i Kanadzie o tym, co się dzieje w niezależnym ruchu społecznym w PRL, z drugiej - pomoc, również finansowa, krajowym ruchom demokratycznym. W ten sposób pismo to, coraz szerzej popularyzując zagadnienia związane z działalnością krajowych środowisk opozycyjnych już w chwili obecnej przyczyniło się do wzrostu zainteresowania wśród Polonii krajem pochodzenia i skupienia jej wokół wspólnego programu - koncentracji wysiłków na rzecz ożywienia idei demokratycznych w Polsce. "Pomost" stał się w ten sposób załączkiem ważnego ośrodka polskiej kultury na terenie Ameryki Północnej - inicjuje wiele akcji nie tylko popularyzacji, lecz również upowszechniania w środowiskach polonijnych niezależnej prasy krajowej. Zasadniczą cechą tego ruchu jest postawienie się poza wszelkimi grupami opozycji w kraju - wewnętrzne spory w tym ruchu mogą być bowiem rozwiązywane jedynie na miejscu. Wyrazem tej postawy są następujące słowa Waldemara J. Włodarczyka /"Pomost" nr 3/: "Najczęściej powtarzanym zarzutem pod adresem krajowej opozycji jest to, że grupuje "byłych komunistów" i że pomoc komunistom jakiegokolwiek odmiany jest sprzeczna z interesami Polonii. Zarzut ten jest próbą podważenia zaufania do niektórych działaczy krajowych ruchów demokratycznych. Jest także perfidny, ponieważ przenosi punkt ciężkości z aktualnego działania i poglądów na życiorys i przeszłość. Polemizowanie z tym zarzutem mija się z celem. Poza tym Polonia nie pomaga byłym komunistom, pomaga krajowym ruchom demokratycznym i ich działaczom bez względu na ich życiorysy, pomaga ludziom więzionym i wyrzucanym z pracy za otwarte głoszenie poglądów sprzecznych z interesami dyktatury, pomaga strajkującym chłopom i robotnikom, studentom domagającym się wolności... W humanitarnym i najbardziej patriotycznym geście pomaga potrzebującym pomocy przedstawicielom własnego narodu. To dobrze, że w szeregach opozycji są byli komuniści - któż lepiej niż oni zna partyjny mechanizm dławiący Polskę od lat? Ludzie, którzy kiedyś byli związani z systemem i system ten zrozumieli, są jego najgorętszymi i najbardziej niebezpiecznymi przeciwnikami. Często też dyskusje między członkami ruchu są tendencyjnie interpretowane. Na to nie ma lekarstwa. Nad stronniczością, a zwłaszcza celową, trzeba po prostu przejść do porządku dziennego. Obowiązek uczciwego przedstawienia ruchów jest po prostu ważniejszy. Zastosowanie jakiegokolwiek cenzury, eliminacja jednej wypowiedzi kosztem drugiej stałaby znakiem równania pomiędzy Polonią a krajowymi metodami informowania społeczeństwa, gdzie uczciwość i prawda są pojęciami abstrakcyjnymi, podporządkowanymi partyjnemu potrzebom".

Zespół wydawniczy "Pomostu" tworzą Krzysztof Rać-Manswet, Marian K. Sroemek i Waldemar J. Włodarczyk. W skład zespołu redakcyjnego wchodzi Janusz Gliński, Waldemar Flanczewski, Julia Kobyłańska, Roman Koperski oraz Mieczysław Raczkiewicz. Poniżej publikujemy artykuł, który ukazał się na temat pisma w jednym z wielu wydawanych w USA pism polonijnych.

x x x

W Chicago grupa młodych emigrantów rozpoczęła publikację pisma "Pomost", mającego na celu informowanie społeczeństwa polonijnego o działalności opozycjonistów polskich i problemach związanych z tą akcją. W chwili obecnej wychodzi trzeci numer tego pisma w nakładzie 1500 egzemplarzy.

Plan powstania pisma zrodził się około 2 lata temu. Wydawcom chodziło o wypełnienie pewnego rodzaju próżni na rynku czytelniczym, jaka istnieje na skutek niedocierania do przeciętnego czytelnika polonijnego takich pism jak "Tydzień Polski", "Aneks" czy "Kultura". Wielu przeciętnych emigrantów nie zdaje sobie zupełnie sprawy z działalności wolnościowców polskich, ponieważ, jak twierdzi jeden z redaktorów pisma - Waldemar J. Włodarczyk - "Polacy w USA nie mają często okazji do zapoznania się z periodykami wydawanymi w Polsce poza zasięgie cenzury. Pisząc o Kraju i dokonując przedruków artykułów ukazujących się poza zasięgiem cenzury "Pomost" przybliży i daje pewien obraz sytuacji politycznej w Kraju oraz przedstawia działalność dysydentów. Lektura tych

artykułów na pewno zmusi do analizy i zastanowienia się nad sytuacją w Polsce".

Pierwszy numer "Pomostu" miał stosunkowo mały nakład, bo jedynie 500 egzemplarzy. Był on przyjęty z mieszanymi uczuciami z tego względu, iż bardzo wiele osób nie wierzyło w powodzenie pisma sądząc, że jest to jakaś jeszcze jedna efemeryda na polonijnym terenie. Drugi numer miał już nakład 1000 egzemplarzy i okazało się, że był to nakład zbyt niski, ponieważ wydawcy nie mogli zrealizować około 500 zamówień, jakie nadeszły z różnych miejscowości w Ameryce.

Pismo, jak informuje Waldemar J. Włodarczyk, jest finansowane przez trzy osoby, które nie kierują się chęcią zysków, a jedynie mające na celu przedstawienie czytelnikowi w Ameryce sytuacji w Kraju i rozpowszechnienie wiadomości, które w obecnej chwili absorbują wolnych Polaków. Wszyscy, którzy wydają "Pomost", osiągnęli w społeczeństwie amerykańskim odpowiednio wysokie pozycje zawodowe i nie czują się obywatelami III kategorii. Pracują w olbrzymich firmach amerykańskich, gdzie zarobki są odpowiednio wysokie. Mogą więc sobie pozwolić na poniesienie kosztów wydawania pisma, co zresztą traktują - jak to oświadczył Waldemar J. Włodarczyk - jako dobrowolną daninę w stosunku do kraju swego pochodzenia. Wynika z tego, że ich wyjazd z kraju nie przerwał łączności z tymi, którzy w Polsce mają odwagę dopominać się poszanowania praw obywatelskich.

"Żaden wyjazd czy emigracja - mówi Waldemar J. Włodarczyk - nie przerwie naszego zainteresowania i łączności z ludźmi, którzy stanowią dzisiaj opozycję. Emigracja jedynie oddaliła nas od tych spraw, zaostrzając jednocześnie naszą czujność wobec przejawów życia w Kraju. Obserwujemy bacznie działalność opozycji polskiej i dlatego naszemu piśmie nadaliśmy nazwę "Pomost", co jest niejako symbolem łączności pomiędzy Krajem a Emigracją, która jest naszym głównym zamierzeniem".

"Emigracja - kontynuuje Włodarczyk - ma jakąś istotną rolę do spełnienia, jeżeli chodzi o zagadnienie samego systemu. Ma wszelkie środki ku temu, by rolę tę odegrać i powinna - poprzez formy nacisku oraz informowanie środków masowego przekazu krajów swego osiedlenia przedstawiać prawdziwy obraz sytuacji w Polsce, oraz udowodniać, że w Polsce łamane są podstawowe prawa ludzkie".

W myśl tej zasady grupa wydająca pismo "Pomost" podjęła akcję moralną i materialną mającą na celu pomoc opozycji. Pomoc materialna - jak informuje Włodarczyk - wyraża się wysyłką paczek dla tych wolnościowców, którzy pozbawieni przez władzę pracy znajdują się w trudnych warunkach materialnych. Natomiast demonstracje przed placówkami dyplomatycznymi PRL'u, bombardowanie listami przedstawicieli administracji amerykańskiej, to przejaw solidarności i pomoc moralna. "Chcieliśmy - mówi Waldemar J. Włodarczyk - aby polscy dysydenci wiedzieli, że nie są w swojej akcji osamotnieni i mają swoich rzeczników na Emigracji. Tak na przykład demonstracja w Chicago w obronie Kazimierza Świątonia, która była owocem działania wszystkich odcieni Emigracji, była dowodem naszej solidarności. Główny cel demonstracji został osiągnięty: zaznajomiliśmy prasę emigracyjną i opinię amerykańską z faktem łamania praw ludzkich w kraju naszego pochodzenia".

Według opinii wydawców "Pomostu" zainteresowanie opozycją polską na Zachodzie wzrasta, pomimo pewnej atmosfery podejrzeń, która jest wytworem nieświadomości przemian w Polsce. Polska sprzed lat trzydziestu i Polska dzisiejsza, to jednak kolosalna różnica. "Na ten temat - mówi Włodarczyk - informowali nas ci reprezentanci Komitetu Obrony Robotników, którzy byli na Zachodzie i rozmawiali z nami. Niewątpliwie ludzie, którzy przyjechali tutaj 20 lat temu, zachowali w pamięci ten obraz Polski, który oglądali, a który uległ obecnie drastycznym zmianom. Właśnie ten proces przemian chcieliśmy przedstawić naszym czytelnikom. Jest rzeczą jasną, że władze PRL'u w rzeczywistości wywołały zjawisko opozycji poprzez swoje niedemokratyczne postępowanie. Opozycja jako zjawisko istnieje jednak niezaprzeczalnie i jeżeli ludzie raz zaczną głośno mówić, trudno będzie władzom zmusić ich do milczenia, zwłaszcza po uchwałach konferencji w Helsinkach i Belgradzie, które rząd PRL'u podpisał".

"Jak dotychczas - twierdzi mój rozmówca - nie zetknęliśmy się z atmosferą nieufności. Owszem, wielu ludzi ma zastrzeżenia, że wśród opozycjonistów

znajdują się byli komuniści. Wszelką pomoc udzielaną im uważają za niemoralną. Jednakże zdecydowaliśmy się pomagać ludziom, którzy w tej chwili walczą z tyranią i samowolą władz. Ważny jest każdy głos domagający się sprawiedliwości i poszanowania praw ludzkich. Można nawet bardziej cenić komunistów, którzy porzucili swą ideologię przyłączając się dziś do krytyków tego systemu, któremu wcześniej służyli. Znają oni metody działania systemu lepiej niż ktokolwiek inny. Uważamy, że w chwili obecnej są oni wartościowymi jednostkami."

Działalność "Pomostu" jest bardzo istotna. Początkowo wydawcy tego pisma rozpowszechniali przemyczone z Kraju periodyki wydawane poza zasięgiem cenzury jak "Opinia", "Puls". Akcja ta zetknęła się z bardzo miernym oddźwiękiem, prawdopodobnie dlatego, że skierowana była do ludzi, którzy mieli problemy ze zrozumieniem tych pism i nie wywoływały one u nich pożądanej reakcji. Redaktorzy "Pomostu" bardzo szybko zorientowali się, że wszystkie wydawnictwa opublikowane w Stanach Zjednoczonych muszą mieć pewne zabarwienie lokalne. Bardzo często te periodyki, które wydawano w Europie jako przedruk artykułów opublikowanych poza zasięgiem cenzury w Polsce, były po prostu niedoceniane i pomijane przez Polaków w USA. Nie dotyczyły one bowiem terenu amerykańskiego. Większość ludzi, zwłaszcza średniej klasy, chciałaby czuć się związana z ruchem opozycyjnym i z Polską, ale poprzez działanie Polonii amerykańskiej.

"Prasa polsko-języczna - twierdzi Waldemar J. Włodarczyk - poświęca sprawom opozycji stosunkowo dużą uwagę. Jednakże inne pisma polonijne, wydawane w języku angielskim nie zabierają głosu w tej sprawie. Nie ma niestety pisma w języku angielskim, które informowałoby o opozycji. Wszystkie z reguły ograniczają się do spraw kulturalnych, stroniąc od zagadnień politycznych. To, o czym pisze bez ogródek "Dziennik Polski", "Tydzień Polski", "Aneks", "Kultura" czy niektóre pisma polonijne w USA, nie znajduje krytycznego oddźwięku w wielu pismach wydawanych w języku angielskim czy polskim /np. "Post Eagle", "U.S. Polonia" itd./. Nawet sprawy lokalne są przemilczane. Choćby na przykład kontrowersyjna działalność prezesa Fundacji Kościuszkowskiej, która pokrywana jest obojętnym milczeniem. Świadczy to o podejściu Polonii do określonych problemów. Dlatego właśnie, publikując "Pomost", chcemy wypełnić tę lukę, która powstaje wskutek przemilczania i selekcji wiadomości, której dokonuje się z takich czy innych przyczyn. Ponieważ nie mamy żadnych zobowiązań, możemy sobie pozwolić na omawianie wszystkich istotnych problemów."

W chwili obecnej ukaz uje się trzeci numer "Pomostu" w nakładzie 1500 egzemplarzy. Zwiększenie nakładu jest wynikiem zainteresowania pismem. Dociera ono w różne zakątki Stanów Zjednoczonych, także i do Europy: Norwegii, Szwecji, Anglii. To, że pismo trafia do Europy jest pewnie wynikiem faktu, że Polonia amerykańska jest tam jeszcze zagadnieniem nieznanym. "Nie rościmy sobie prawa - mówi Waldemar J. Włodarczyk - że poprzez wydawanie "Pomostu" będziemy tymi, którzy potrafią zobrazować Polonię amerykańską i tak precyzyjnie określić, że jej istotne zagadnienia staną się zrozumiałe. Polonia amerykańska ze względu na swe oddalenie od Kraju stanowi zupełnie odmienną formację niż Polonia europejskie. Jak mi się wydaje, system działania Polonii europejskich jest zupełnie różny od amerykańskiego. Określenie tego zjawiska może dokonać socjolog, rozumiejący specyfikę życia amerykańskiego. Emigracja powojenna nie przejęła wielkich tradycji starej Polonii, nie stała się moralnym dziedzicem jej ogromnego dorobku kulturalnego i politycznego; nigdy nie wytworzyła takich wartości kulturalnych, jak Londyn i Paryż. Nie mamy w Stanach Zjednoczonych takich instytucji jak Polska Fundacja Kulturalna /Londyn/, czy Instytut Literacki w Paryżu. Nie mamy takiego ośrodka jak POSK w Wielkiej Brytanii. Jest to zjawisko niewątpliwie bolesne. Poczucie świadomości narodowej nigdy nie osiągnęło w Stanach Zjednoczonych tego poziomu, co wśród Polonii europejskich. A wcześniej Polacy w Ameryce zakładali biblioteki, uczelnie, budowali kościoły i szkoły, wreszcie poszli walczyć za Polskę. "Błękitna Armia" to najbardziej jaskrawy dowód poczucia narodowego Polonii Amerykańskiej. A dzisiaj? Bezkrzytycznie można przyznać, że Polonia amerykańska jest Kopciuszkim, oglądającym się ciągle w stronę Londynu czy Paryża."

Wydawać się może, że w tej sytuacji istnienie "Pomostu" byłoby może początkiem na drodze wypełnienia tej luki, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy obserwujemy przebudzenie się świadomości narodowej wśród polskiej grupy etnicznej. Możliwe, że z nasileniem się tego procesu, "Pomost" może w przyszłości

84 -----
odegrać dużą rolę. Wydawcy tego pisma są dopiero na początku drogi. Można mieć nadzieję, że uda im się stworzyć pismo, które będzie kontynuować działalność niepodległościową pism emigracyjnych.

Edward Dusza

W "KRYTYCE" I "POLITYCE"

Nr 4 "Krytyki" przynosi znakomity szkic Hanny Buczyńskiej "O upadku filozofii": "Nawet gdyby ktoś uznał, że w Europie i całym świecie zachodnim występuje kryzys filozofii, to teza ta nie ma zastosowania do naszej sytuacji, bowiem przyjmuje ona jako swoje przesłanki to, co u nas i tak nie istnieje /czyli pewną powszechność kultury filozoficznej/. /.../ Głównym momentem określającym sytuację filozofii w Polsce w ostatnim trzydziestolecium jest zredukowanie jej wyłącznie do ideologii oraz w związku z tym poddanie ścisłej kontroli politycznej wszystkich form jej publicznego uprawiania. Filozofia z abstrakcyjnej refleksji dotyczącej sensu bytu, z refleksji leżącej u podstaw i przenikającej całą kulturę duchową, została przekształcona w narzędzie indoktrynacji i propagandy". Wymieniając cele nakreślone nauczaniu filozofii w PRL cytuje Buczyńska program ministerstwa: "studenci powinni przyswoić sobie oraz zrozumieć /.../ gnoseologiczną i metodologiczną doskonałość filozofii marksistowskiej, /.../ interpretacyjne jej znaczenie dla kultury współczesnej /.../ znaczenie tej filozofii dla wyborów życiowych oraz dla kształtowania osobowości ludzkiej". A oto komentarz do tego programu: "Program jako swój główny cel ma więc nie edukację, nauczanie, lecz urabianie umysłów i charakterów, mimo że jest programem studiów uniwersyteckich./.../ Naczelnym założeniem jego jest teza, że naucza się tylko filozofii marksistowskiej; inne koncepcje filozoficzne zostają określone mianem "burżuazyjnych" i z terenu uniwersytetu wyeliminowane. Otóż sądzę, że właśnie ta teza, leżąca u podstaw całej edukacji filozoficznej dzisiejszych Polaków, jest jednym z głównych źródeł upadku filozofii w Polsce".

A oto, w telegraficznym skrócie, powody: "Przed wszystkim taka teza jest niezgodna z samą ideą uniwersytetu, który jako wszechnica wiedzy musi uwzględniać wszystkie nurty, stanowiska, poglądy, doktryny, musi dopuszczać ich swobodne ścieranie się w nieustającym poszukiwaniu prawdy i pełni poznania. /.../ Po drugie, jednostronne, ideologiczne nauczanie filozofii jest niezgodne z samą naturą filozofii. Filozofia z istoty swej dotyczy problemów nierozstrzygalnych, rozważa ona kwestie sensu świata jako całości, sensu określonych zjawisk, sensu egzystencji ludzkiej. Pytania, z jakimi ma do czynienia filozofia pozbawione są definitywnych odpowiedzi i myśl ludzka stale je ponawia, stale do nich powraca, nie zatrzymując się na żadnym rozwiązaniu. /.../ Po trzecie, istotną funkcją filozofii w kulturze jest kultywowanie sztuki myślenia krytycznego. /.../ Po czwarte, filozofia jest integralną częścią kultury; kategorie filozoficzne i problemy filozoficzne splotone ze sztuką, literaturą, nauką i religią w jedną całość. /.../ Filozofia jest wielkim stymulatorem kultury. W konsekwencji, wiele konkretnych zjawisk kulturowych bez znajomości języka i problematyki filozofii niedostępnych jest zrozumieniu ani oglądaniu". Podsumowując sytuację autorka stwierdza: "Wzorców nowego rozwiązania sytuacji trzeba szukać albo w uniwersytetach polskich przed 1949 rokiem, albo na uniwersytetach europejskich. Omówiona sytuacja edukacyjna jest ważna nie tylko z punktu widzenia filozofii, lecz przede wszystkim z punktu widzenia trwałości i żywotności kultury narodowej."

A oto konsekwencje istniejącego stanu rzeczy: Terenem, po którym najtrudniej się dziś poruszać jest filozofia systematyczna - jak się kiedyś mawiało - oraz wszelkie nurty współczesnej myśli filozoficznej i zachodniej. Terenem, po którym najłatwiej się poruszać, są dziedziny sformalizowane oraz historia filozofii do połowy XIX wieku. Są to zresztą - zauważmy - problemy charakterystyczne dla niemal całej humanistyki polskiej uprawianej oficjalnie w kraju; przypomnijmy choćby kłopoty z opracowaniem historii Polski czy historii literatury polskiej po 1918 roku - pracują nad tym olbrzymie zespoły specjalistów, a jednak efekty tej pracy są niemal żadne, w najlepszym wypadku kontrowersyjne.

Ale wróćmy do omawianego artykułu: "Dysproporcją, która najsilniej u nas rzuca się w oczy jest relacja pomiędzy filozofia a historią filozofii". I dalej: "ta ucieczka w historię przyczynia się do upadku filozofii, jeżeli przez filozofię rozumieć żywe, krytyczne myślenie, nie zaś prostą repetycję spetryfikowanych prawd i formułek. /.../ Badania i rozważania historyczne pozbawione zakorzenienia w rozumieniu samych problemów filozoficznych nieuchronnie kierują się ku sprawom przypadkowym, nicistotnym, zewnętrznym, zaniedbują myślenie samo /jako najtrudniejsze/ na rzecz towarzyszących mu okoliczności, a często gubia się w ciągu nieporozumień. /.../ Znamienna jest także ucieczka w socjologizowanie filozofii". Następuje rozbięcie, atomizacja środowiska filozoficznego w kraju. "Inną anomalią właściwą naszemu życiu filozoficznemu jest próba przydawania wszystkiemu szyldu marksizmu. Wydaje się, że myślowe założenie takiej postawy należy odczytać następująco: skoro jedynie marksizm jest formą filozofii dopuszczoną do swobodnego funkcjonowania w zakresie badań i publikacji, to należy jego sens rozszerzyć tak bardzo, by można w nim było zmieścić wszystkie kwestie, którymi chcemy się zajmować. /.../ Jest to /.../ postawa, która z góry stwarza pewne wykrzywienie myśli, z góry przyjmuje pewną "nieprawdziwość" swoich tez". A w dalszym ciągu: "Ogólna sytuacja zewnętrzna determinująca negatywnie możliwości myślenia filozoficznego nie jednakowo oczywiście oddziałuje na los różnych dziedzin filozofii. Najdotkliwiej odbija się ona na stanie refleksji moralnej i aksjologii, na filozofii politycznej i społecznej. Są to dziedziny niemalże dziś u nas nieistniejące".

I wreszcie, na zakończenie, lapidarna uwaga na temat dostępności książek filozoficznych: "Jednym z najsmutniejszych u nas miejsc są księgarnie, a w tych smutnych księgarniach jeszcze smutniejszy jest dział filozofii".

Jako ilustrację tego szkicu wybrałem kilka cytatów z dywagacji Stanisława Rainko, które pod nagłówkiem "Świadomość i socjalizm" uprawia on na łamach "Literatury". Oto delikcje myślowe z artykułu "Prognozy i utopie" /nr 48/79/: "Marksistowski socjalizm rozpatrywany w relacji prognoz i utopii musi objawić swój osobliwy charakter. /.../ Jest on swoistym przewyciężeniem tych form, wyjściem poza nie i ich zniesieniem. Socjalizm naukowy jest teoretyczną i ideologiczną strukturą sui generis, niesprowadzalną ani do prognoz, ani do utopii - zarówno z osobna wziętych, jak też ich sumy czy całości." I dalej - by nie nużyć czytelnika - zakończenie tych dość swobodnych rozważań: "Myśl pre naukowa nie wyróżnia struktury przewidywania od struktury utopii. Rozróżnienie to jest pewnym faktem historycznym, który pojawia się dopiero wraz z ukonstytuowaniem nauki nowożytnej. Równocześnie z tym dochodzi do postępującego uświadomienia dwóch aspektów historycznej rzeczywistości; aspektu jej determinacji i tworzenia. Prognozy reprezentuje pierwszy z tych aspektów, utopie - drugi. Aby dokonać się mógł "powrót" do pierwotnej jedności prognoz i utopii, niezbędna była teoria, która złożyłaby w całość odkryte przez społeczną myśl naukową czasów nowożytnych i oderwane od siebie aspekty czy porządki historii. Taką teorią jest materializm historyczny stanowiący teoretyczną bazę dla socjalizmu naukowego. Jeżeli więc socjalizm marksistowski wraca do zawartej w nim jedności tworzenia i determinacji, to wraca tak, jak współczesna atomistyka do starożytnej idei o "ziarnistej" budowie materii czy jak ludzkość wróci kiedyś do bezklasowego społeczeństwa czasów przedhistorycznych".

Uff! Jest to, trzeba przyznać, swoisty wywód oparty na bazie pewnych właściwości struktur sui generis ideologii o wyraźnych aspektach czy raczej porządkach klasowych. Ot - socjalizm i świadomość.

Ale dość filozofowania, zejźmy na ziemię. Otóż dzielny Artur Sandauer odgryza się na wszelkie sposoby obszczekującej go sforcie literackich publicystów. Czyni to w "Polityce" /nr 46/79/ w artykule "Karty na stół". Rzecz nie jest błaha i nie zamierzam jej tutaj zbywać żarcikami. W końcu, jak zauważa redakcja "Polityki", "dyskusja wokół eseju Artura Sandauera o poezji powojennej toczyła się ponad cztery miesiące". W dyskusji wzięło udział 18 autorów. Jest to zatem jedna z najgłośniejszych kampanii, jakie dane nam było przeżyć w naszym życiu literackim lat ostatnich.

Sandauer jest typem krytyka dość, powiedzmy tak, osobliwego, którego zresztą łatwo podejrzewać o różne brzydkie rzeczy. Nie raz to się już zdarzało, że zasadniczą krytykę czyjejś twórczości przeprowadzał akurat w tym momen-

cie, w którym pisarz, ze względów politycznych ani się nie mógł sam bronić, ani na obronę innych liczyć - tak było choćby z dość bezwzględny potraktowaniem poezji Herberta przed paru laty. Nie mówię tu, że był to atak przeciw Herbertowi - nie; tym niemniej artykuł był co najmniej dyskusyjny, redakcji /"Kultura"/ wygodnie go było akurat w tym momencie wydrukować, zaś o dyskusji wówczas nie mogło być mowy. No i "kawiarnia" wzięła Sandauera pod fleki - mało kto u nas wierzy jeszcze w zbiegi okoliczności, przypadkowe oczywście.

Ale nie o to chodzi. Tyle tylko, że wokół samej osoby Sandauera narosło wiele niechęci, nie tylko zresztą przy wspomnianej okazji. Owe emocje doszły do głosu w polemikach toczonych wokół jego szkicu z majowej "Polityki". W artykule tym Sandauer postanowił powyracać ustaloną hierarchię poetyckie. Ani to źle, ani dobrze - takie zabiegi bywają przydatne, warto czasem przewietrzyć pegazową stajnię, zrobić trochę ruchu /że przypomnę sprzed lat atak Barańczaka przeciw Iżakowiczównie/. Niestety, ruch zrobił się nie wokół poezji, ale wokół Sandauera. A to już gorzej. Do tego rzeczywiście wystarczy kawiarnia. Szkoda papieru.

Lecz Sandauer, niezależnie od krytyki takiej czy innej hierarchii poetów powstającej w "salonie", "kawiarni" czy dyktowanej przez "mecenasa" usilnie stara się "dotknąć" problemu ważnego. Powiada, że "struktura życia literackiego" jest w Polsce nienaturalna, wypaczona, chora. I rzeczywiście - jest. Otóż - kontynuuje Sandauer - winien temu "mecenasa". Sandauer mówi "mecenasa" i jest to dość, zauważmy, dowolne określenie. Ale przeczytajmy: "Obecny mecenat różni się od dawnego tym, że wykonuje go ^{nie} osoba panująca, lecz bezosobowe państwo. Panujący zainteresowany był w twórczości artystycznej osobiście, jako że przyczyniała się ona do uświetnienia jego rządów; państwo roztacza nad nią opiekę za pośrednictwem luźni nie zawsze w sprawach sztuki kompetentnych, którzy, sprawując swój urząd czasowo - kierując się dość abstrakcyjnie pojmanym dobrem społecznym".

Cóż - trochę tu poplątania, z pomieszaniem zresztą. O ile mi wiadomo, istnieją kraje, w których nie tylko "panujący" bywa mecenasem. Nie zawsze, jeśli znam trochę historię i współczesność, "panujący" bywa monopolistą w sferze przydziału papieru, drukarni, w zarządzaniu wydawnictwami i prasą literacką. Sandauer pisze tak, jakby ów monopol był oczywistością. Nie jest. Zaś Sandauer okazuje się demagogiem. Zapewne "realistycznym". A warto mu może przypomnieć, że gwarantem tego monopolu "mecenasa" socjalistycznego jest - wstyd powiedzieć! - cenzura. Póki nie mówimy o cenzurze, wprost i otwarcie, póty całe gadanie o "uzdrowieniu" państwowego /partyjnego/ "mecenatu" jest czołgą gadaniną, jeśli nie czystym bełkotem.

Przyjrzyjmy się jednak programowi pozytywnemu Sandauera. Uzdrowić wydawnictwa poprzez możliwość szybkiego dodruku poszukiwanych książek /sukces czytelniczy autora/, zainteresować wydawców rentownością - to punkt pierwszy. Drugi: czasopisma powinny być prowadzone na własny rachunek, żądać od pism programów, zerwać z modelem pisma pokoleniowego. I w końcu należy rozbić istniejące instytucje literackie zamykające się we własnym środowisku, /np. Koła Młodych/, w drodze popierania "klubów w rodzaju krakowskiej "Kuźnicy" czy grup w rodzaju - również krakowskich - Krzysztoforów". Iście to - delikatnie mówiąc - profesorskie gadanie. Panie Sandauer! Albo pan mów wyraźnie, że chcesz pan ustrój zmieniać, albo przestań pan kokietować i tak już ogłupiają publiczność. Rentowność wydawnictw? Sukces autorski? A któżby wówczas wydawał panów Gaworskich i Dobrowolskich, te zwały tłumaczeń radzieckich zalegających półki w księgarniach i owe wszystkie "mające kształtować świadomość socjalistyczną" słuszne dzieła? I co jeszcze? Pisma z programem? A to może być inny niż ten, który jest? Naprawdę? Co zaś do krakowskiej "Kuźnicy", to też pan trochę przeholował chyba. I co jeszcze? Klub Krzywego Koła może, alno - "również krakowski" - "Czerwony Pomidor" /zamknięty z hukiem przez ob. Machajka Władysława w 1957/? Jeszcze czego!

Co zaś do grup literackich, to przecież były one, a jakże, tylko pan profesor to jakoś przedrzemał: do wyboru, do koloru - i grupa "Tylicz", i grupa "848", i grupa "Teraz" /"również krakowskie"/, i grupa "Agora", i grupa "Centrum", i grupa "Próby", powstała nawet Nowa Sala /ostatnie jej spotkanie w Cieszynie rozpedziła policja bodaj w 1972/, a jeszcze i Nowy Romantyzm stra-

szły z różnych kątów. Nawet koło tego było trochę szumu, także w gazetach /np. w "Polityce"/, nie tylko w "Środowisku". No ale pan profesor odkrywał wówczas wielkość Tadeusza Sliwiaka, Józefa Barana, Anny Janko, atakował Herberta. Cóż - de gustibus... A jeżeli chodzi o rozbijanie Kół Młodych, to nie jest to specjalne novum - ostatnio znów podejmuje się próby, nawet na wysokich szczeblach. Powód? Warszawskie Koło wybrało sobie niesłusznego prezesa, organizuje niesłuszne spotkania...

Ale dość śmichów. I jedna dobra rada. Niechże wreszcie głos w sprawie pozycji, jej sytuacji, korzeni itp. zabierze ktoś, kto przynajmniej z grubsza orientuje się o czym mówi. Gratulacje dla "Polityki". Trzymajcie się, chłopaki!

Stały Czytelnik

KOŚCIOŁ I KULTURA

W komunikacie ogłoszonym po 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski czytamy m.in.: "Przedmiotem szczególnej troski Konferencji Episkopatu jest pogarszająca się sytuacja społeczna w naszym Kraju. Rosnące trudności gospodarcze - zresztą nie tylko w naszym Kraju - i zjawiska dezorganizacji życia społecznego mają wyraźny związek z przejawami poważnego kryzysu moralnego. Wśród nich zaznacza się: lekceważenie prawdy w kontaktach międzyludzkich, pogarszający się stan uczciwości społecznej - nierzetelna praca, brak poczucia wspólnego dobra, korupcja, alkoholizm, ogólne zniechęcenie. Pogłębiająca się obojętność wobec potrzeb ludzkich i ogólnospołecznych oraz brak życzliwości w stosunkach między ludźmi.

Poprawa sytuacji i wyjście z istniejących niedomagań wymaga przede wszystkim poznania i usunięcia mechanizmów demoralizacji. Są one liczne. Szczególnie znaczenie ma brak skutecznej, społecznej kontroli i zjawisko nieodpowiedzialności za błędy lub złą pracę. Wytwarza to poczucie bezsilności i brak wiary w sens i możliwość społecznej poprawy. Drugim ważnym czynnikiem jest wadliwa metoda obsadzania stanowisk w administracji państwowej i gospodarczej, w oświacie i kulturze. Jak dotychczas decyduje nie tyle kompetencja, energia, wyniki pracy i uczciwość kandydatów, ile deklarowanie się po stronie urzędowej ideologii.

Inną przyczyną trudności jest posługiwanie się doktryną, która utrudnia rzeczową ocenę sytuacji oraz rozwiązywanie trudności i zaspokajanie ludzkich potrzeb w mieście i na wsi, w gospodarce i kulturze. /.../

Wyjście z istniejących trudności wymaga wysiłku i jedności całego społeczeństwa. Jednakże jedność narodową budować można jedynie w ramach wspólnie decydowanych społecznych rozwiązań i dobrowolnie przyjętych zadań, w warunkach uczciwej i pełnej informacji obywateli o sytuacji Kraju. /.../

Godność narodowa rodzi się przede wszystkim z poczucia własnej historii, z szacunku dla własnej kultury oraz duchowego i religijnego dorobku. Jedność narodowa nie jest możliwa jeżeli historia, kultura i religijna spuścizna narodu jest zniekształcona.

W Kraju naszym muszą istnieć także warunki bezpieczeństwa i ochrony prawnej dla wszystkich, którzy wypowiadają swoją troskę o wspólne dobro wychodząc z różnych motywacji. Każdy jednak podejmując działanie musi się kierować roztropnością i poczuciem odpowiedzialności za Naród, uwzględniając okoliczności miejsca i czasu".

J. WISZNIEWSKA

TECHNIKA POWIĘLANIA W ZSRR

/"yśl Rosyjska", 14 czerwca 1979/

29 marca 1976, wkrótce po śmierci Franco, laureat literackiej nagrody Nobla Aleksander Sołżenicyn udzielił wywiadu telewizji madryckiej. W wywiadzie tym rosyjski pisarz-wygnaniec porównał kwestię praw człowieka w nie demokratycznej jeszcze Hiszpanii i ZSRR. Autor "Archipelagu Gulag" powiedział między innymi: "Widzę jak pracują u was kserografy. Człowiek może przyjść zapłacić 5 pesetów i otrzymać kopię każdego dokumentu. Jest to rzecz niemożliwa dla żadnego

obywatela ZSRR. Człowiek, który korzysta z kserokopii na własny użytek, a nie na zlecenie władzy otrzymuje taki wyrok, jak za działalność kontrrewolucyjną". /1/

Nie będąc prawnikiem A. Sołżenicyn sformułował ten problem niezbyt precyzyjnie. Oczywiście, nie każdego obywatela ZSRR czeka odpowiedzialność karna za wykorzystanie współczesnej techniki powielania dla celów osobistych. Jednakże, jak możemy wnosić z oświadczeń prasy radzieckiej oraz oświadczeń Sominzdatu, swobodny dostęp do powielarni i techniki powielania /w tej liczbie również techniki fotograficznej/ dla obywateli ZSRR nie istnieje.

Tak np. 5 kwietnia 1979 r. gazeta "Trud" /2/ opublikowała artykuł swojego korespondenta z Tagaurogu J. Dimitriewa pt. "R print i sumienie". W artykule tym opisano dwie sprawy sądowe, w których do odpowiedzialności za wykorzystanie techniki powielania pociągnięto nie na mocy paragrafu 1 "Przestępstwa państwowe", lecz paragrafu 2 "Przestępstwa przeciwko własności socjalistycznej" Kodeksu Karnego Ukraińskiej SRR.

W pierwszym wypadku mowa jest o 38-letnim drukarzu z Instytutu Radiotechnicznego w Tagaurogu, Ilji Kimie, który powielał na służbowej drukarce i sprzedawał na bazarze książkę "Aria Magdalena". O książce tej w artykule J. Dimitriewa wspomniano jedynie, że "cieszy się popularnością wśród ludzi o niewyrobionym smaku". Wynika stąd, że sam fakt jej powielania nie może być czynnością karną, gdyż prawo nigdzie nie stwierdza, że państwo radzieckie posiada monopol na kształcenie gustu i smaku swych obywateli. Jak podaje "Trud", Ilja Kim oskarżony został o nielegalną produkcję /paragraf 148 cz. I Kodeksu Karnego USRR - podlega karze obozu pracy do 1-go roku lub grzywnie w wysokości do 100 rubli/ oraz o "drobne kradzieże" /par. 85 KK USRR - do 6-ciu miesięcy pozbawienia wolności/.

Drugi wypadek opisany w artykule "Rotaprint i sumienie" zdarzył się w Tagaurowskim Biurze Konstrukcyjnym specjalizującym się w budowie maszyn rolniczych i podwozi samochodowych. Słusarz tej instytucji, Genadij Swistielin oskarżony został o powielanie za wynagrodzeniem na kserografie "Era-M" "wszelkiego rodzaju pseudoliterackiej makulatury, a niekiedy również politycznie szkodliwych książek i broszur". Konkretnie - większość książek to utwory pisarzy zagranicznych, które wydawane były jeszcze przed rewolucją... W niektórych opiewany jest kult okrucieństwa, kolonializm, inne przesycone są mistyką i ertotyzmem".

Przypomnijmy, że rewolucja w Rosji nastąpiła w 1917 r. Jak wiadomo, do 1915 r. w Rosji istniała cenzura prewencyjna, zaś w latach 1905-1917 - karna. Jednakże przytoczony wyżej cytat jest jeszcze jednym potwierdzającym to przykładem - cenzorzy w przedrewolucyjnej Rosji pod wszystkimi względami byli bardziej liberalni niż cenzorzy radzieccy. Należy przy tym pamiętać, że na całym świecie w ciągu ostatnich sześciu dziesiątków lat nastąpił proces odwrotny - w kierunku powszechnej liberalizacji pojęć o tym, co może być dopuszczalne do druku.

J. Dimitriew nie podaje, jakie oskarżenie wniesiono przeciwko G. Swistielinowi i jego współnikowi N. Ignatowiczowi. Wiadomo tylko, że postępowanie karne w ich sprawie objęło również: "W trakcie śledztwa i później... wykryto drukowane w tajemnicy wydawnictwa o czarnej magii, spirytyzmie... i jawną pornografię".

Kara za "przygotowanie /produkcję/, zbyt i rozpowszechnianie" pornografii /do 1 roku pozbawienia wolności/ wymierzana jest na mocy artk 211 KK USRR. Tak więc wszystkie inne rodzaje wydawnictw, które wg słów korespondenta gazety "Trud" rozpowszechniali oskarżeni, należą nie do wydawnictw zabronionych, lecz raczej do niechcianej przez władze literatury.

Korespondent gazety "Trud" informuje także w jaki sposób władze uniemożliwiają zazwyczaj rozpowszechnianie podobnej literatury. Innymi słowy podaje, z jakimi trudnościami zetknęliby się zwolennicy rozpowszechnianej przez Swistielina literatury, gdyby zechcieli zaspokoić swoją czytelniczą ciekawość przy pomocy kanałów oficjalnych.

"Okazało się, że Swistielin mógł korzystać jak ze swojej własności z drukarki, maszyny do cięcia papieru, specjalnego proszku do "Ery-M"... Przy istniejącym formalnie porządku, w którym każde otrzymane zamówienie powinno być zapisane w dzienniku służbowym z ponumerowanymi stronami, ze wskazaniem cha-

rakteru powielanego dokumentu, osoby zamawiającej, ilości kartok i egzemplarzy". Cytat ten świadczy zarówno o niedoskonałości radzieckich urządzeń do powielania z punktu widzenia współczesnej techniki, jak i o drobiazgowości kontroli w trakcie pracy na tych urządzeniach. Oba zagadnienia są wręcz szokujące dla człowieka z Zachodu.

Wiadomo przy tym, że zgodnie z uchwałą Rady Ministrów ZSRR z 22 lipca 1977 r., Nr 673, radziecka instytucja, urząd lub organizacja może zaopatrzyć się w urządzenia powielające wyłącznie za zgodą Państwowego Komitetu d/s Wydawnictw, Poligrafii i Handlu Książkami, korzystając zaś z niego - wyłącznie pod kontrolą organów spraw wewnętrznych. Zgodnie z tą uchwałą instytucja, która naruszy w jakimś stopniu te warunki, pozbawiona zostaje danego urządzenia /3/.

Dla osób prywatnych wydawanie książek jest czynnością niebezpieczną ze względu na wspomniany już artykuł o odpowiedzialności karnej za "zajmowanie się nielegalną wytwórczością" /art. 148 KK USRR lub art. 162 KK RFRS/. Lista nielegalnych produkcji /11 podpunktów/ zawarta jest w pkt 3 Ustawy o przedsiębiorstwach usługowo-rzemieślniczych, zatwierdzonej uchwałą Rady Ministrów ZSRR z dn. 3 V 1976. Zgodnie z nią na terytorium ZSRR obywatelom radzieckim nie wolno zajmować się w celach handlowych: "wytwarzaniem aparatów powielających i kopiujących, matryc, pieczęci, druków, pisma, rozpowszechnianiem wszelkiego rodzaju druków, odbitek fotograficznych, drukowaniem płyt gramofonowych, filmów i taśm magnetofonowych" /4/.

Zgodnie z "Komentarzem naukowo-technicznym", odpowiedzialność z art. 148 KK USRR nie następuje w wypadku, gdy ktoś zajmuje się produkcją wyżej wymienionych przedmiotów dla potrzeb osobistych /5/. Brak cech przestępstwa w myśl prawa o "zabronionej wytwórczości" nie wyklucza jednak ścigania sądowego z innych paragrafów KK.

Tak np. 25 listopada 1977 r. w Kingiseppie, w obwodzie leningradzkim, sądzono czterech baptystów ewangelickich, współpracowników wydawnictwa "Chrześcijanin" działającego bez zgody Państwowego Komitetu d/s Wydawnictw. W czasie rewizji w domu, gdzie ich aresztowano, skonfiskowano 3 tony papieru, drukarnię i inne urządzenia typograficzne. Drukarze Larisa i Ludmiła Zajcew oraz I.I.Lewen i właściciel domu D.I.Koop skazani zostali na karę pozbawienia wolności od lat 3,5 do 4,5 /6/.

Z drugiej strony brak celu przestępstwa nie wyklucza możliwości przesładować posesadowych. Przykładowo - po znalezieniu w trakcie rewizji u członka Grupy Inicjatywnej Obrony Praw Człowieka w ZSRR W.Borysowa eksperymentalnego szkicu urządzenia drukarskiego Władimir Borysow został przymusowo zatrzymany w 3 Leningradzkim Szpitalu Psychiatrycznym. Ponieważ wynalazca do chwili rewizji nie zdążył wyprodukować swojego "prostego, taniego aparatu drukarskiego" do "samodzielnego drukowania literatury spoza zasięgu cenzury", przesiedział w domu wariatów tylko pół roku, od 13 IX 1976 do 4 III 1977 r.

Znane są wypadki, gdy podsądnym zarzucano powielanie przy pomocy drukarni literatury uznanej przez sąd za "antyradziecką". Tak więc 10-16 lipca w Leningradzie odbyła się rozprawa Georgija Dawydowa i Wiczesława Pietrowa oskarżonych z art. 170 KK RFRS /"agitacja i propaganda antyradziecka"/. Zarzucano im m.in. powielenie na mimeografie 40 egzemplarzy "Taktyki Ruchu Demokratycznego w ZSRR". Wyrok: Dawydow - 5 lat obozu o obostrzonym rygorze plus dwa lata zsyłki, Pietrow - 3 lata obozu o obostrzonej dyscyplinie plus dwa lata zsyłki. Inny precedens - sprawa Aleksandra Bołonkina i Walerija Bałakiriewa /oskwa, 19-23 listopad 1973/. Artykuł 170 KK RFRS, oskarżenie - "przygotowanie" w tej samej liczbie na rotatorze własnej konstrukcji literatury antyradzieckiej. Wyrok: Bołonkin - 4 lata łagrów i 2 lata zsyłki, Bałakiriew - 5 lat pozbawienia wolności.

Ponieważ praktyka przeprowadzania spraw z art. 170 KK RFRS jest już dokładnie zbadana, nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że wyroki w rozprawach przeciwko tym ludziom byłyby inne gdyby "przygotowywali" zarzucane im materiały klasycznym sposobem samizdatów, tzn. na maszynie do pisania.

Znany jest natomiast wypadek, który pozwala przypuszczać, że kopiowanie nawet "kryminalnej" literatury i nawet na państwowym aparacie, ale nie w celu rozpowszechniania, lecz dla siebie, nie pociąga za sobą odpowiedzialności karnej. Mowa jest o sprawie Walerija Mare sina.

Z aktu oskarżenia: "9 października 1974 r. razem z J.P. Dobraczewym przyjechał do Instytutu Weterynarii Eksperymentalnej, żeby powielić dla Dobryczewa książkę A. Schweitzera "Kultura i etyka". Wykorzystując nieobecność innych osób, Maresin rozpoczął kopiować sposobem fotograficznym książkę A. Sołżenicyna "Archipelag GULag", części nr 3 i 4... W trakcie kopiowania książki Maresin został zaskoczony przez laborantkę W.N. Czylinę i kierownika laboratorium W.A. Gorbatowa, który zakwestionował u niego książkę /7/.

17. października 1974 r. Siergiej Kowalew skierował pismo do przewodniczącego KGB, Jurija Andropowa. W piśmie wyjaśnił, że książka zabrana Maresinowi należy do niego i zażądał jej zwrotu. W trakcie rozprawy Maresin odmówił wyjaśnienia od kogo otrzymał "Archipelag GULag". 14 kwietnia 1976 r. Sąd Najwyższy Litewskiej SRR skazał W. Maresina na 6 miesięcy robót z zaleceniem ich odbycia w miejscu pracy za 20% zarobków "za odmowę udzielenia zeznań" /ust. 189 KK Lit. SRR/ /8/.

Z historii ruchu radzieckich opozycjonistów rozpoczynając od 1966 r. wiadomo, że odmowa odpowiedzi na pytania w sprawach a "antyradziecką agitację i propagandę" zawsze pociąga za sobą taką właśnie karę. Nawet jeśli świadek nie powie dla siebie materiałów interesujących sąd.

W ten sposób można stwierdzić, że powielanie jakichkolwiek materiałów drukowanych "dla siebie, a nie dla kierownictwa" i, dodajmy, nie dla przyjaciół, a tym bardziej nie na sprzedaż, nie pociąga za sobą odpowiedzialności karnej. Nie prawnie, ani w praktyce, jednakże istnieje ustawa Prezydium Rady Najwyższej ZSRR "O odpowiedzialności administracyjnej za naruszenie zasad... wykorzystania, ewidencji i ochrony urządzeń powielających", zgodnie z którą "Osoby odpowiedzialne za przestrzeganie zasad wykorzystania, ewidencji i ochrony urządzeń powielających, sprzętu poligraficznego, drukarni i matryc, winne naruszenia tych zasad mogą podlegać karze administracyjnej w wysokości do 50 rubli" /9/.

Na zakończenie chciałoby się przypomnieć, że zgodnie z art. 50 Konstytucji ZSRR wolność druku "zapewniona jest przez udostępnienie masom pracującym i ich organizacjom... możliwości wykonywania druku". Tymczasem art. 125 radzieckiej Konstytucji z 1936 r. zawierał punkty, w myśl których prawa obywateli ZSRR zapewniało "udostępnienie masom pracującym i ich organizacjom... drukarni, zapasów papieru... i innych środków materialnych niezbędnych do urzeczywistnienia tego prawa". Tak więc z czysto formalnego punktu widzenia można stwierdzić, że nowa konstytucja ZSRR nie jest sprzeczna z istniejącą praktyką.

/1/ "Kontynet" 1976 nr 8, /2/ J. Dimitriew "Rotaprint i sumienie", Trud, 5 kwietnia 1979; /3/ Uchwała o zaostrzeniu kontroli nad typografią, /4/ SP ZSRR 1976, nr 7 s. 39, komentarz do prawodawstwa radzieckiego w dziedzinie nielegalnej produkcji - zob. W. Czalidze "Rosja Karna" New York, "Kronika" 1977, s. 246-62; /5/ Kodeks Ukraińskiej SRR. Komentarz naukowo-praktyczny. Kijów 1978, s. 409, /6/ Patrz "Kronika" nr 46, s. 43, 48, 121, /7/ "Kronika" nr 40, s. 71, /8/ Tamże, /9/ Zob. Biuletyn Sądu Najwyższego ZSRR 1978 nr 6 s. 38.

KUCHNIA POLSKA - WSPOMNIENIA

Jak poznać dobre mięso?

Dobre mięso wołowe powinno mieć piękny kolor krwisty, powinno być pulchne i soczyste, ani zbyt chude, ani bardzo tłuste. Jeżeli kolor jest bardzo ciemny, znać, że ze starożytności, mięso więc będzie łykowate. Łój przy mięsie powinien być jasno-żółty - wyjątkowo tylko latem skutkiem paszy łój bywa ciemniejszy. Na mięso wołowe sezonu nie ma, cały bowiem rok jest ono zdrowe i posilne, jednakowoż zimową porą najwięcej się jada wołowiny. Mięso wołowe szczególnie rozbeł i kóttlet czyli antrykot, powinno chociaż dzień jeden przed użyciem leżeć na lodzie lub w chłodnym miejscu. Najczęściej używane części wołu są: poledwica, rozbeł, antrykot, zrazowa i krzyżowa.

Cielęcina powinna być biała, obłana białą tłuszcznością - najsmaczniejsza i najdelikatniejsza, gdy cielę ma 2-3 miesiące, dlatego u nas rzadko znaleźć dobrą cielęcinę, gdyż cielę ma u nas najwyżej 2-4 tygodni. Najdelikatniejsza i najbielsza jest cielęcina w maju. Najwięcej używane części są:

dyszek czyli ćwiartka, ferszlak z nerka, comber, mostek i górką.

B a r a n i n a najlepsza od rocznego skopu. Kolor mięsa baraniego jest ciemniejszy od wołowego, ale tłuszcz powinien być zupełnie biały; najsmaczniejsza w jesieni. Najważniejsze części barana są: dyszek, górką, comber i mostek.

W i e p r z o w i n a, najsmaczniejsza od młodego wieprza, kolor jej blado-różowy, a tłuszcz biały, zbity; starego wieprza łatwo poznać po ciemnym kolorze mięsa, które zawsze jest twarde, a zatem niśmaczne. Słonina powinna być gruba i biała; części najwięcej używane: szynka, polędwica, schab czyli zebra.

D r ó b wszelki najlepszy gdy młody i tłusty, a łatwo go rozróżnić od starego po grubości kolan i łap i po miękkości dolnej części dzioba, który łatwo daje się zginać. Stary drób jak kury, gęsi i kaczki ma zawsze silną budowę ciała, grubą kość piersiową, ale łapy cienkie, uda sinawe, a dziób twardy; stare kury mają chudą szyję, a łapy cienkie, pokryte grubą, pokuszczoną skórą.

K u r c z ę t a najsmaczniejsze od maja do sierpnia, 6-cio tygodniowe dobre do smażenia, większe do gotowania lub pieczenia.

K a p ł o n y karmione jednoroczne są doskonałym pieczysem, najsmaczniejsze w zimie.

K a c z k i i g ę s i najsmaczniejsze półroczne, najlepsze w łęcie od lipca do końca grudnia.

I n d y k i młode poznaje się po białości skóry i tłuszczu, jeżeli mają udka fioletowe i tłuszcz żółty, to znaczy, że stare, będą więc twarde i żykowane; najsmaczniejsze indyki od września do maja.

Wszelki drób z wyjątkiem kurcząt i gołębi, które zaraz po zabiciu używać można, powinien przed użyciem wisieć kilka dni w chłodnym miejscu, aby skruszał.

Z w i e r z y n ę należy kupować świeżą i bez zapachu; comber zajaca powinien być gruby, sarna im większa tym smaczniejsza. Zwierzyna najsmaczniejsza w jesieni i zimie, tj. od października do marca.

Marta Norkowska "Najnowsza kuchnia wytworna i gospodarska"

spin: POLPOT czyli POLAK POTRAFI

1. Jan Gajewski "Canaris". Książka i Wiedza, 1977, str. 189 /podkr. - spin/:
"/.../ Polskieru dziennikarzowi, Kazimierzowi Boczarowskiemu udało się przeprowadzić w więzieniu rozmowę ze zbrodniarzem wojennym, katem getta w Warszawie, generałem SS i policji, Jürgenem Stroopem. Oto fragmenty tej rozmowy /.../"
2. Słownik Wyrazów Obcych. Red. naukowy doc. dr Jan Tokarski, PWN, Warszawa 1971 /podkr. - spin/:
g e r m a n i z o w a ć /str. 249/ "narzucać komu kulturę niemiecką, język niemiecki, zmuszać kogo do przyjęcia narodowości niemieckiej, niemczyć"
p o l o n i z o w a ć /str. 589/ "nadawać czemu cechy polskie, wprowadzać zwyczaje polskie, kulturę polską, wpływać na kogo by stał się Polakiem, polszczyć"
r u s y f i k o w a ć - brak hasła
r u s y f i k a c j a /str. 657/ "narzucanie kultury rosyjskiej, języka rosyjskiego jako przejaw polityki wynaradawiania stosowany przez władze carskie w okresie zaborów"
3. W "Słowniku Wyrazów Obcych" pod red. prof. dr Zygmunta Rysiewicza /PIW, lata sześćdziesiąte, wiele wydań/ nie ma "rusyfikacji" i nie wiadomo, co znaczy "rusyfikować". "Germanizować" to tylko "niemczyć", "polonizować" to "nadawać charakter, cechy polskie; polszczyć", za to m a d z i a r y z o w a ć - "poddawać wpływom węgierskim, wynaradawiając przerabiać na Węgrów"

=====
Gorąco dziękuję wszystkim, którzy współtworzą tę rubrykę przysyłając mi wycinki /te na razie nie wykorzystane czekają swojej szansy/ i zwracając uwagę na

POTwarze, POTknięcia i POTworności słowa oficjalnie drukowanego, na budowaną z niego POTęgę, POTakiewanie lub POTępianic i na wszystkie inne POT-y.
spin

Już drugie wydanie
arcydzieła rosyjskiej satyry
WIEDIEDIKT JEROPJIEJEW
"MOSKWA - PIETUSZKI"
tom 1 Biblioteki "PULSU"
wydany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą
Młot
na nasz raj
Porywająca podróż, szalona przygoda

Już w sprzedaży
tom 2 Biblioteki "PULSU"
PIOTRA WIERZBICKIEGO
"GNIDZI PARNAS"
Co to jest gnida?
Co robią niańki?
Oto pytania, na które z
brawurą i ze znanstwem
odpowie Wam Autor.
Pamiętajcie:
Wierzbicki - "Gnidzi parnas"
Żądajcie wznowienia
Wydawca: Niezależna Oficyna Wydawnicza

KRONIKA

maj

W Sztokholmie powstał polsko-szwedzki klub dyskusyjny "Via", którego przewodniczącym został Michał Koszkowicz. Na pierwszym zebraniu N. Tenenbaum wygłosił odczyt "Niezależna literatura w kraju".

czerwiec

Szwedzkie pismo "Artes" /nr 3/79/ opublikowało dwa cykle wierszy Czesława Miłosza, dwa eseje jego pióra oraz obszerny szkic Artura Lundkvista o znaczeniu twórczości autora "Traktatu moralnego".

Odbyła się oczekiwana z napięciem pielgrzymka do Polski papieża Jana Pawła II.

W Monachium odbyło się spotkanie pisarzy-uchodźców z krajów bloku moskiewskiego. We wspólnym wieczorze autorskim wystąpili A. Gładilin, P. Goma, N. Gorbaniewska, D. Inkiow, L. Mnacko, W. Niekrasow, W. Wirpsza.

Raport Amnesty International: od podpisania aktu końcowego KBWE w Helsinkach w ZSRR skazano 321 osób za próbę skorzystania z przysługujących im praw.

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza połączony z wernisażem wydanej przez ten ośrodek kultury polskiej "Księgi Psalmów" tłumaczonej przez Miłosza z hebrajskiego.

Jury nagrody im. Kościelskich nie przyznało w tym roku nagrody krajowej. Kandydowali, jak podawała w RWE p. Danilewicz-Zielińska, Maria Nurowska i Janusz Anderman, których książki na czas do jurorów nie dotarły. Swoją drogą mogli je swego czasu przeczytać w "Twórczości".

lipiec

W RFN ukazało się "ulepszone" wydanie "Literatury Polski Ludowej" pióra Włodzimierza Maciąga. Znajdujemy tu "eksportowy" obraz naszego piarstwa powojennego. Nie dla tubylców.

Ukazał się w Chinach nr 3 niezależnego kwartalnika literackiego "Chińska Wiosna". Numer w całości wypełnia powieść Sun Minga "Tragedia roku 2000" przypominająca w pomyśle "Małą apokalipsę" Tadeusza Konwickiego wydaną w nr 10 "Zapisu".

RWE nadała wywiad z redaktorem wychodzącego w Chicago kwartalnika "Pomost". Wyszły dotychczas trzy numery pisma zajmującego się przybliżaniem środowiskom polonijnym problemów krajowych. Przy okazji dziękujemy redakcji i czytelnikom "Pomostu" za dary na fundusz "Pulsu".

Środowisko skupione wokół niezależnego pisma młodych "Bratniak" powołało do życia organizację Ruch Młodej Polski.

Zbigniew Herbert otrzymał w RFN Nagrodę im. Petrarcki za całokształt twórczości poetyckiej.

W NRD z tamtejszego związku pisarzy zostali usunięci: Kurt Bartsch, Adolf Endler, Stefan Heym, Karl Heinz Jacobs, Klaus Poche, Klaus Schlesinger, Rolf Schneider, Dieter Schubert i Joachim Seyppel za publikowanie swych utworów na Zachodzie.

Ponad 500 obywateli polskich zwróciło się do Konferencji Episkopatu Czech i Moraw z apelem o pomoc dla więzionych w Czechosłowacji działaczy niezależnych.

W Berlinie Zachodnim odbył się wieczór autorski Adama Zagajewskiego ze wstępem Witolda Wirpszy. Wieczór otrzymał entuzjastyczną ocenę prasy berlińskiej.

Prof. Edward Lipiński, ekonomista, członek-założyciel KSS KOR został wybrany członkiem-korespondentem Akademii Brytyjskiej.

Na łamach niezależnego pisma "Robotnik" ogłoszono Kartę Praw Robotnika.

Nakładem "Książki i Wiedzy" ukazał się tom wspomnień L. Breźniewa "Nowe ziemie"

Odbyła się zorganizowana przez Ruch Obrony kilkutysięczna manifestacja zorganizowana w związku z kolejną rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego.

sierpień

Vaclav Havel, pisarz czeski przebywający od dłuższego czasu w areszcie, został wybrany członkiem honorowym szwedzkiego PEN Clubu.

Laureatką polskiego PEN Clubu za przekłady literatury polskiej została Karin Wolff /NRD/.

Jarosław Iwaszkiewicz został wyróżniony jedną z najpoważniejszych nagród literackich Włoch - sycylijską Premię Mondello.

Jerzy Kawalerowicz odznaczony został w Moskwie medalem z okazji 60-lecia kinematografii radzieckiej.

W czasie XI MFF w Moskwie złoty medal oraz nagrodę PIPRESCI zdobył film K. Kieślowskiego "Amator".

Wiedeń stał się - po Nowym Jorku i Genewie - trzecim miastem ONZ. Otwarto tam Vienna International Center, siedzibę kilku organizacji Narodów Zjednoczonych.

Aresztowano w Polsce Alicję Wesołowską oskarżoną o szpiegostwo. Jest ona urzędniczką ONZ i przejeżdżała przez Polskę w drodze do Mongolii. Do aresztowanej nie dopuszczono, mimo apelu K. Velcheima, przedstawicieli ONZ.

Ryszard Krynicki otrzymał paszport na wyjazd do Knokke-Heist /Belgia/ na odbywający się tam Międzynarodowy Festiwal Poezji. Odmówiono prawa wyjazdu Lechowi Dymarskiemu, Zdzisławowi Jaskule i Leszkowi Szarudze. Odrzucono prośbę Jacka Bierzina o paszport służbowy /ZLP/. Stanisław Barańczak, również zaproszony na ten festiwal, zrezygnował z ubiegania się o paszport w związku z niezakończoną sprawą wyjazdu do Harvard /USA/.

S. Klonowicz na łamach "Służby Zdrowia" stwierdził, że w latach 1960-77 Polska przeszła od fazy przejściowej między młodością a starością demograficzną do fazy starości właściwej.

Wyprodukowanie litra mleka w PGR kosztuje 30 zł.

Na 137 przedsiębiorstwach, w których "Trybuna Robotnicza" przeprowadziła kontrolę cen, ponad połowa zawyżała ceny bez uzasadnienia.

Na festiwalu filmowym w Panamie Krzysztof Zanussi otrzymał główną nagrodę za film "Spirala".

Indie wystrzeliły swego pierwszego sztucznego satelitę Ziemi.

Warszawska "Kultura" podaje, że w 1978 r. liczba wypadków porzucenia pracy w Polsce wynosiła 78 tys. Jest to, zdaniem gazety, "znacznie więcej" niż w roku 1977.

Na 105 pozycji przewidzianych w planie wydawniczym PAX na rok 1979 w pierwszym półroczu wydano 6.

Spośród 285 zdjęć zaproponowanych do paxowskiego albumu o wizycie Jana Pawła II w Polsce cenzura usunęła 35.

W artykule "Na odsiecz kinom" Dipont /"Literatura", 33/ ujawniła, że Uchwałą Rady Ministrów z 1975 r. zaprojektowano do 1980 r. budowę 50 kin. Następnie plan zmniejszono do 32, by zredukować go w końcu do 16. Dotychczas oddano jedynie kino w Skierniewicach.

PAP ogłosiła w prasie centralnej komunikat w związku z 70-leciem Jerzego Andrzejewskiego, a "Literatura" zamieściła wywiad z pisarzem. NOWA zapowiada wydanie w tym roku powieści Andrzejewskiego "Wiazga" od kilkunastu lat zatrzymanej przez cenzurę.

Maciej Prus otrzymał nagrodę im. Konrada Świnarskiego za wystawienie "Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego uznanej za najlepszy spektakl sezonu 1978/79.

Uroczystą likwidację salonu literackiego Anny i Tadeusza Walendowskich /w związku z ich czasowym wyjazdem do USA/ ozdobiła licytacja sprzętów, którą kierował Lech Dymarski.

Kurt Weldheim, sekretarz generalny ONZ odznaczony został Orderem Uśmiechu przyznawanym co roku przez dzieci polskie. Z inicjatywa przyznania orderu Weldheimowi wystąpiła działka pod przewodnictwem pedagogów Szkoły Podstawowej im. Bojowników o Wolność i Demokrację w Eolesławcu.

Zmarł Herbert Marcuse, jeden z duchowych przywódców lewicowych rewolt studenckich w 1968 roku.

Czechosłowację odwiedził Miłosz Forman, wybitny reżyser /"Lot nad kukułczym gniazdem"/, który w 1969 r. wyemigrował do USA.

W "Polityce" /nr 34/ min. Adam Kowalik /MHIU/ oznajmił, że jest w stanie zaspokoić potrzeby rynku jedynie w zaopatrzeniu w tłuszcze, cukier, wyroby cukiernicze i ciastkarskie, mąkę, makaron, ryż, pieczywo, mąkę ziemniaczaną, koncentraty spożywcze, owoce, warzywa, napoje bezalkoholowe, herbatę, kawę naturalną i przyprawę korzenne.

Sonda kosmiczna USA "Pionier 11" przekazała pierwsze zdjęcie Saturna.

Wnuk K. Marksa, francuski dziennikarz Robert-Jean Longuet oświadczył, że "zachodnim dziennikarzom jest coraz trudniej ukrywać sukcesy osiągnięte przez KPCz i rząd CSRS w systematycznym rozwoju socjalistycznej Czechosłowacji".

Prof. Jan Krenz objął stanowisko generalnego dyrektora muzycznego Bonn.

Podano do wiadomości, że praktycznie została zlikwidowana przez przemysł Pustynia Błędnowska, unikalny park krajobrazowy.

Prokuratura w Jeleniej Górze nie odpowiada na interwencje w sprawie dewastacji Karkonoskiego Parku Narodowego.

Puszcza Kampinoska zagrożona jest przez użycie chemicznych środków uprawy leśnych użytków rolnych.

wrzesień

Zdjęty został ze stanowiska I sekretarza PEPR w Koninie Tadeusz Grabski, autor ostrego krytycznego wystąpienia przeciw obecnej polityce gospodarczej. /Tekst przemówienia Grabskiego opublikowany został w niezależnym miesięczniku "Głos"/

W czasie świąt dożynkowych premier poinformował, że w roku 1979 zebrano o 4 mln ton zboża mniej niż w 1978 r.

Cena samochodu "Polonez" osiągnęła na giełdzie wartość 520 tys. zł.

Pisarzowi czeskiemu przebywającemu w areszcie, Vaclavovi Havelovi zaproponowano opuszczenie kraju. Havel odmówił oświadczając, że nie wyjedzie, póki jego współtowarzysze z "Karty 77" i Komitetu Niesłusznie Prześladowanych będą więzieni.

Minęło 100 lat od utworzenia Polskiego Związku Narodowego, organizacji Polonii amerykańskiej.

W wojsku polskim wprowadzono nową szablę paradną wzorowaną na szablach żołnierzy hetmana Czarnieckiego. "Życie Warszawy" donosi: "Przed kilku laty powołano komisję, której zadaniem było opracowanie wzorów paradnych szabel dla wojsk lądowych i marynarki wojennej. W wyniku studiów i dyskusji komisja ustaliła, jakim kryteriom odpowiadać powinna szabla paradna UWP".

W Moskwie otwarto Międzynarodowe Targi Książki z udziałem przedstawicieli 75 krajów. Władze nie dopuściły do eksponowania ok 40 tytułów, m.in. utworów Sołżenicyna i Mandelsztamowej.

W Paryżu otwarto Instytut Polski mający się zajmować upowszechnianiem dorobku kulturalnego PRL.

Odbyła się na pl. Zwycięstwa kilkutyśniczna demonstracja z okazji 40-lecia wybuchu II wojny światowej. Proklamowano utworzenie opozycyjnej partii politycznej o nazwie Konfederacja Polski Niepodległej, której szefem jest Leszek Moczulski.

Nie doszła do skutku "wizyta pojednania" grup Federalnego Związku Młodzieży Niemieckiej w Polsce zaplanowana z okazji 40-lecia wybuchu wojny. Uchwała związku młodzieży RFN stwierdza: "PSZP postawiła nam warunki, które wymagają od nas, abyśmy na terenie Polski zajmowali się krytyką aktualnych stosunków w naszym kraju".

W Londynie odbył się polonijny Światowy Zjazd Jedności z Walczącym Krajem. Oto tekst depechy przesłanej uczestnikom przez redakcję "Pulsu": "Z radością i nadzieją witamy Zjazd, któremu życzymy sukcesów w dążeniu do zjednoczenia polskich sił demokratycznych. Wierzymy, że poczesne miejsce w czasie obrad zajmą problemy scalania kultury narodowej, szczególnie likwidacji jej podziału na kulturę krajową i emigracyjną".

Systematycznie niszczonego jest najstarszy wczesnośredniowieczny zabytek Warszawy, gród "Zagórki". Zamiast planowanego tu rezerwatu archeologicznego powstało wysypisko śmieci.

Rozmiar szkód wyrządzonych chorobami pasożytów w lasach polskich określony został przez prof. Koehlera jako jedno z największych tego typu zniszczeń na świecie.

W parku wilanowskim /zabytek klasy "0"/ w ciągu lat 1978-9 doprowadzono do tego, że zatrucia przemysłowe spowodowały martwicę wód, usychanie roślinności i zagrażają awarią urządzeń palacowych. Prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie.

KSS FOR wydał oświadczenie w związku z 40-tą rocznicą wkroczenia do Polski wojsk ZSRR. Oświadczeniu oskarża się władze ZSRR o zbrodnie ludobójstwa popełniane na ludności polskiej, zaś władze PRL o utrudnianie dochodzenia w tej sprawie.

W związku z rocznicą wkroczenia wojsk ZSRR do Polski na murach Warszawy pojawiły się napisy "17 IX PAMIĘTAMY".

W czasie turnee po USA troje czołowych solistów baletu "Bolszeoj" poprosiło o azyl polityczny. Są nimi obywatele ZSRR Aleksander Godunow oraz Walentyna i Leonid Kozłowowie.

Z NRD 8 osób uciekło do RFN balonem wypełnionym podgrzewanym powietrzem.

K.Kiełowski otrzymał główną nagrodę VI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku za film "Amator". Nagrodę dziennikarzy zdobył J.Kijowski za film "Kung Fu".

Ponad 50% dorosłej ludności krajów bloku moskiewskiego słucha regularnie radiostacji zachodnich - wiadomość tę opublikował "Le Monde".

Rozpoczęła się już czwarta od wprowadzenia kartek w roku 1976 "kampania cukrownicza".

Podano do wiadomości, że poza granicami kraju kształci się 4000 studentów i doktorantów, którzy po powrocie często mają kłopoty z zatrudnieniem.

II Kongres Uczonych Polskiego Pochodzenia zorganizowany w kraju zakończył się ostrą krytyką organizatorów. Nie dopisali też goście.

Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę o obchodach 100-lecia polskiego ruchu robotniczego.

W Jędrzejowie ukazał się pierwszy numer niezależnego kwartalnika literackiego "Czasownik" obejmujący 200 stron maszynopisu i zawierający wiersze, prozę oraz eseje czterech autorów.

Tytuły najlepszych tokarzy RWPG zdobyli Stefan Reński /Polska/ i Istvan Toth /Węgry/.

Po Pomniku Czynu Polaków w Szczecinie ma zostać postawiony Pomnik Trudu Górniczego w Chorzowie.

W VIII Warszawskiej Jesieni Poezji i tym razem zorganizowanej bez udziału ZLP wzięło udział 110 poetów z Polski i zagranicy.

Ujawniono, że w pierwszym półroczu 1979 r. wykryto kradzieże mienia społecznego wartości 752 mln zł. Kradło 320 dyrektorów, wicedyrektorów i księgowych.

Socjolog Eugeniusz Olczyk w dyskusji na łamach "Literatury" /nr 35/ o nazwiskach dowódców II wojny światowej obecnych w społecznej pamięci: "nie znajdujemy na tej liście nikogo z przywódców Polski przedwrześniowej - zarówno politycznych jak i wojskowych. Nie ma tych nazwisk. /.../ Kto natomiast jest na pierwszych miejscach? Od początku tych i innych badań zdecydowanie pierwsze miejsce zajmuje Karol Świerczewski. Poza tym czołówkę stanowią przywódcy lewicy - B. Bierut, W. Wasilewska, J. Nowotko oraz dowódcy Ludowego Wojska Polskiego". Oto efekty długotrwałej pracy cenzury! Jako uzupełnienie tej wypowiedzi: rozgłośnia BBC wycofała zapowiedzianą w Warszawie wystawę o działalności jej sekcji polskiej. Powód? Władze PRL nie zezwoliły na prezentację zdjęć m.in. przedstawiających gen. Andersa, gen. Maczka i gen. Sosnkowskiego.

Kronikę zamknięto 30.09.1979., oprac.: A.W.

Leszek Szaruga
02-760 Warszawa
ul. Batumi 4 m 59

Warszawa, 14 lipca 1979 r.

Komisja Interwencyjna
przy Zarządzie Głównym
Związku Literatów Polskich

Z przykrością pragnę powiadomić Kolegów, iż znów /który to już raz w dość krótkim czasie?/ zwracam się z prośbą o Interwencję, a przynajmniej o wyjaśnienie. Rzecz przedstawia się następująco.

W roku 1972 złożyłem w Wydawnictwie Literackim w Krakowie tom wierszy p.t. "Dowód osobisty". Po odpowiednim czasie otrzymałem odpowiedź, że tom, na podstawie bardzo pochlebnej recenzji p. Marty Wyki został przyjęty /wiele razy potem odnaleźć można było w prasie, a ostatnio nawet w jednej z warszawskich księgarni zapowiedź wydania książki, co podobno stanowi "obietnicę publiczną" złożoną mi przez Wydawnictwo/. Potem czekałem blisko dwa lata, aż w końcu 10 lipca 1974 /lat temu pięć/ Wydawnictwo uznało za stosowne nadesłać mi umowę. Następnie znów minęły blisko dwa lata, aż w lutym 1976 r. otrzymałem z drukarni korektę autorską. To, co mi do korekty przysłano nie miało dołącznie takiego kształtu, jaki zamierzałem tomowi nadać, ale trudno: wiem przecież, że w naszym kraju literatura traktowana jest w sposób specjalny, jestem obywatelem świadomym i nie awanturuję się o drobiazgi. Dołączyłem do tomu podtytuł "wycinanki poetyckie" i korektę odesłałem.

Aliści zdarzyło się w tym czasie, że po sześciu latach ubiegania się o paszport otrzymałem ni z tego ni z owego i w dość specjalnej formie zezwolenie na wyjazd w odwiedziny do rodziców mieszkających w Berlinie Zachodnim /a właściwie na wyjazd do Belgii - chodziło o to, żebym mianowicie zrezygnował oficjalnie z odwiedzenia rodziców, nieoficjalnie zaś robił to, co mi się w rozsądnych granicach podoba - sytuacja jasna i nie wymagająca specjalnego komentarza: rodzaj urzędowej paranoi/. Po powrocie, prócz zdziwienia funkcyjnariuszy /"O! to pan wrócił?"/ oczekiwała mnie wiadomość, że skład mojej książki został rozsypany /była to wiadomość ustna/ z tego mianowicie powodu, iż pozostałem na Zachodzie. Cóż - w moim krótkim życiu już nie o takich numerach słyszałem. Zacząłem więc cierpliwie wyjaśniać, że na Zachodzie nie zostałem. Z wyjaśnieniami trafiłem nawet do ob. J. Trzciskiego w gmachu KC PZPR, ale ów słusznie zauważył, że wydanie tomu to nie jest sprawa KC. Bo rzeczywiście nie jest /tylko żeby Oni w to sami uwierzyli!/. Natomiast zorientowałem się w trakcie rozmowy, że władze partyjne nie bardzo są zadowolone z działalności Koła "Łodych przy Oddz. Warsz. ZLP, a zwłaszcza z faktu, iż to ja jestem tego Koła przewodniczącym /zostałem wybrany legalnie, zgodnie z obowiązującą procedurą/.

Tutaj, prawem dygresji, parę uwag.

Otóż zdażyłem się w czasie już 12 lat /tak, tak - czas jednak upływa/ trwającej mojej publicznej działalności literackiej /debiut w 1967 r./ zorientować, że władza od początku ma do mnie coś /wyjawszy oczywiście fakt, że jestem synem swego ojca/ pretensje. O co? Nie wiadomo. Nigdy mi nikt nic nie mówił. Zaczęło się w każdym razie od tego, że posadzono mnie na parę miesięcy do więzienia, potem wypuszczono z opinią Wysokiego Sądu o "braku cech przestępstwa" w moim postępowaniu, ale na wszelki wypadek zakazano kontynuowania studiów /potem zezwolono, lecz zaocznie - ukończyłem je szczęśliwie w roku 1976/. Drukowano mnie w kratkę, falami - raz podobno były jakieś trudności /jakie?/ i materiały moje leżały miesiącami /redaktorzy czasopism mówili mi wtedy: "Sam pan rozumie", albo "Wiesz stary o co chodzi" - nie wiedziałem, ale starałem się rozumieć/, raz znów trudności nie było, wtedy teksty szły hurtem, a niektórzy przedstawiciele władz /co wiem od kół zbliżonych - u nas się o wszystkim człowiek w końcu dowie/ kręcili nosem na owe "festiwale" Szarugi. W końcu stała się jasność: ktoś gdzieś zdecydował definitywnie, że Szarugi drukować "nie będziemy". Na szczęście podówczas powstały różne czasopisma /nieoficjalne, to prawda, lecz w świetle przepisów prawnych w Polsce obowiązujących całkowicie legalne/, które przyjęły moje teksty. Uszę przyznać, że przyjąłem to rozwiązanie z pewną satysfakcją /ale nie mściwą/ - w końcu, podobnie jak wielu innych ludzi, lubię publikować swoje utwory. Chciałbym

tu podkreślić, iż redakcje w "Zapisie" i "Pulsie" - bo o nich tu mowa - w zasadzie nie wypłacają honorariów, mogą więc uznać, iż pracują społecznie.

Wracam do wątku głównego.

Otóż w przededniu ostatniego zjazdu ZLP w Katowicach dostałem pismo zawiadamiające, że Wydawnictwo Literackie dzielnie nie zrezygnowało z wydania mojej książki. W listopadzie A.D. 1978 otrzymałem nawet korektę autorską, zaś w styczniu br. pojawiła się wspomniana zapowiedź w firmowej księgarni WL.

Aliści znów zdarzyło się w tym czasie, że wyjechałem, po trzech latach skamlenia o paszport, za granicę - znów też po to, aby odwiedzić rodziców. Paszport otrzymałem w ramach akcji humanitarnej: ojciec mój miał akurat trzeci zawał serca. Po powrocie, któremu tym razem nikt się nie dziwił, otrzymałem z Wydawnictwa Literackiego pismo /Z, zn. Skr/5663/79/ datowane 9.6.1979 zawiadamiające mnie, że "jesteśmy zmuszeni odstąpić od wydania Pańskiego utworu p.t. "Dowód osobisty".

W związku z tym chciałbym za pośrednictwem Kolegów dowiedzieć się, jakie są przyczyny tego dramatycznego kroku, kto zmusił WL, i w jakim celu, do odstąpienia. Jeżeli to możliwe, proszę również o interwencję w sprawie samego wydania tej książki, lecz jest to raczej prośba zwyczajowa - nie chciałbym Kolegów obarczać zadaniami zbyt ciężkimi i chyba /obym się mylił/ wykraczającymi poza ich możliwości działania.

Konkluduję - żyje mi się dziwnie, choć nie bez niespodzianek. Tajemniczość naszego życia literackiego zaczyna być tematem samym w sobie, wymagającym podjęcia natychmiastowych badań - jest to bowiem zjawisko coraz mniej zrozumiałe dla kogoś, kto nie ma niewątpliwego szczęścia uczestniczenia w nim bezpośrednio. A i studenci historii literatury polskiej za jakiś czas /Bóg jeden wie - jaki/ zęby sobie połamiają na temacie "Życie literackie w Polsce w drugiej połowie XX w.". W trosce o tych studentów pragnę uzyskać pisemną odpowiedź /chodzi o zdobycie dokumentu, który można będzie przekazać badaczom/ na pytanie następujące: Co tu jest grane? I po co?

P.S. Z góry odrzucam argumentację mówiącą, że się mnie nie drukuje z powodu współpracy z "Zapise" i "Pulsem" - gdybym nie został zmuszony przez władze, nie drukowałbym tam, lecz np. w "Miesięczniku Literackim" czy "Literaturze". Odrzucam też zarzut /możliwy/, że występuję przeciw komunizmowi. Nie można być przeciw czemuś, czego nie ma. Nie jestem komunistą, zaś teorię mówiącą, że mam mieć inne poglądy niż mam uważam za objaw schizofrenii; skoro zaś już mam swoje własne poglądy, to w świetle prawa wolno mi je wypowiadać. Z kolei też ani PZPR, ani państwo nie są /w świetle przepisów/ właścicielami społecznych w końcu wydawnictw, drukarni itp. Partia te dobra przywłaszczyła, ale to już inna sprawa. Tom mój został przyjęty - chciałbym znać powody, dla których nie jest drukowany. Byłoby nieźle, gdyby były to powody artystyczne. W tym celu proponuję wyjęcie następujące: uznać p. Martę Wykę za osobę niekompetentną, przekazać tom do recenzji p. Jackowi Kajtochowi, a on już swoje zrobi. Tak będzie przynajmniej jakoś po ludzku.

I jeszcze jedno. Chciałbym wyrazić Kolegom głęboki podziw dla ich pracy w tak ciężkich i skomplikowanych warunkach. Mówię całkiem serio - osobiście co prawda uważam, że jest to klasyczny przykład syzyfowego wysiłku, tym niemniej podejmowanie go w imię wyższych racji nawet przy świadomości znikomych rezultatów, zasługuje na najwyższy szacunek.

Leszek Szaruga

List otwarty do Andrzeja Wasilewskiego

Szanowny Panie

Pośród rozlicznych pełnionych przez Pana funkcji znajduje się też godność przewodniczącego Komisji Interwencyjnej Związku Literatów Polskich. Prawdopodobnie ta wielość funkcji zajmuje Panu masę czasu. Ale nawet brak czasu nie może być usprawiedliwieniem dla okazania lekceważenia petentom jednej z kierowanych przez Pana instytucji. Jeżeli bowiem kieruję skargę do Komisji Interwencyjnej staję się automatycznie jej petentem. Jeżeli z kolei Komisja nie przysyła mi nawet potwierdzenia, że skargę otrzymała, mam prawo przypuszczać, iż mnie lekceważy. A to już zupełnie niedobrze.

Milczenie Pana pozwala mi domyślać się, że moje skargi poniewierają się na Centralny Wysypisku Śmieci. Jednak sprawy, z którymi się do Pana zwracam są dla mnie o tyle istotne, że pozwolę sobie Panu o nich przypomnieć.

1/ W roku 1978 dyrektor Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku, pan Mazurkiewicz, poinformował mnie, że tom wierszy, który tam złożyłem, zdjęty został z planu wydawniczego na polecenie gdańskiego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Powodów interwencji K nie znam. Przyznam, że jest to jedyny znany mi wypadek, kiedy recenzentem wewnętrznym wydawnictwa jest nie krytyk literacki a Komitet Wojewódzki. Jeśli nawet przyjąć, że PZPR jest "przewodnią siłą" naszego narodu, to nie widzę powodu, dla którego cała ta siła wyładowywać ma się na losach mojego tomiku wierszy.

Tłumaczyłem sobie, że brak reakcji z Pańskiej strony na ów "wyczyn" gdańskiego KW podyktowany jest obowiązującą Pana dyscypliną partyjną. Rozumiem, że w naszej skomplikowanej rzeczywistości może być niezwykle trudną sprawą połączenie obowiązków zastępcy członka KC z obowiązkami przewodniczącego Komisji Interwencyjnej ZLP. Ale oprócz obowiązków wobec partii swojej, ma Pan także obowiązki wobec mnie. Wszak zgodnie ze swym statutem Związek ma obowiązek bronić interesów wszystkich ludzi piszących.

Zresztą - pał szcórę moją książkę. Ostatecznie więc Pan dobrze, iż mogę ją wydać w wydawnictwach niezależnych szybciej, lepiej, taniej. Ale tu chodzi o zasadę. Wtrącanie się organizacji politycznej do planów wydawniczych jest nie tylko dziecinną zemstą tej organizacji za moje urojone przewinienia. Jest także - i to jest groźne - bezprawiem.

2/ W kwietniu 1979 roku zostałem okradziony. Zostałem okradziony przez Służbę Bezpieczeństwa, która z błogosławiństwem Prokuratora Wojewódzkiego pozbawiła mnie: maszyny do pisania, książek, notatek, notesu telefonicznego oraz... listy członków Koła Młodych przy Oddziale Warszawskim ZLP. Nie otrzymałem ani nakazu rewizji ani protokołu rewizji ani też pokwitowania na przedmioty, które eufemistycznie nazwano "zakwestionowanymi". Tak więc była to zwykła, ordynarna kradzież. Warszawa, jak Pan widzi, ludzaco przypomina dziś Chicago z lat trzydziestych.

Na moją skargę Prokurator Wojewódzki zareagował zupełnie tak jak Pan. To znaczy zupełnie nie zareagował. Cóż dla Nas, Wielkich Figur, Prominentów jakis tam pawlak...

To, że Komisja Interwencyjna nie wykazała zainteresowania tą sprawą świadczy tylko o tym, iż uznaje fakt kradzieży za zrozumiały i zupełnie naturalny. Świadczy to może dobrze o Pańskim poczuciu realizmu, ale źle o stosunku do obowiązków, jakie pociąga za sobą pełniona funkcja. W złych snach odwieżdżają mnie uśmiechnięci pracownicy Służby Bezpieczeństwa. Zabierają telewizor, skarpetki, ciepły płaszcz... A ja jestem bezsilny. Wiem, że Komisja Interwencyjna nie kiwnie palcem w mojej sprawie, bowiem jej przewodniczący jeszcze posiada skarpetki...

Jak Pan widzi, skargi, które do Pana kierowałem dotyczyły spraw ważnych. Pożę nie ważnych w skali globalnej, ale jednak. Mam niekłamana nadzieję, że tym razem doczekam się od Pana jakiejś odpowiedzi. Interesuje mnie przede wszystkim odpowiedź na trzy nurtujące mnie pytania:

A/ Czy w ogóle istnieje Komisja Interwencyjna przy ZLP?

B/ W jakim celu została ona powołana?

C/ Co zamierza uczynić w mojej sprawie?

I jeszcze jedno. Nauczony smutnym doświadczeniem obawiam się, że i ten list ma szansę zagubić się w koszu ze zbędnymi papierami. Aby jednak nie zagiął w ogóle bez śladu pozwalam sobie traktować go jako list otwarty. Uprzedzam o tym, aby nie był Pan zdumiony, gdy zostanie on opublikowany w Polityce lub w Pulsie.

Z poważaniem

Antoni Pawlak

Anka Kowalska
 Estońska 4 m 2
 03-903 Warszawa

Warszawa, 25 maja 78

Do
 Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
 WARSZAWA

Zwracam się do Kolegów z prośbą, aby podjęli odpowiednie kroki w następującej sprawie:

23 grudnia 76 podczas rewizji w moim mieszkaniu zabrano mi maszynę do pisania /marki "Continental" nr 1929636/. 18 stycznia 77 wysłałam do Prokuratury Generalnej list z żądaniem zwrotu maszyny, mojej własności prywatnej i narzędzia pracy. W piśmie z 25 stycznia 77 wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Krystyna Barczewska poinformowała mnie, iż decyzja w powyższej kwestii "będzie podjęta w terminie późniejszym".

Ow "termin późniejszy" nie nastąpił przez rok. Po jego upływie - 31 stycznia 78 - ponownie zwróciłam się do Prokuratury w sprawie zwrotu maszyny. Do dnia dzisiejszego nie otrzymałam ani jej, ani odpowiedzi. Natomiast 15 maja 78 przeprowadzono w moim mieszkaniu następną rewizję, podczas której z mego telefonu informowano jakiegoś rozmówcę, iż twierdzą, że maszynę do pisania zabrano mi już półtora roku temu, i że istotnie nie daje się jej znaleźć w moim mieszkaniu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybym się przez owe półtora roku dorobiła się nowej maszyny, straciłabym ją podczas drugiej rewizji.

Nie potrzebuję Kolegom wyjaśniać, do czego potrzebna mi jest maszyna do pisania. Dodaję tylko, że jestem etatowym recenzentem wewnętrznym w wydawnictwie, i że pracuję w domu.

To nieodzowne narzędzie pracy, które mi zrabowano, ma tę jeszcze dodatkową cechę, że jest trudno dostępne i kosztowne. Nawet jednak, gdybym zdobyła się na kupno nowej maszyny, lub gdyby ktoś życzliwy wypożyczył mi swoją - po drugiej niedawnej rewizji mam wszelkie gwarancje, że kupiłabym lub pożyczę maszynę dla Prokuratury. Nie wydaje mi się to stosowne ani zgodne z prawem.

Proszę Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, aby dopomógł mi w odzyskaniu mojej maszyny do pisania, a także aby zaprotestował przeciw ponawianym co jakiś czas rewizjom w moim mieszkaniu.

Z tą samą prośbą zwracam się do Zarządu Warszawskiego Oddziału ZLP, któremu kopię niniejszego listu przesyłam.

Z poważaniem

Anka Kowalska

Przyp. red. Pismo niniejsze zostało przekazane Andrzejowi Wasilewskiemu przewodniczącemu Komisji Interwencyjnej przy ZG ZLP, Sekretarzowi POP Literatów i dyrektorowi Państwowego Instytutu Wydawniczego w jednej osobie.

Anka Kowalska
 ul. Estońska 4 m 2
 03-903 Warszawa

Warszawa, 15 lutego 1980 r.

Do
 Komisji Interwencyjnej
 Związku Literatów Polskich
 Warszawa

25 maja 78 r. zwracałam się do ZG ZLP z prośbą o interwencję w sprawie zabranej mi w grudniu 76 r. podczas rewizji maszyny do pisania. Informowałam wówczas Kolegów o milczeniu, którym na moje żądanie zwrotu maszyny odpowiadała mi Prokuratura Wojewódzka. Jednakże i od Kolegów nie otrzymałam żadnej formalnej odpowiedzi ani informacji o podjętych w mojej sprawie staraniach.

15 maja 78 ekipa SB przeszukująca ponownie moje mieszkanie nie usiłowała nawet ukryć rozżalenia, że następnej maszyny do pisania nie znalazła. Rzeczywiście do tego czasu nie byłam jeszcze w stanie "zorganizować" żadnej następczyni mojego "Continentalu" /nr 1929636/. Jednakże nieco później dobrzy ludzie podarowali mi zwłoki starej "Eriki", na których gruntowny /i kosztowny/ remont zdobyłam się w zeszłym roku. Przed kilkoma dniami /8 lutego br/ podczas kolej-

nej rewizji w moim mieszkaniu zawiązano ją starannie sznurkiem, żeby nie rozleciało się zgruchotane pudło, i wyniesiono mi ją z domu wraz z notatkami osobistymi, notesami telefonicznymi i wydawnictwami ukazującymi się poza cenzurą. Pozostawiono mi długopisy, ołówki oraz świadomość, że pisarz posługiwał się dawniej gęsim piórem.

Nie uzasadniam wobec Kolegów z Komisji Interwencyjnej mojego prawa do posiadania maszyny. Proszę o pomoc w odzyskaniu tego prawa. Zwracam również uwagę na sprawę dodatkową. Przed paru miesiącami Oddział Gdański ZLP protestował przeciw rewizji w mieszkaniu pisarza Stanisława Załuskiego. Myślę z szacunkiem o tym wyrazie solidarności wobec kolegi szykanowanego przez organy ścigania. Trudno mi w tym miejscu powstrzymać się od wyrazów zdziwienia, że Oddział Warszawski nie wydaje się dotychczas dostrzegać niczego niewłaściwego w fakcie, iż u niżej podpisanej w ciągu ostatnich trzech lat przeprowadzono trzy rewizje i dwa wielogodzinne tzw. kotły /jeden trwał ok. 15 godzin/, że 18 stycznia br. osadzono ją na 48 godz. w areszcie w Stalowej Woli - tylko dlatego, że zamierzała tam obserwować jawną rozprawę sądową - że w ostatnich dniach /8 i 9 lutego/ zatrzymywaną ją na ulicach Warszawy i odstawiano pod eskortą do domu, którego nie pozwalano opuszczać.

Z poważaniem
/Anka Kowalska/

Do wiadomości:

Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich

Przyp. red. Pismo niniejsze również pozostało bez odpowiedzi.

TAN. TAL.

CENZURA ZDOBYDZIE ZACHÓD

Niedawno wyjechałem na Zachód. Tak się złożyło, że odwiedziłem polską misję wojskową w Berlinie Zachodnim, gdzie podejmujący mnie mili panowie na wieść o tym, że będę się ubiegał o wizę pobytową zawiadomili mnie, że "my nie lubimy", gdy nasi obywatele ubiegają się o taką pieczęć. Do 30 dni wolno tu przebywać przedstawicielom państw alianckich bez wizy, po czym wystarczy przejść na 5 min. do NRD i po powrocie rozpocząć następne 30 dni. Z kolei na wiadomość, że mogę mieć wieczór autorski oświadczyli, że "my nie lubimy", jeśli wieczór firmowany jest przez taką to a taką instytucję kulturalną, która teoretycznie w B.Z. /jako instytucja RFN-owska/ nie powinna funkcjonować, ale z której stypendium nie mała już garść pisarzy polskich z Gombrowiczem i Lemem na czele korzystała właśnie tutaj. No cóż - nie lubią, to nie lubią. Wizę musiałem załatwić, wieczór w końcu i tak miałem gdzie indziej. Następnie wyłączałem w Kolonii, gdzie opowiadano mi w kołach nieźle poinformowanych, jak to przedstawiciele polskiej dyplomacji prymitywnym, jak to określili moi rozmówcy, systemem nacisków /pewnie znów - "my nie lubimy"/ usiłowali wymusić na wydawcy "Rozmów z katem" Moczarskiego rezygnację z przedmowy A. Szczypiorskiego. Przy okazji dowiedziałem się o naciskach wywieranych czasami na wydawców zachodnich, a mających na celu usuwanie z antologii literatury polskiej niewygodnych dla władz autorów - np. spore wysiłki towarzyszyły dążeniem do wyeliminowania Woroszyńskiego z przygotowywanej w Hiszpanii antologii współczesnej poezji polskiej. Doszły mnie też ostatnie wieści, że polscy dyplomaci w Berlinie Zach. próbowali odwieść przebywającego tam na stypendium Zagajewskiego od spędzenia urlopu w Szwajcarii, a także nakłonić go do przedstawiania tekstu planowanego odczytu.

Z kolei doszły mnie bardzo sprawdzone wieści z Paryża o zorganizowanej tam wystawie "Paryż-Moskwa" pokazanej wreszcie po dwóch latach targów o eksponaty. Można tam np. zobaczyć zdjęcie opatrzone podpisem "Portret Lenina", na którym obok wodza rewolucji rozpoznać można Lwa Trockiego, twórcę Armii Czerwonej, którego nazwisko z podpisu w ostatniej chwili radzieccy patronowie wystawy kazali usunąć. Jest więc portret Lenina z cieniem. W ogóle zaś zestaw mniejszych i większych fałszerstw i niedomówień związanych z tą wystawą stał się przedmiotem specjalnego colloquium zorganizowanego na Sorbonie przez rosyjskich dysydentów.

Do czego zmierzam? Jak zwykle w tym felietonie - do pokazania mechanizmów działania naszej cenzury. Bo jeśli ktoś myśli, że działa ona tylko na własnym podwórku, to grubo się myli. Ona "nie zna granic ni kordonów". Potwierdziło się to zresztą ostatnio i w Warszawie, gdzie przygotowana wystawa sekcji polskiej BBC została storpedowana przez cenzurę: w oficjalnej polskiej historiografii nie ma miejsca dla takich typów jak generałowie Anders, Maczek czy Sosnkowski, których podobizny usiłowali na wystawę przemycić wredni agenci brytyjskiego imperializmu pod płaszczykiem współpracy kulturalnej.

Michał Heller w znakomitym szkicu "O języku rosyjskim i radzieckim" przygotowanym z okazji wspomnianego colloquium bardzo precyzyjnie ukazał mechanizm działania tego zjawiska. Komunistyczna nowomowa kreująca własną rzeczywistość i odrzucająca wszelkie możliwości dialogu jest /trzęcie prawo Tan.Tala./ zmuszona atakować każdy język naturalny posługując się jako narzędziem cenzurą funkcjonującą już teraz nie tylko w przeznaczonych do publikacji komunikatach dyplomatycznych, lecz również w sferze "współpracy" kulturalnej między Wschodem a Zachodem. Struktura partyjnego monologu paraliżować zaczyna również narządy mowy "wolnej" prasy zachodniej - bez wątpienia zaszczytne pierwsze miejsce przypada tu prasie francuskiej. I o to chodzi! Taki, właśnie t a k i sens ma "trzeci koszyk". Zachód jeszcze tego nie rozumie, a jak zrozumie będzie za późno. Oto zasada wymiany: my od was bierzemy to co nam się podoba, a w zamian wy nam dajecie to, co zechcemy. Po prostu kulturalna wymiana.

Tan.Tal.

Paciej CISŁO

NAZWISKO NAZYWAJĄCE

Był czas, że wśród socjalistów /włoskich/ panowała moda na nadawanie dzieciom imion symbolicznych, takich jak: "Marxina", "Lesallo", "Primo Maggie" - czy nawet "Comittato Centrale" i "Gruppo Parlamentare".

My- operujemy /dziś/ zupełnie inną skalą wartości; jak podał "Ekspress Wieczorny" w jednym ze swych grudniowych numerów - rodzic polski skłania się chętniej ku arystokratyzmowi: dominuje fala "Arturów", "Paulin", "Violett", "Kamilów" i tak dalej.

To uderzające - kto z nas, współczesnych, osobiście zapracował sobie na imię? A zwłaszcza - nazwisko? Dziś miano się dziedziczy, obcina kupony od niedysięjszych cech wyróżniających, nazw posiadłości czy fachów.

... Może by brać określenie własne od tytułu serialu obejrzanego z wysiłkiem w TV? ... Jeszcze w XIX wieku imię znaczące nie było wyjątkiem. Żył na przykład w Warszawie Jankiel Pasmantier, właściciel znanego składu towarów galanteryjnych zwanych podówczas "norymberszczyzną". Słynął Samuel Białoskórnik /wyroby skórzane, Nalewki 18/. Miał swój interes Chaim Dobroszkłanka /szkło, Prózna 10/. W wiekach średnich wraz ze zmianą posiadłości zmieniał szlachcic też i swe nazwisko. Marcin Bielski miał wieś Biślą. Przedtem nazywał się Wolski, gdy był dziedzicem Woli. W wieku XVI obyczaj te uległy zmianie. Jan Kochanowski nie przezywał się Czarnoleskim, mimo iż dziedzicem Kochanowa być przestał. Wszyscy potomkowie pozostali Rejami, choć z rejem /to jest tancem, por. "rej wodzić"/ nie mieli nic wspólnego.

W momentach zagrożenia, jak na przykład w czasach wojen lub też nasilenia roboty podziemnej, miano znaczące powraca. Ono zresztą stara się i bez tego zawsze przebić - musi istnieć coś w rodzaju metafizyki imienia i człowieka poszukujących się nawzajem: nasz minister budownictwa nazywa się Glazur; wywyższony spośród grona kardynalskiego Prymas Polski - Wyszyński; czołowy gracz polityczny, pierwszy sekretarz partii - to Gierek. Przyznam się, że przeżyłem coś w rodzaju zawrotu głowy, gdy zobaczyłem, że artykuł w "Trybunie Ludu" - przedruk z radzieckiej "Prawdy" - na temat rozmieszczenia amerykańskich rakiet w Europie zachodniej podpisał... Zagładin...

Są to może wyjątki, dziwne zbiegi okoliczności, zupełnie przypadkowe... Jako się rzekło - miano znaczące powraca naprawdę głównie w okresach zagrożenia, wojen, powstań, okupacji. Pojawia się wtedy kapitan "Śmiały" - i bywa, że jest on naprawdę śmiały... Ktoś przyswaja sobie opisowe pseudo "Żbik"; wyrastają jak spod ziemi "Dłudzy", "Chudzi", "Tali" i inni... Ale oto zagrożenie mija i powraca fala nazwisk przypadkowych, odziedziczonych i nieokreślonych - cywilna fala osób o niewyraźnie zarysowanych konturach tożsamości, masa osobowości na kredyt /arystokratyczny albo rewolucyjny/, anonimowych, czasem zbędnych...

Paciej Cisło

Ż Y Ł A : NIEZALEŻNY ORGAN JACKA BIEREZINA

PRZEŻYJŃY TO JESZCZE RAZ

Co pokazać zamiast Papieża? - to pytanie spędzało sen z powiek wszystkim dyrektorom, kierownikom i towarzyszący spikerom telewizji polskiej w pierwszych dniach czerwca tego roku, dziesięciu dniach, które wstrząsnęły Partią. Wieść gminna i wojewódzka niesie, że sam Paciej Szczepański z nieodłączną skrzyńką "Wyborowej" zamieszkał w studio, żeby osobiście dopilnować każdego ruchu kamery, każdego ujęcia nieba, obłoków, pojedynczych staruszek oraz kamiennych twarzy członków korpusu dyplomatycznego Wietnamskiej Republiki Ludowej, którzy klaskaniem mają prawice obrzękłe tylko po przemówieniach Leonida Breżniewa.

Nie mając zamiaru napisać powieści-rzeki nie będę komentował wszystkich transmisji z ich swoistymi wdziękami; ograniczę się do jednej - transmisji z wizyty Papieża w Belwederze, która jeśli nie była sukcesem telewizji polskiej, to w każdym razie chwilą wytchnienia dla towarzysza Szczepańskiego i jego kar-

nych podwładnych z wyjątkiem spikera. Tu nie trzeba było myśleć. Za cały pomysły wystarczyła pocztówka z Belwederem. Przeżyjmy to jeszcze raz.

Głównym elementem dekoracyjnym ekranu jest - jak mówi spiker - "druga z lewej kolumna historycznej budowli, siedziby Przewodniczącego Rady Państwa". Nad Belwederem powiewa flaga, która pokazywana jest co 5 minut, ponieważ Papież się spóźnia, a musi być coś żywego na ekranie; przy obydwu kolumnach "historycznej budowli" stoi sześciu nieżywych żołnierzy i jeden nieżywy milicjant. Słowem wymarły Belweder z wciąż żywym duchem wielkiego księcia Konstantego. Od czasu do czasu w dalekiej perspektywie, przed bramą, widzimy przez chwilę garstkę wolnosobotnich spacerowiczów, dopóki towarzyszący Szczepański nie udzieli nagany kamerzyście. Panuje pełne metafizycznej grozy milczenie i co 5 minut zdrewniały spiker oznajmia grobowym głosem ojca księcia Hamleta, że przyjechał do Polski Papież, że jest on synem narodu polskiego, że jego wizyta jest rezultatem naszej siły politycznej. Przypomnijmy również - mówi spiker - co Edward Gierk powiedział do Papieża Pawła VI. I przypomina. Następnie przypomina, że w Polsce panuje tolerancja religijna. "Te jakże ważne treści zawarte zostały w niejednej wypowiedzi Edwarda Gierka i Papieża". Następnie spiker przypomina, że przed historyczną budowlą, siedzibą Przewodniczącego Rady Państwa, stoją żołnierze. Na poparcie słów spikera kamera nie spuszcza z nich oka dopóki nie pokaże ich butów, z których powędruje po raz piętnasty po frontonie historycznej budowli, aż do flagi, by znów powrócić do pocztówki z żołnierzami."

Spiker przypomina o dynamice rozwoju gospodarczego, który jest rezultatem socjalistycznej drogi rozwoju. W przeciwieństwie do żołnierzy dynamiki rozwoju, który jest rezultatem na ekranie nie widać. Spiker przypomina, że "nasze dokonania stały się możliwe dzięki bezpiecznym granicom i sprawdzonym sojuszom"; że "najwyższy dostojnik Kościoła katolickiego przybył po raz pierwszy do socjalistycznego państwa"; że "władze i społeczeństwo witają Papieża serdecznie".

Następnie spiker przypomina, że siedzibą Przewodniczącego Rady Państwa jest historyczna budowla. Że stoją przed nią żołnierze, którzy są osiągnięciem. Że rezultatem rozwoju jest dynamika i Papież. Że Polska jest matką, a Papież synem. Że w Polsce panuje Edward Gierk i tolerancja religijna.

Następnie spiker przypomina, że przyjechał do Polski Papież co jest bardzo. Następnie Papież rzeczywiście przyjeżdża. Storturowany towarzyszący spiker może wziąć zimny prysznic i iść do kasy po szmal.

Belweder okazuje się być zamieszkały nie tylko przez ducha wielkiego księcia Konstantego. W siedzibie Przewodniczącego Rady Państwa wita Papieża pierwszy sekretarz z pałętającym się za plecami Przewodniczącym Rady Państwa. W przemówieniu powitalnym pierwszy sekretarz dodaje do rewelacji spikera inne rewelacje. Pierwszy sekretarz jest nawet zadowolony osobiście ze spotkania ze Świętobliwością. Polska gorąco wita porozumienie w sprawie ograniczenia broni strategicznych i przybyła do kraju Świętobliwość. Następnie pierwszy sekretarz informuje Świętobliwość, że Polska przeżyła wojnę, która miała miejsce 35 lat temu, że trwała ona 5 lat i że była krwawa. Wykazała dzielność narodu polskiego, a zwyciężył w tej wojnie żołnierz spod Lenino i innych frontów.

W ostatnich słowach pierwszy sekretarz informuje Świętobliwość o socjalistycznej drodze jaką wybrał naród polski, o wielkich dokonaniach, o niepodległości i suwerenności, ale opartej na niezawodnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim i o jedności ogarniającej wszystkich dzisiaj w Polsce czyli o wszechjedności.

Papież nie wydawał się być zdziwiony informacjami pierwszego sekretarza. W uprzejmym przemówieniu m.in. podziękował za to, że rząd przyłączył się do zaproszenia Episkopatu Polskiego oraz poinformował pierwszego sekretarza, że racją bytu państwa jest suwerenność społeczeństwa. Było to pierwsze w historii polskiego męża stanu jakie słyszano w tym kraju od 35 lat, co skonsternowało nawet nieustannie przemawiających towarzyszy z pierwszym sekretarzem na czele. Na pocieszenie Papież z chrześcijańskim miłosierdziem wręczył każdemu biblię i medalik. Kamera pokazała nam kolejno nieżywe twarze Gucwy, Kłyńczaka, Kani i innych oraz ich fryzury à la ZEP. Z podarunków cieszył się tylko Kaziu Kąkol, największy przyjaciel biblii i medalików w Polsce z urzędu /do Spraw Wyznań/.

Pytanie: co pokazać w telewizji zamiast Papieża? - pozostało już wiecznym dylematem. Telewizja wzmogła wprawdzie wysiłki na rzecz dalszego nieustannego rozwoju, ale obserwuje się chwilowy niedobór. Programy z Papieżem, niezależnie od wysiłków telewizji, okazały się i tak bestsellerami. Tej gwiazdy srebrnego ekranu nie zastąpią żadne "złote maski".

- ani Rodowicz Maryla i kolorowe jarmarki,
- ani płaczący ze wzruszenia przed Gierkiem i Łukaszewiczem jubilat Iwaszkiewicz Jarosław, obok Leonida Breżniewa i innych wybitnych pisarzy laureat nagrody leninowskiej w dziedzinie literatury, który przepada za socjalizmem w PRL /nie byłoby mnie tu dziś z wami, towarzysze.../, choć, jak wyznaje gdzie indziej, pisze mu się najlepiej we Włoszech,
- ani Zapasiewicz Zbigniew, zwalczający AK, zaplutego karka reakcji, w sztuce Jana Pawła Gawiłka "miejsce rektorskie",
- ani jacht za dwa miliony złotych, nagroda publiczności na festiwalu piosenki w Sopocie, wzruszający widok dla wszystkich proletariuszy w Polsce,
- ani pieścizoski telewizji, specjaliści od wszystkich specjalności, Kałużyński Zygmunt, Kuśniewicz Andrzej, Sadkowski Wacław, Sprusiński Michał i td.,
- ani profesor Kowalski Włodzimierz, burdel-mama dworskich historyków PRL-u,
- ani Dziedzic Irena, źle wychowany, mówiący barytonem, rozwydrzony, cwany posłotek.

W trudnych ostatnich miesiącach telewizja polska nie zdała egzaminu. Musimy sobie to otwarcie, towarzysze, powiedzieć. Otwarcie i twardo - jak oczekująście. W tej sytuacji politycznym sabotażem jest korespondencja Macieja Skotwińskiego z Nowego Jorku, który publicznie w "Życiu Warszawy" szydzi z burżuazyjnej telewizji amerykańskiej, że tylko jeden jej kanał transmitować będzie przebieg wizyty Papieża. W Polsce na szczęście byłoby to niemożliwe. Nie po to nasi ojcowie walczyli, żeby obydwa kanały telewizji polskiej pokazywały co innego.

Żeby znaleźć się w pierwszej linii frontu bojowników o niezależność od Papieża telewizja musi i powinna zrezygnować ze schematów. Zamiast wyranżowanych złotych masek pokazać nowe twarze. Otwarte, jasne twarze cenzorów, heroicznych pracowników na odcinku słowa. Bezimiennych bohaterów pracy socjalistycznej z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Służby Bezpieczeństwa. Spokojną starość zasłużonego mistrza manucure towarzysza Różańskiego; a jeśli już Iwaszkiewicz to z nożyczkami nad łowicką wycinanką; a jeśli już Jaroszewicz to na tacze i tak dalej, aż do happy endu.

Jacek Bieręzin

E R R A T A

W Bibliotece "Pulsu" nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazała się książka Piotra W i e r z b i c k i e g o pt. "Gnidzi parnas". Z przykrością informujemy, że z winy redakcji "Pulsu" opuszczono w tekście cały rozdział pt. "Niańki protestują przeciw wyrazowi "gnida"" na str. 33 /rozd.7 pt. "Niańki idą z duchem czasu" jest w rzeczywistości rozdz. ósmym/. Na str. 22 w wierszu 36 od góry prosimy zmienić "również na "w końcu", zaś zakończenie rozdz. 1 pt. "Co to są niańki?" powinno brzmieć:

Przeczytałem również artykuł Leszka Szarugi "Traktacik o Piotrze Wierzbickim" wydrukowany w zbiorze szkiców pt. "Własnymi słowami" /Biblioteka "Głosu", 1979/.

Prosimy wpisać je po zdaniu kończącym się słowami "... w Warszawie i Krakowie". Przypuszczając Autora i Czytelników publikujemy brakujący rozdział prosząc jednocześnie o włączenie go do egzemplarzy "Gnidziego parnasu":

7. Niańki protestują przeciw wyrazowi "gnida"

Co robi niańka, która w obronie gnid nie ma nic do powiedzenia, a z "Traktatem o gnidach" polemizować postanowiła? Oczywiście obrazi się na wyraz "gnida". Mamy i taką niańkę. Nazywa się Leszek Szaruga. Żw autor w artykule "Traktacik o Wierzbickim", zamieszczonym w zbiorze pt. "Własnymi słowami" /Biblioteka "Głosu", 1979/ pisze tak:

"Już, już, a byłbym się podpisał pod "Traktatem", ale właśnie jakaś taka inteligentka mięczakowatość mnie ogarnęła.

Pomyślałem sobie: podpiszę, owszem, ale pod jednym warunkiem. Chodzi właściwie o drobiazg. Chodzi o to, żebym się zgodził na samą nazwę.

I tu: NIE!

Nie zgodzę się ani na "wesz", ani na "gnidę". Nie będę rozmawiał tym językiem."

Konsekwencje posłużenia się wyrazem "gnida" są dla mnie zabójcze. Tekst, który o mały włos nie stał się słusznym i odpowiedzialnym esejem dysydenckim, przybrał postać pamfletu, będącego wyznaniem rzuconym humanizmowi. Poszukajmy:

"Zanurzeni w antyhumanistycznym bełkocie często nieświadomie traktujemy go jako mowę, jako coś naturalnego. Tak też się dzieje w "Traktacie o gnidach", który pozornie tylko, bo jedynie w warstwie deklaratywnej stanowi obronę wartości kultury. Naprawdę jest to tekst, który te wartości odrzuca, neguje, czyni pustymi formułami, szyldami. W końcu ten sam mechanizm da się bez trudu obnażyć w tekstach "marcowych" "Prawa i Życia" czy "Walki Młodych".

I dalej:

"Powie ktoś zapewne, że przesadzam, że mam przecież do czynienia z pamfletem, w którym obowiązuja jemu właściwe chwyty. No to ja w takim razie dziękuję za takie pamflety - naczytałem się ich dość w "Prawie i Życiu", w "Walce Młodych", w "Ekranie", w "Życiu Warszawy"."

Panie Leszku, w następnym wydaniu tej książki zmienię wszędzie wyraz "gnida" na określenie, które powinno Pana zadowolnić: "intelektualista lub artysta, reakcyjny w głębi duszy, lecz udzielający poparcia Partii w imię cywilizacji, humanizmu i kultury".

Pod warunkiem jednak, że Pan odpowie na pytanie: dlaczego z racji tego, że pamflet ukazał się w "Walce Młodych", nie wolno się posłużyć tą formą mnie? Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby Szaruga z powodu tekstów wydrukowanych w "Ekranie" nigdy w życiu się pamfletem nie posłużył /niech jeszcze z powodu poezji Gaworskiego przestanie pisać wiersze/, ale dlaczego mam tak postępować również ja? N. napisał idiotyczną powieść. Czy z tego powodu już nie należy pisać powieści? Szaruga jest uczony, cytuje zagranicznych autorów, ale nie bierze pod uwagę, że pamflety, i to ostre, ukazywały się w Polsce jeszcze przed Gontarzem i Odolską. Historia Polski i historia literatury polskiej nie zaczyna się - dysydencki esejista powinien to sobie dobrze zapamiętać - ani w roku 1945, ani w roku 1968. Gdyby Szaruga żył przed wojną, albo przed pierwszą wojną, albo w czasach Prusa, albo w czasach Słowackiego, to musiałby swojej gnidziej klienteli bronić przed jednym "Traktatem o gnidach", lecz przed dziesięcioma takimi traktatami.

No, ale na taką niańkę, jak Szaruga, jeden "Traktach o gnidach" wystarczy".

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo nie stawało przed bariera państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA spełni swoje zadania jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia. Jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu sprzętu i materiałów poligraficznych, pomocy finansowej.

OD NAS SAMYCH ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE !

Druk
Zakłady Graficzne "NOWA"
Warszawa, zima 1979/80
Zlec. nr 9/80